FRYDERYK WIELKI

przez

Kazimierza Jarochowskiego.

Friedrich der Grosse, von Johann Gustav *Droysen*. Zweiter Band. Leipzig, Verlag von Veit et Comp. 1876.

Obecny, świeżo co dopiero wydany tom dzieła professora Droysena jest *drugim* Historyi jego Fryderyka Wielkiego, nie wiemy już którym w licznym szeregu tomów składających się na ogromne dzieło autora, znane w uczonym świecie niemieckim pod tytułem *Geschichte der Preussischen Politik.* Nim przystąpimy do wywiązania się ze specyalnego zadania naszego, do zdania sprawy z niniejszego drugiego tomu historyi Fryderyka Wielkiego, obejmującego trzechletni przeciąg czasu, od pokoju wrocławskiego z r. 1742 do traktatu kończącego zapasy tak zwanéj drugiéj wojny szlązkiéj, uważamy za obowiązek dokładności, za rzecz konieczną w interesie *czytelnika*, sięgnąć nieco w głębszą *autora* przeszłość, wyjaśnić jego stanowisko, wprowadzić go w logiczny związek z jego uczoném otoczeniem, jako polityczną *aurą*, pod któréj powiewem dziejopisarskie zadanie swe spełnia. Wstęp, od którego w pierwszym poszycie niniejszego czasopisma rozpoczęliśmy rzecz naszę o najnowszéj historycznéj literaturze niemieckiéj, wyręczy nas pod wielu względami od niepotrzebnych powtarzań. Wspomnieliśmy tamże o antagonizmie historyografii narodowo-liberalno-pruskiéj z historyografią wielko-niemiecką i austryacką; wspomnieliśmy o przedstawicielach jednego i drugiego obozu; wspomnieliśmy o abdykacyi *pierwszéj* od swéj polityki, o wyraźném i świadomém siebie, rezolutném oddaniu się jéj na posługi dzisiejszych potrzeb, dzisiejszych dążeń i dzisiejszych idei politycznéj wyłącznie natury. Wskazaliśmy tamże, jak kierunek ten historyograficzny kiełku-

jący w dziele Häussera nasamprzód *Geschichte Deutschlands seit dem Tode Friedrichs des Grossen*, nieśmiały zrazu, choć dotrzymujący kroku politycznym robotom *Nationalvereinu*, wzmagał się, wzrastał i nabierał siły w miarę wojennych i politycznych sukcesów pruskich, jak podbijał sobie coraz bardziéj pióra i sumienia uczonych, zyskując poklask publiczności, jak zmieniał dotychczasowe, najpowszechniejsze, najbardziéj utarte pojęcia moralnego znaczenia, jak redukował wszystko do jednego mianownika — do stworzenia kosztem choćby historycznéj prawdy drzewa genealogicznego Prussom, w dziele ich unifikacyi Niemiec. Nieinaczéj czynili owi heraldycy z epoki pierwszego cesarstwa, wyprowadzający pochodzenie Napoleona od władców Florencyi czy Pizy. Napoleon odpowiadał przecież rzemieślnikom heraldycznego warsztatu: „*ma généalogie date de Montenotte*,“ i przypominał chętnie czasy, kiedy jako półżołdowy porucznik znajdował się w kłopocie o strawę powszednią. Inaczéj ma się rzecz z cesarstwem Niemieckiém i jego twórcami. Książę kanclerz, nie pytając o niedyskrecye rewelacyi Lamarmorowych, które mu jeszcze w roku 1866 przypisują jedynie tylko prusko-dynastyczne intencye z gotowością poświęcenia dla nich na rzecz Francyi niemieckich skrawków nad Renem czy Mozelą,—nie rad przyznać, że podjęcie unifikacyjnéj myśli niemieckiéj z archeologicznego repertoaru illuzyi, sentymentalizmów i pobożnych życzeń niemieckich, jako *godła* swéj *materyalnéj* potęgi, zawdzięcza dopiero swój byt świeżym powodzeniom nad Austryą i Francyą. Słucha więc z pewną przyjemnością, z uznania godną abnegacyą własnéj roboty, gdy mu *jego* heraldycy odbierają część zasługi na rzecz *protoplastów*, gdy uczą społeczność niemiecką, że dzisiejszy jéj wielki mąż stanu, jest tylko wykonawcą odwiecznéj myśli, która przezierała w całym długim szeregu brandebursko-pruskich władców, począwszy już może od Albrechtów i Waldemarów Askańskiego domu. Heraldycy tego rodzaju zyskują korzyści i honory, katedry, stanowiska i tytuły... Wielka też ich wdzięczność, a zadaniem wynieść do powagi prawa, do znaczenia regulatora dziejów i polityki *racyą stanu*, postawić każdorazowy *interes* polityczny państwa, z pominieniem wszelkich innych względów, na piedestale kierowniczego żywiołu. Jeżeli dążność podobna snuje się jak nić czerwona przez całą teraźniejszą historyografią niemiecką, streszcza się i wyraża jako w najdoskonalszym swym okazie, nie w kim innym właśnie, jak w professorze i historyku Droysenie. Najdowodniejszém stwierdzeniem tego naszego spostrzeżenia, pozostanie jego wspomniana co dopiero kilkunasto-tomowa *Geschichte der Preussischen Politik*. Co się tycze *materyału*,

z którego autor rzecz swą buduje, uczynilibyśmy jéj zarzut *jednostronności*, jakkolwiek mu bynajmniéj podobném twierdzeniem przymiotu nauki i naukowego traktowania rzeczy odmawiać nie myślimy. *Jednostronność* ta polega głównie na tém, iż autor ogranicza się, inaczéj niż inne znakomitości jego własnego obozu, jak np. Noorden, Ranke, Sybel, Häusser, wyłącznie prawie na źródłach pruskich. W pierwszych tomach jego wielkiego dzieła, traktujących genetyczną epokę monarchii Hohenzollernów, była ztąd szkoda dla prawdy historycznéj mniejsza, bo źródła są tu, jeśli tak wolno powiedzieć, *internacyonalnéj* natury, stanowią jakoby *wspólny* arsenał, z którego chcąc nie chcąc historycy wschodnio-północnego obszaru Europy wspólnie i razem czerpać są skazani. Inaczéj ma się rzecz z czasami poźniejszemi, gdzie interesa polityczne różnych państw i systemów rozchodząc się z sobą, mają też na swe usługi osobną dyplomacyą, osobne relacye wojennne, osobne stanowiska wraz z osobnym, wyłącznie swoim i sobie tylko służącym materyałem historycznym. *Te* czasy i *takie* czasy, — będące właśnie i głównie teraz przedmiotem opowiadania professora Droysena, wiek XVII, XVIII,—wymagają, jeżeli nie mają w relacyi swéj dziejowéj przedstawiać widowiska skoszlawienia prawdy historycznéj, szerokiego i sumiennego praktykowania zasady *audiatur et altera pars*. Któżby mógł np. skreślić wiarogodną historyą Francyi na podstawie bulletynów lub dokumentów kancellaryi dyplomatycznéj Napoleona! Jest to zarzut, który nauka niemiecka, który mianowicie professor Sybel w krytycznych swych studyach nad spółczesną historyografią francuzką, podnosił przeciw *Historyi konsulatu i cesarstwa* Thiersa, któryby jednakże teraz Francuzi, gdyby znali dziejopisarstwo niemieckie, czytając Droysenowe dzieło zwłaszcza, z lichwą niemieckiéj historyografii oddać mogli. *Historya polityki pruskiéj* Droysena aż do epoki Fryderyka Wilhelma zwanego „wielkim elektorem," nie przedstawia zbyt wdzięcznego pola dla tendencyi panegirycznéj. Począwszy od pierwszego na tronie książęcym Brandeburgii Hohenzollerna, Fryderyka, usiłującego najczęściéj wbrew interesowi niemieckiemu w imię interesu dynastycznego i terrytoryalnego utrzymać równowagę między Jagiellonami a cesarzem niemieckim, skończywszy na pokornym Jerzym Wilhelmie, ojcu wielkiego elektora — trudnoby się w polityce całego tego szeregu władców brandeburskiéj Marchii dopatrzyć czego innego, jak mniejszéj lub większéj, jak mniéj lub więcéj umiejętnie rozwiniętéj troskliwości około dobra i powodzemia własnéj zagrody. System ten i duch polityki brandeburskiéj nie zmienia się właściwie i późniéj; przybiera tylko szersze rozmiary w pro-

stym stosunku do wzrastającego terrytoryalnie obszaru i materyalnych środków. Nic słuszniejszego, jak badać historycznie genezę owego lawinowego wzrastania tego maleńkiego z początku, rzuconego w piaski brandeburskie kłębka; nic sprawiedliwszego jak uznać wytrwałość, wiekową konsekwencyą, energią i zdolność twórców i kierowników owego organizmu, który z tak małych początków wyrósł do tak ogromnych rezultatów. *Historyi* jednakże, która ma zadanie nie saméj tylko admiracyi, lecz według pięknego i prawdziwego Schillerowego orzeczenia, stanowisko *sądu*, pozostaje obowiązek ocenienia moralnéj wartości podobnego dzieła,— zapasów, z pośród których powstało, *krzywd*, z jakich się zrodziło, *praw*, na jakich się oprzeć mogło. Do rozwiązania podobnego zadania, przyzna nam zapewne każdy, nie starczy wysłuchanie *jednéj* tylko strony, w obecnym przypadku Droysenowego dzieła, samo tylko i wyłączne powoływanie się na bogate, prawda, i zasobne materyały archiwum państwa Pruskiego, bez równoczesnego zajrzenia w materyał dziejowy innych stron interesowanych. Podobna metoda w poszukiwaniu materyału, nie mogłaby już sama przez się, *bez* żadnéj nawet z góry powziętéj tendencyi, nie wpłynąć nader charakterystycznie na postawę i treść zbudowanego na niéj dzieła.

Bez owéj nawet *intencyi* i *tendencyi* nie mógłby podobny materyał nie wybić piętna swéj jednostronności na wyrosłym zeń utworze. Cóż zaś dopiero, gdy, jak w obecnym przypadku, najrozmaitsze względy osobistéj, politycznéj, moralnéj, narodowéj natury zbiegają się razem, by pokusę jednostronności podsuwaną przez samże jednostronnie użyty materyał, wynieść drogą *intencyi* i *tendencyi* do absolutnéj potęgi! Uwagą tą wkraczamy w dziedzinę prawdy, która nas przy czytaniu i ocenieniu Droysenowego dzieła nigdy odstępować nie powinna. Zdecyfrujemy sobie jego moralno-polityczno-dziejopisarską istność, przez co zarazem na nim, jako na najcharakterystyczniejszym przykładzie współczesnéj historyografii niemieckiéj, zdecyfrujemy sobie ogólną jéj fizyognomią. Nie ma historyka, któryby w kreślonéj przez się przeszłości nie szukał pewnego sensu moralnego, nie starał się odgadywać w niéj kiełkującego problematu, który dopiero przyszłość rozwiązała. Cała sztuka historyozoficzna zależy naturalnie tylko na tém, czy ów problemat *istotnie* rozwiązany? i czy to, co historyk uważa za jego rozwiązanie, jest niém *naprawdę*, czy też tylko epizodem, jeżeli nie zboczeniem nawet? Problematem takim jest dla patryotyzmu niemieckiego i dla jego patryotycznéj historyografii *jedność* i *potęga* Niemiec. Dzieje się zaś tutaj z historyografią niemiecką podobnie

jak z wędrowcem dążącym manowcami i nieznanemi drogami ku szczytowi góry. Doszedłszy doń obejmuje okiem szeroki przestwór, poczyna się rozglądać w drogach, które go tam zawiodły, rozumieć związek i *całość* swego pochodu. *Dotąd* błąkała się histryografia niemiecka (mówimy tu ze stanowiska własnego jéj rozumowania) w szczegółach, chodziła manowcami. *Dzisiaj*, zaprowadzona wraz z całym swym narodem ręką silnego i świadomego swych celów przewodnika na szczyt narodowéj jedności i potęgi, ma pretensyą obejmować i pojmować zarazem sens moralny całego przebieżonego dotąd dziejowego obszaru. „*Εὕρηκα!*" woła ucieszona, a rozumuje jak następuje: Jedność nasza, potęga i powaga, poszły w zapomnienie i poniewierkę w wojnie i przez wojnę trzydziestoletnią. Pozostała wprawdzie cesarskość niemiecka, pozostały zewnętrzne przybory przyodziewające zgniłego trupa Rzeszy; ale duch uleciał, życia nie było, a przez dwa blizko wieki byliśmy nie czém innem jak targowiskiem sąsiednich mocarstw, jak przedmiotem wzgardy dla obcych, upokarzającego poniżenia w poczuciu własném. W epoce téj naszego poniżenia i upadku, wyrosło, wzmogło się i nabrało sił Niemieckie państwo, które środkami materyalnemi, które obszarem swym terrytoryalnym, które energią i ambicyą swych władców zrobiwszy *już* wiele dla Niemiec, zapowiada w dalszym przebiegu dziejów, że zrobi dla nich więcéj, może i wszystko... Tak rozumowali historycy: Sybel, Haüsser, Droysen, Ranke, jeszcze przed rokiem 1860 wśród wypadków r. 1864 i 1866; nie dokończyli jeszcze rozpoczętego frazesu, gdy nadszedł r. 1870 i dokończył go... w *Wersalu*. Tak, Niemcy zjednoczone, potężne, wielkie. Pytanie, czy już się na tém kończy pochód dziejowy, czy ostatni, najwyższy szczebel zakryty mgłą przyszłości zyskany, czy problemat bytu Niemiec rozwiązany ostatecznie, czy może bardzo niezadługo reakcya federalizmu i przemiany społecznéj natury nie obejmą dziedzictwa obecnego organizmu centralizacyi wojskowéj i biurokratycznéj—czy wszystkie te nasuwające się liczne zagadki nie zakłócą pogody i spokoju dzisiejszéj opinii Niemiec i ich historyografii, która, nie dziwmy się temu, uważa pochód swój narodowy za skończony i rozgląda się z uczuciem spokoju i bezpieczeństwem wypoczynku w jego szczegółach? Prussy, rozumuje historyk, wprowadziły nas na obecną wyżynę: cóż naturalniejszego tedy, cóż nam innego pozostaje, jak wywdzięczyć im się, jak przypisać im i w *przeszłości* świadomość roli, któréj znaczenie i cel dopiero teraźniejszość, choćby najtępszym oczom odsłoniła? Otóż cała zagadka, cały sens moralny stanowiska obecnéj historyografii prusko-niemieckiéj, w pierwszym zaś rzędzie Droy-

sena w jego *Historyi polityki pruskiéj*. Stanowisko to, niewątpliwie patryotyczne, patryotyczne po swojemu, jestże jednak ze stanowiska nauki dziejowéj *prawdziwém?* Czy można Krzyżakom, czy można Waldemarom i Albrechtom brandeburskim wmawiać intuicyjnie ideę jedności niemieckiéj, dążność pracowania dla niéj, świadomość zwłaszcza i ten bodziec zbiorowy prac późnych następców? Otoż, według nas, zkąd się w imię za daleko posunionego patryotyzmu, w imię *szowinizmu* niemieckiego, rozpoczyna *błąd* historyografii niemieckiéj, rozbrat jéj z dziejową prawdą. Tendencya *taka* rozpoczyna się w dziele Droysenowém z chwilą dotknięcia się epoki wielkiego elektora, przykładem zaś podobnego traktowania rzeczy, jest jego własna osoba. Nie zapominajmy przedewszystkiém o kardynalnéj według nas w dziejach Brandeburgii prawdzie, że polityka jéj władców nie ma żadnych wyższych, idealnych, religijnych w wieku XVI i XVII, narodowych w wieku XVIII celów, lecz jest najszczerzéj i najwyłączniéj, bez żadnych względów na prawo czy lewo, polityką terrytoryalną i dynastyczną. Prawda ta jest przedewszystkiém prawdą w zastosowaniu do dziejów i osoby wielkiego elektora, Fryderyka Wilhelma. Fryderyk Wilhelm jest i czuje się przedewszystkiém, jeśli nie wyłącznie, władcą na elektorstwie brandeburskiém i dynastą rodu hohenzollernskiego. Przyjaźni i nieprzyjaźni polityczne, przymierza czy sejmy są dlań niczém inném, jak środkiem zwiększenia i pomnożenia władzy domowéj „*der Hausmacht*,“ bez żadnego względu czy to na plemienność niemiecką, któréj idea *polityczna* naówczas jeszcze nie żyła, czy to na władzę cesarską Niemiec, z pod któréj się wyłamywał według potrzeby i okoliczności, nie lepiéj ani gorzéj od innych książąt Rzeszy. Tak uczy niefarbowana prawda dziejowa, a już stary Schlosser w swéj wielkiéj *Historyi powszechnéj*, już minister Ludwika XIV markiz de Pomponne w swych niedawno wydanych *Pamiętnikach*, opowiadają ze spokojem faktycznéj prozy, jak wielki elektor brał prezenta i pensye od króla francuzkiego, jak, niedość na tém, obowiązywał się wbrew interesowi cesarskiemu i wbrew interesowi Niemiec wspierać Ludwika XIV w jego zabiegach o koronę cesarską. Próżno szukalibyśmy należytego ocenienia tych faktów i téj polityki elektora ze stanowiska interesów i myśli niemieckiéj w opowiadaniu p. Droysena. Elektor jest u niego *tém*, czém był rzeczywiście: wybornym i przezornym gospodarzem własnego domu, ale nadto jest też i *tém* jeszcze, czém mu się być nie śniło, szczerze patryotycznym księciem niemieckim, którego wzgląd na dobro wielkiéj ojczyzny niemieckiéj i cesarstwa nigdy nie odstępuje. Jestże w tém prawda,

zwłaszcza gdy prosta konieczność opowiadania faktycznego przebiegu rzeczy, zmusza autora przyznawać mimowolnie co chwila, iż elektor pod naciskiem okoliczności bywał raz po raz zmuszonym rozstawać się z patryotycznemi dla cesarstwa i Niemiec chęciami, że często nie pozostawało mu nic innego, jak dbać o skromne dobro własnego domu, jak w interesie przyszłości opierać niekiedy akcyą swą na Francyi? Czy, gdyby owa polityka własnéj zagrody i własnéj korzyści była się swornie i ulegle oddała pod rozporządzalność władzy cesarskiéj, z całym swym zasobem materyalnych środków i świadomością celów, interes ogólny niemiecki nie byłby wyszedł tryumfująco z pośród wszystkich otaczających prób i niebezpieczeństw?—*tego* pytania nie zadaje sobie autor i nie rozstrzyga go też nigdzie. Ciągły za to panegiryk brandeburskiéj opozycyi *przeciw* władzy cesarskiéj; anachronicznie w wiek XVII z wieku XIX przeniesionemu przeświadczeniu, że *opozycyi* właśnie owéj będzie za dwieście lat dano zjednoczyć pod swą egidą Niemcy. Z tego zapatrywania rodzi się też naturalną koleją rzeczy inna jeszcze niewadomo dla czego, czy dla prawdy dziejowéj, czy też dla po wszechnéj moralności, zgubniejsza konsekwencya intronizowania racyi stanu i interesu państwowego, jak już wyżéj powiedziano, na piedestałowe stanowisko regulatora moralności i sprawiedliwości. Autor nie pyta, czy zabór tego lub owego kraju, czy zawarcie lub zerwanie tego lub owego przymierza, czy zbliżenie się do tego lub owego dworu europejskiego jest słuszne lub niesłuszne, patryotyczne lub niepatryotyczne, moralne lub niemoralne, ze stanowiska interesu niemieckiego i prawd ogólnych; lecz jedynie tylko z *zimnotą* prokonsulów rzymskich kierujących się maxymą *salus Reipublicae suprema lex*, o każdochwilowy interes różnych przemian polityki pruskiéj. Dobrém jest to, co z nią w zgodzie; złém, co z nią w jakibądź sposób w zatarg wchodzi. Zasada ta górująca ciągle w ocenieniu rządów i działalności wielkiego elektora, niemniéj widoczna w dziejach Fryderyka I i Fryderyka Wilhelma I, do których ocenienia należytego i wszechstronnego, zbadanie innych archiwów, mianowicie drezdeńskiego, bardzoby się p. Droysenowi było przydało — przychodzi do ostatecznego rozkwitu w dziejach Fryderyka Wielkiego, których *pierwszy* tom wyszedł na widok publiczny w r. 1874. Tom ten obejmujący epokę od wstąpienia na tron Fryderyka w r. 1740 aż do zawarcia traktatu wrocławskiego w r. 1742, wypadnie nam streścić choć w kilku słowach, jako naturalny wstęp do szczegółowego rozbioru *niniejszego* drugiego. Zobaczymy w nim przedewszystkiém żywą aplikacyą *ogólnych* naszych, skreślonych powyżéj spostrzeżeń.

W pierwszym tomie dziejów Fryderyka Wielkiego rozpoczyna autor rzecz od opowiadania zatargu, przeprowadzonego zwycięzko przez jego bohatera przeciw bezbronnemu biskupowi z Liège za pomocą kilkutysięcznéj, nasłanéj mu egzekucyi. Epizodyczny ten drobiazg sprawia autorowi wprawdzie pewne zadowolenie; wielce naturalną przecież rzeczą, iż cały interes jego dziejopisarski, iż punkt ciężkości jego opowiadania, koncentruje, się około sprawy Szlązkiéj i wynikłéj z niéj wojny. Wywód autora i stanowisko w ciągu całego tego, obchodzącego niemniéj dzieje Europy jak monarchii brandeburskiéj zatargu, są nader charakterystyczne i bacznego zastanowienia godne.

Obrona adwokacka postępuje tu ręka w rękę z relacyą historyczną. Fryderyk Wilhelm, wielki elektor miał, po wygaśnieniu rodu Piastów na Szlązku w r. 1675, pretensye do trzech księstw szlązkich: Brzegu, Wolawy i Jägerndorfu. Traktatem z r. 1686 zawartym z dworem wiedeńskim zrzekł się wprawdzie elektor w zamian zyskanego okręgu Świebodzińskiego i umorzonego długu na Wschodniéj Fryzyi, pretensyi swych szlązkich na rzecz cesarza niemieckiego. Niedość na tém, uznał ojciec Fryderyka Wielkiego w r. 1728, nie wznawiając bynajmniéj swych pretensyi do Szlązka,—*Sankcyą pragmatyczną* Karola VI czyli akt, mocą którego tenże cesarz zabezpieczał bez względu na prawo salickie, zupełne posiadanie wszystkich krajów składających całość monarchii austryackiéj córce swéj Maryi Teresie. Niedość i na tém jeszcze: nie wydobył bynajmniéj dwór berliński swych pretensyi do Szlązka, gdy z niemi w r. 1733 Saxonia wystąpiła. Mimo to wszystko miał Fryderyk Wielki po wstąpieniu własném na tron, a po zgonie cesarza Karola VI *wielkie prawo*, według autora, upomnieć się o Szlązk, bo *nasamprzód* nie miał według niego, żadnych *osobistych* względów wdzięczności dla dworu wiedeńskiego (jakkolwiek historya uczy, iż jako następca tronu brał roczną pensyą od cesarza Karola VI); bo *daléj* traktat z r. 1686 był wymuszony na wielkim elektorze w chwili trudnych dlań okoliczności; bo *następnie* upominała się *Saxonia* o Szlązk w r. 1733, a Prussy nie mogły cierpieć, aby podobna posiadłość znajdowała się w ręku sąsiedniego państwa niemieckiego; bo *wreszcie* dwór wiedeński po zgonie cesarza Karola VI był *nierozsądny*, i nie obiecał w zamian ofiarowanéj sobie pomocy i uznania *pragmatycznéj Sankcyi*, uznanéj zresztą, jak co dopiero powiedziano wyżéj, przez ojca Fryderyka Wielkiego, —ustąpić mu dobrowolnie Szlązka, jako naturalnéj a skromnéj nagrody za tak wielką usługę. Z całéj summy tych argumentów wywodzi autor Fryderykowi Wielkiemu *prawo* do Szlązka

i wyprawia go z *jego* assekuracyą na kampanią r. 1741, która mimo zwycięztwa pod Mollwitz i mimo szczęśliwéj okupacyi na przerażonéj a nieprzygotowanéj Austryi, zapowiada jeszcze bardzo rozmaite przemiany fortuny. Aby ją przykuć do swego rydwanu, aby sobie zabezpieczyć zdobycz Szlązka, uważa Fryderyk za rzecz konieczną sięgnąć po przymierze „*dziedzicznego nieprzyjaciela*“ Niemiec, Francyi, po moralną daléj sankcyą swego wystąpienia przeciw cesarskiemu domowi Austryi, u cesarza niemieckiego z ramienia Francyi, Bawarczyka Karola VII. W skutku tego podpisuje w Czerwcu 1741 r. traktat, mocą którego obowiązuje się do piętnastoletniego z nimi wojennego i politycznego współdziałania, a zarazem obdarza, o ile to w jego mocy i woli, „*dziedzicznego nieprzyjaciela*“ prawem mieszania się w sprawy Niemiec, nawiedzania ich swemi armiami. Inwazya francuzko-bawarska staje się domowi austryackiemu, staje się krajom jego dziedzicznym groźną, groźniejszą może od perspektywy utracenia Szlązka. Nie pozostaje tedy Maryi Teresie nic innego, jak za pośrednictwem feldmarszałka Neipperga postarać się o zyskanie wytchniena ze strony Fryderykowéj w zamian naturalnie koncessyi na Szlązku, by módz powściągnąć groźniejszą dla siebie inwazyą bawarsko-francuzką. Fryderyk zgadza się w najgłębszéj tajemnicy na podobną kombinacyą przeciw swoim sprzymierzeńcom traktatowym, a układ zawarty między nim a Neippergiem stypuluje wyraźnie *komedyą* wojny na czas zimy z r. 1741 na 42 i oddanie Prussom Szlązka z wyjątkiem hrabstwa Kłodzkiego. Chodzi więc jeszcze o owo hrabstwo Kłodzkie, chodzi o nie w chwili właśnie, kiedy tajemnica układów między Austryą a Fryderykiem, zaczyna przenikać na zewnątrz i straszyć Francyą wraz z Bawaryą groźną perspektywą utraty Fryderykowego współdziałania. Fryderyk korzysta zręcznie z owego strachu koalicyi, a używszy go jako środka nacisku, każe jéj sobie wystawiać gwarancyą w zawrzeć się mającym pokoju, iż Szlązk wraz z hrabstwem Kłodzkiém będzie mu ustąpiony. Z aktem tej gwarancyi w ręku, popartym niszczącą i srogą wyprawą do Morawii, jako nowym środkiem grozy i przymusu, zapytuje Fryderyk dwór wiedeński za pośrednictwem dyplomatów angielskich Hyndfurda i Castereta, czyby mu z dobréj woli, nie chciano zrobić koncessyi, którą sobie, pozostając w koalicyi, wywalczyć na upokorzonéj Austryi prędzéj czy późniéj zdoła? Położony między podobny młot a podobne kowadło dwór wiedeński, przyjmuje propozycyą Fryderyka, zwłaszcza, że król pruski obiecuje w zamian porzucić koalicyą. W Czerwcu roku 1742 przychodzi tedy do skutku pokój wro-

cławski między Austryą a Prussami. Mimo błagań i przedstawień francuzkich, rzuca Fryderyk swych sprzymierzeńców, którym piętnastoletnią spółkę przyrzekł, marszałek francuzki Belleisle odcięty w Pradze, ocala się później Xenofontowym istnie odwrotem. Fryderyk wychodzi dzięki zręcznéj swéj ekwilibrystyce politycznéj ze zdobyczą Szlązka w zysku i śmieje się z Francuzów, którzy się gorszą na bruku paryzkim z jego odstępstwa, i mówi z zimną krwią: „że przecież nie mogą mieć pretensyi, by dla nich jak Don Kiszot, rzucał się w przedsięwzięcia, które mu żadnego zysku przynieść nie są w stanie.“ Otoż streszczony tom pierwszy dziejów Droysenowych Fryderyka Wielkiego, pierwszy tom, będący, jak powiedzieliśmy wyżéj, nietylko relacyą historyczną, ale i wywodem adwokackim na cześć polityki Fryderyka Wielkiego.

Niniejszy tom *drugi*, z którego zdajemy sprawę, prowadzi rzecz wiernie w duchu pierwszego daléj. Autor rozpoczyna ją od ogólnych spostrzeżeń nad sytuacyą stworzoną nabytkiem szlązkim i pokojem wrocławskim. Charakteryzują one zbyt wyraźnie stanowisko autora, żebyśmy ich choć częściowo w naszém sprawozdaniu zamieścić nie mieli. „Dla systemu politycznego,“ mówi, „jaki się począwszy od westfalskiego traktatu utworzył, było jednym z kardynalnych warunków, aby potężny tyle i wojenny niegdyś w środku Europy naród, pozostał w paradoksalnych stosunkach, które zaręczały jego polityczną nicość. Nie można twierdzić, aby w krajach niemieckich nie rozumiano wstydu i niebezpieczeństwa, w jakiém się znajdowano. Ale jakże było zaradzić złemu, dopóki trwała „*niemiecka wolność*,“ którą ów pokój aż do zupełnéj niezależności każdego członka Rzeszy wygórował, dopóki trwała gwarancya zagranicznych mocarstw, pod którą pokój ów „niemiecką wolność i ustawę“ postawił. Z gwarancyą tą w ręku—instrument zaś pokojowy został wyraźnie podpisany jako wieczne prawo i pragmatyczna Sankcya dla Rzeszy—miały gwarantujące mocarstwa zawsze otwarte drzwi, ku mieszaniu się w wewnętrzne sprawy Rzeszy, niezależni członkowie jéj możność, prawo i interes niedopuszczania narodu nigdy do własnéj świadomości. Do tego należy dodać rzecz *drugą*. Niemiecka wolność doszła do zupełnéj dojrzałości, gdy ku ocaleniu rozpoczętéj wbrew cesarzowi i papieżowi reformacyi nie pozostał żaden inny środek, jak opieka i siła terrytoryalnéj autonomii. Z reakcyi przeciw kościelnemu ruchowi, z przeciwieństwa wyznań, rozpaliła się wielka wojna, którą ów pokój zakończył. Jakkolwiek w pokoju tym zasada wielka równouprawnienia była zabezpieczona, pozostawiała przecież niezależności terrytoryalnéj dość miejsca do coraz to nowego ucisku i prze-

śladowań, a przez nie właśnie nowy środek występowania na zewnątrz i wzrostu. Dopóki w narodzie trwały antagonizm i nienawiść wyznań, był on skazany na pozostanie w sobie bezsilnym, w rozdarciu terrytoryalném, w zależności od zagranicy. Ze wszystkiego, co istotę państwa stanowi, nie pozostało odtąd Rzeszy nic więcéj nad pozór i pustą formę. Bez ścisłości na zewnątrz, bez pewnych kompetencyi na wewnątrz, bez innych zasobów finansowych i skarbowych, oprócz tych, które niezależność terrytoryalna ofiarować zechciała, było tylko polityczną ułudą, jeśli zamiast Rzeszy nie występował na widownię cesarz ze swą potęgą domową; w takim zaś razie zdawała się wolność i równość tém niebezpieczniéj przez dwór cesarski być zagrożoną i wywoływała tém niezawodniéj egoistyczną opiekę zagranicy. Coraz luźniejszym stawał się węzeł Rzeszy, coraz bardziéj poczęły przechodzić wszystkie państwowe funkcye na pojedyncze terrytorya; największa ich część była za małą, za podupadłą, za nadto dynastycznemu lub oligarchciznemu wyzyskiwaniu oddaną, żeby równocześnie korzystać z błogosławieństw niezależności, kiedy inne, jak Austrya, Saxonia, Hanower, wszystkie prawie większe domy książęce potęgę swą pozaniemieckiemi koronami zwiększały, odbierając od nich zarazem reguły i kierunek dla swéj polityki. Znaczeniem Pruss było, że wznosząc się z ruin trzydziestoletniéj wojny, stały się same w sobie porządném państwem, państwem niemieckiém w obrębie skołatanéj Rzeszy, nie dynastyczném, lecz monarchiczném, nie stanowém, lecz militarném, nie konfessyjném, lecz państwem zupełnéj swobody sumienia, dającém wszystkim wyznaniom równe prawo i równą opiekę. Że takie państwo na *niemieckiéj* ziemi wyrosło, dowodzi, jak żywotne, głęboko zakorzenione siły jeszcze w niéj spoczywały. Że teraz pod Fryderykiem II, gdy cesarz Karol VI, ostatni męzki potomek domu austryackiego zstąpił do grobu, rozpoczęto walkę o Szlązk; że zwycięztwa jego dawną potęgę cesarskiego niegdyś domu zmniejszyły o jednę bogatą prowincyą, pomnażając przez to w równym stopniu potęgę pruską; że stary system państwowy został wstrząśniony w swych podstawach,—zdawało się przełamywać zaklęcie spoczywające na Niemczech, zapowiadać narodowi przyszłość. Zaledwie Fryderyk II przedsięwzięcie swe szlązkie rozpoczął, pospieszyła publicystyka Rzeszy, czepiając się kwestyi nowego wyboru cesarskiego, roztrząsać szkody, na które Rzesza cierpi. Liczne, ulotne pisma dowodziły, jak cesarze z domu austryackiego nie przestawali nadużywać cesarskiéj powagi w austryackim interesie, pomnażać jéj, zażaleniami stanów Rzeszy gardzić, kompetencyą nadwornéj

rady Rzeszy rozszerzać w sposób niezgodny z duchem wolności niemieckiéj. Przedewszystkiém zarzucały cesarskiéj polityce wiedeńskiego dworu, że odwiodła sejm obradujący już teraz nieprzerwanie przez 80 lat, od powierzonego sobie przez traktat westfalski pierwszego i najważniejszegonia zadania, ułoże i wykończenia ustawy Rzeszy. Po śmierci ostatniego Habsburga, z następną nową elekcyą cesarską, w obec równéj potrzeby wszystkich patryotycznych stanów Rzeszy zdawało się rzeczą wykonalną, Rzeszę gruntownie zreformować, niemiecką wolność ubezpieczyć. Gdy Fryderyk II wkraczał na Szlązk, nie postała mu bynajmniéj w myśli reforma Rzeszy. Jak widzieliśmy, był gotów, gdyby mu w Wiedniu ustąpiono *to, czego żądać miał prawo*, wystąpić z całą swą siłą za pragmatyczną Sankcyą i wyborem wielkiego księcia Toskańskiego (na cesarza). Odprawiony ztamtąd z niczém, wahał się długo z decyzyą innego wyboru. Decyzya jego padła za księciem (elektorem bawarskim), którego Francya polecała. Z elekcyą bawarskiego elektora stracił dom austryacki w Rzeszy stanowisko, które przez trzy wieki dzierżył. Kwestya niemiecka nie była wprawdzie przez to rozwiązana, lecz pierwsze lody przełamane.“

Póty professor Droysen, z którego opowiadania powyższy, szeroki ustęp przytoczyliśmy umyślnie jako rodzaj wyznania wiary politycznéj i historycznéj autora. Nietrudno w nim wykazać błędy, jeśli tak wolno powiedzieć, fizyologiczne, polityczne, logiczne a nawet wprost historyczne, rzecz w rozbiorze Droysenowego dzieła tém potrzebniejsza, że zarazem stanowi krytyczną odpowiedź na założenie całéj szkoły historycznéj, któréj professor Droysen jest najcharakterystyczniejszym wyrazem. *Historycznie*, by od *tego* zacząć, czyż prawda, że państwo Pruskie nie było *dynastycznem*, lecz *monarchicznem*? Znamy je przeciwnie, przez długie wieki, aż do ostatnich czasów, jako organizm *par excellence* dynastyczny, z interesem najwyraźniéj dynastycznym, umiejącym sobie podbijać wielkie środki i zasoby kraju i ludności, a wyznajemy szczerze, iż subtelna dystynkcya między „*dynastycznością*,“ a „*monarchicznością*“ nie jest nam tu w *tym* właśnie specyalnym przypadku zrozumiałą i jasną. Podobnie *inter doctos lis est* co do tolerancyjności Pruss czy Brandeburgii w przed-Fryderykowéj epoce, o któréj autor z pewnym przyciskiem mówi. Zażalenia Rzeczypospolitéj Polskiéj z epoki Sobieskiego i pierwszego Sasa w przedmiocie traktowania katolików w księztwie Lembursko-Butowskiém i Prussach brandeburskich; dom schronienia otwarty w stolicy biskupstwa warmińskiego dla „*exulantów*“ katolickich z Pruss brandeburskich,—dowodzą, że owa pochwała tolerancyi nie jest

tak bezwględnie i bezsprzecznie prawdziwą, jakby kategoryczność twierdzenia Droysenowego przypuszczać kazała. *Fizyologicznie*, jeśli tak wolno powiedzieć, nie wygląda nam równie prawdziwie twierdzenie autora, aby „fakt wzrostu pruskiego państwa na *ziemi niemieckiéj* był dowodem żywotności niemieckiéj.“ Ostatni z pewnością odmówilibyśmy narodowi niemieckiemu ogromnych jego zasług cywilizacyjnych, prawa do życia i przysłości, świetnych warunków żywotności... Czyliż jednak szukać ich właśnie w fakcie wzrostu państwa Pruskiego? Nasamprzód, pamiętajmy, wyrosło ono, nie jak autor twierdzi, na ziemi *niemieckiéj*, lecz poza obrębem właściwych Niemiec, na ziemi przeważnie *słowiańskiéj*. Z faktu podobnéj genezy państwa pruskiego, rodzą się łatwe do rozpoznania na pierwszy rzut oka a uchodzące mimo to przecież uwagi historyka prusko-niemieckiego, *fizyologiczne* różnice między *państwem Pruskiém* a wielką narodową społecznością niemiecką. Organizm państwa brandebursko-pruskiego, kolonii wojskowéj rzuconéj między żywioły obce, wyrabiał się i kształcił na pierwiastku bezwzględnéj, administracyjno-militarnéj centralizacyi; kiedy duch właściwy niemiecki, kiedy samorodny i naturalny organizm polityczny *Niemiec* u siebie w domu wyrabiał się i wyrażał przez szeroko i umiejętnie wyrobiony pierwiastek federacyjny. Nie przeczymy, że podoficer czy urzędnik bezpieczeństwa publicznego pruski mówią językiem Szyllera i Goetego, ale w gruncie rzeczy nie ma nic sprzeczniejszego jak duch Pruss a duch Niemiec, jak moralno-społeczno-polityczny pierwiastek, na podstawie którego Niemcy stały się wielkiemi w dziejach ludzkości, zasłużyły się około jéj cywilizacyi, a pierwiastek, na którym wzrosła potęga pruska. Panuje między niemi niezagodzony niczém antagonizm; trzeba było walki między niemi, trzeba było *albo* rozczynu Pruss w całości niemieckiéj jako ogniwa jéj federacyjnego, *albo* zabsorbowania federacyi niemieckiéj przez naturalizacyjny element pruski; *ale* dopatrywać się w powstaniu i wzroście monarchii pruskiéj dowodu żywotności specyficznie *niemieckiéj*, jest według nas błędem fizyologii historycznéj. Idźmy daléj. Jestże powyższy wywód autora *logicznym politycznie?* Autor ubolewa słusznie bardzo ze stanowiska patryotyzmu niemieckiego nad stanem, jaki ojczyznie jego zgotował traktat westfalski. *Szczegółami*, z jakich się owo nieszczęście, owa „*klątwa*“ traktatów westfalskich dla Niemiec składają, są, nie zapominajmy, znów bardzo słusznie: zbytnia wybujałość niezależności członków Rzeszy, ich „*Libertät*,“ ich możność powoływania się w partykularnym i dynastycznym interesie na interwencyą zagraniczną, daléj owo zagwarantowane zagranicy

prawo mieszania się czy to dyplomatycznie, czy wojennie w wewnętrzne sprawy Niemiec. Zastosujmy te wszystkie zarzuty i żale zasadniczéj natury do polityki niemieckiéj Fryderyka II i zapytajmy, z książką p. Droysena w ręku, czy nie prowadził polityki separatystycznéj, czy nie należał do książąt Rzeszy, którzy swoję „*Libertät*,“ którzy wybujałość własnéj niezależności względem władzy cesarskiéj posunęli do ostatecznego krańca, czy w interesie swego państwa bez względu na cesarza i Rzeszę, nie wzywał do Niemiec, opierając się na przedawnionéj już nieco papierowéj gwarancyi traktatów westfalskich, interwencyi francuzkiéj, czy jéj głównie nie zawdzięcza swego nabytku szlązkiego i swéj późniejszéj potęgi? Dom austryacki próbował kilkakrotnie, próbował w r. 1743, próbował znacznie późniéj, już przy schyłku życia Fryderykowego, szeregować około *siebie* książąt Rzeszy niemieckiéj, raz ku wspólnéj akcyi na zewnątrz, drugi raz ku przeprowadzeniu ściślejszéj jedności z podstawą pierwiastku federacyjnego na wewnątrz. Oba razy, jak sam autor przyznaje, występuje z czynnym protestem przeciw podobnym próbom domu austryackiego—Fryderyk II. Mogło to być zręcznie i mądrze ze stanowiska specyficznie pruskiego; ale jestże ta polityka *niemiecką* i czyż nie składa się przeciwnie od początku do końca z całéj summy generaliów, które autor na karb niesfornych praktykantów „*der deutschen Libertät*“ zwala? Że powodzenia roku 1870 dały niby to podobnéj polityce rozgrzeszającą racyą, nie uważamy za dostateczny dla *historyka* argument, by ją wbrew własnym założeniom i nieuniknionym ich konsekwencyom anachronicznie nietylko uniewinniać, ale nawet jako szczerze niemiecką pochwalać i wspierać... Otoż zasadnicze stanowisko autora, z którém się nam obszerniéj nieco rozprawić przyszło, by po podobném zastanowieniu rozpatrzéć się w szczegółach wypadków, będących przedmiotem jego opowiadania w niniejszym drugim tomie Fryderykowych dziejów. A więc tedy, by mówić z autorem, nie nastąpiła jeszcze reforma państwowego organizmu Rzeszy, ale pierwsze lody zostały przełamane przez fakt wyboru elektora bawarskiego, Karola VII, na cesarza niemieckiego z ramienia Francyi. Właściwością natury ludzkiéj, przynoszącą zaszczyt sile moralnego pierwiastku, który nazywamy sumieniem, przynoszącą często ujmę temu, co nazywamy rozumem, jest kłopotliwa chęć poszukiwania tytułu prawnego, wtedy mianowicie, kiedy się prawo łamie. W polityce Fryderyka czuć mimowolnie jakoby pewny kłopot z wystąpienia przeciw domowi austryackiemu, a powołania się na pomoc „dziedzicznego nieprzyjaciela“ Niemiec przeciw Niemcom. W zasa-

dzie i w gruncie rzeczy zależy mu wśród srożącéj się ciągle jeszcze w Niemczech o sukcessyą cesarza Karola VI burzy wojennéj nie na czém inném, jak na ubezpieczeniu zdobyczy szlązkiéj, o któréj odzyskanie, co nietrudno przewidzieć, dwór wiedeński przy danéj sposobności pokusić się nie omieszka. *Materyalnym* tego środkiem jest szybka i umiejętna organizacya swéj wojskowéj i cywilnéj amninistracyi na Szlązku, budowa i naprawa fortec, zwiększenie armii; *moralnym*, stworzenie sobie z biednego, przepędzanego z miejsca na miejsce, wędrownego cesarza Karola VII z ramienia Francyi *tytułu prawnego* niemniéj dla swéj zdobyczy, jak dla swéj przyszłéj akcyi. Zależy bardzo słusznie królowi pruskiemu, aby *sam* stanął na gruncie *publicznego prawa* Rzeszy, *Austryą* występującą z kandydaturą cesarską Franciszka księcia Lotaryńskiego, małżonka Maryi Teresy, *Austryą* mogącą mu prędzéj czy późniéj dokonaną przezeń zdobycz zakwestyonować, postawić w obliczu opinii niemieckiéj i europejskiéj w *stan bezprawia*. Naturalnym tego środkiem jest wzięcie na seryo cesarskości biednego Bawarczyka, stworzenie sobie zeń szafarza prawa, warsztat fabrykowania za lada naciskiem najrozmaitszych koncessyi terrytoryalnych i politycznych. Odpowiednio do téj taktyki usiłuje Fryderyk przyodziać ów produkt rywalizacyi francuzko-austryackiéj, ów żywy *specymen* upokorzenia Niemiec przez gwarancye traktatów westfalskich, ku zrównoważeniu potęgi austryackiéj, w przybory i zasoby pewnéj rzeczywistéj siły i trwałości. W tym celu pracuje nad utworzeniem tak zwanéj *unii* książąt niemieckich ku zabezpieczeniu tytułu posessyi cesarskiéj; w tymże samym daléj celu, zawiązuje z dworami niemieckiemi negocyacye dyplomatyczne ku wystawieniu tak zwanéj *armii neutralności*, któraby miała przeznaczenie strzedz niby to obszaru Rzeszy od obcych najazdów, w gruncie rzeczy zaś ubezwładniać akcyą Austryi w Niemczech przez stworzenie siły jéj bawarskiemu rywalowi. Plany te i pomysły nie odnosiły zamierzonego skutku, wojna toczyła się między Francyą i Bawaryą z jednéj, tak zwaną *Ligą pragmatyczną* czyli Austryą, Hanowerem, Anglią z drugiéj strony we Flandryi, nad Renem, we Włoszech. Karol VII jeśli znajdował poparcie, znajdował je *wyłącznie* tylko ze strony *Francyi*; w *Niemczech* natomiast była niewątpliwie przewaga popularności i poczucia prawowitości po stronie domu austryackiego. Dom tenże, okupiwszy sobie poświęceniem Szlązka Fryderykowi, bezpieczeństwo na najdraźliwszéj widowni akcyi swéj politycznéj i wojennéj, zaczął dzięki przymierzu angielsko-hanowerskiemu rość w powodzenie. Sukcesami znaczyły się jego kroki w Niemczech, nie mniejszemi

znaczyły się we Włoszech. Świetne zwycięztwo odniesione przez tak zwaną *armią pragmatyczną*, pod osobistém dowództwem króla angielskiego Jerzego II dnia 23 Czerwca 1743 r. pod Dettingen, podnosi niemało barometr nadziei austryackich.

Powodzenia te wojenne Austryi są jednakże rzeczą mniejszą wobec konstellacyi politycznych *nowéj* całkiem natury, które przygotowuje akcya dyplomatyczna. Obawy Fryderyka zwracają się przedewszystkiém w stronę Rossyi, Saxonii i Rzeczypospolitéj Polskiéj. Austrya pracuje w Petersburgu przez posła swego margrabiego Bottę, nad zyskaniem przymierza rossyjskiego, a mimo starań posła pruskiego Mardefelda, znajdują jego usiłowania wdzięczne pole niemniéj u saméj cesarzowéj Elżbiety, jako u kanclerza jéj Bestużewa. Wojna ze Szwecyą, w któréj widać skrytą rękę Fryderyka, zatrudnia wprawdzie Rossyą, dzięki wkrótce zawartemu (r. 1743) pokojowi, ani na tak długo, ani tak wyczerpująco, aby w razie *istotnéj* chęci przerzucenia się dworu petersburskiego na rzecz koalicyi pragmatycznéj, pomoc jego nie miała bardzo stanowczo zaważyć na szali wypadków. Nie mniejsze, bo bliższe niebezpieczeństwo przedstawiało wahanie się domu saskiego i Rzeczypospolitéj Polskiéj. Brühl, nagabywany przez dwór wiedeński, osypywany prezentami, ciągniony widokami dostojeństw i tytułów Rzeszy, począł nadstawiać chętne ucho podszeptom austryackim. Równocześnie powtarzały się szczegóły téj saméj akcyi dyplomatyczno-politycznéj na widowni polskiéj, a wspominając o *niéj*, jako naturalnie najbliżéj nas obchodzącéj, winniśmy zrobić w niniejszém miejscu naszego sprawozdania maleńki nawias. Dzieje nasze z epoki Augusta III są zbyt mało znane; zwykle kładą przycisk na ich mało-budującą stronę obyczajową, na burdy trybunalskie, na postacie i pojawy w rodzaju Radziwiłła Panie Kochanku, na awantury hajdamackie, na artystów kielicha i amatorów półmiska. Tymczasem nie tak zupełnie prawdziwe przysłowie: *„za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa.“* Epoka ta jest epoką równie zaciętego, jak mało dostrzegalnego *dzisiaj* przynajmniéj, pojedynku między ciemnotą, a raczéj udającą ciemnotę spekulacyą polityczną z jednéj, a coraz głośniéj odzywającym się kierunkiem reformatorskim z drugiéj strony. Również cokolwiekbądź kto o niedołężności Augusta III-go, cokolwiekbądź kto o nędzocie moralnéj i umysłowéj wszechwładnego ministra jego Brühla powie, niepodobna zaprzeczyć, że dwór saski *widział* złe wynikające z ówczesnego, wadliwego organizmu Rzeczypospolitéj; że starał się o naprawę ustawy politycznéj, a nadewszystko o pomnożenie wojska i że szukał w Polsce środków i ludzi, na któ-

rychby zbawienną dla Polski działalność mógł oprzeć. Nic naturalniejszego, jak że Prussy, jak że sprzymierzona z niemi chwilowo naówczas Francya, starają się podobną akcyą dworu saskiego w Polsce sparaliżować, a ztąd też to widzimy posła pruskiego Wallenrodta intrygującego na wszystkie strony, przekupującego posłów sejmowych, wywołującego zgorszenia, które wykrył w znacznéj części na sejmie grodzieńskim w roku 1744 poseł Wilczewski. Nie mogąc oczywiście, w sprawozdaniu naszém z Droysenowego dzieła, z dzieła mającego za przedmiot dzieje państwa pruskiego, wdawać się w zbyt szczegółowy rozbiór *naszych* specyalnych dziejów z tejże saméj epoki,—poczuwamy się przecież niniejszém do obowiązku oddania należnego uznania cudzoziemcom, Röppelowi, przedewszystkiém jednakże Droysenowi, którzy trącając o historyą naszę z połowy ubiegłego stulecia, wskazali, jeżeli tak wolno powiedzieć, *rudę*, którą kopiąc historycy nasi *prawdy* i *jądra* owéj epoki dokopać się mogą. By po tym nawiasie wrócić do rzeczy, od któréj rozpoczęliśmy, do sprawy ligi zawiązującéj się powoli w interesie Austryi — wrzały naówczas mimo wszelkich starań, intryg i przekupstw posła pruskiego Wallenrodta, gorące nienawiści przeciw „złemu sąsiadowi brandeburskiemu.“ Opinia wielkiéj massy szlacheckiéj zwracała się przeciw niemu, a sens moralny rozrzuconego po kraju, zalecającego reformy, powiększenie wojska i skarbu, zniesienie a przynajmniéj ograniczenie liczby klasztorów, Listu szlachcica polskiego (*Lettre d'un gentilhomme polonais*), pióra Stanisława Poniatowskiego, wojewody mazowieckiego, zwracał się ostatecznie przeciw Prussom. Dokument ten zakomunikowany dworowi berlińskiemu przez posła jego w Warszawie, Wallenrodta, stał się obok wielu innych nową ostrzegającą wskazówką, objaśniał fakt, że w razie współdziałania Rossyi i Sąxonii w interesie austryackim, Rzeczpospolita Polska, ważna naówczas jeżeli nie czém innem, to geograficznem położeniem, z pewnością przeszkodą w ich zamiarach nie stanie. Wypada teraz uprzytomnić sobie dobrze i wyraźnie charakter ówczesnéj sytuacyi, aby zrozumieć i pojąć w należytém świetle następną akcyą Fryderykową. Liga owa zawiązująca się wówczas, a przynajmniéj mająca się zawiązać i utworzyć, miała na celu i na pierwszym planie przeprowadzenie *Sankcyi pragmatycznéj*, kandydatury cesarskiéj księcia Lotaryńskiego, wspieranie domu austryackiego przeciw uroszczeniom Francyi. Myśli wyraźnie przeciw Prussom zaczepnéj jeszcze w całéj téj tkance dyplomatycznéj *nie* było. Ze stanowiska przezorności i jasnowidzenia politycznego, przeczuwał ją jednakże i prze-

widywał Fryderyk. Przeczuwał i przewidywał trafnie, że dom austryacki, oparty na swych powodzeniach wojennych w Niemczech i Włoszech, silny przymierzami pozawiązywanemi z połową mocarstw europejskich, rozprawiwszy się zwycięzko z Francyą i z Karolem VII, weźmie się z nim do obrachunku o Szlązk, i że wtenczas nadejdzie prawdopodobnie ostatnia godzina wielkości pruskiéj. Ze stanowiska téj mądréj przezorności, która za dni naszych nie dopisała tak gruntownie Napoleonowi III, która dzisiaj nie dopisuje wobec potęgi nowego cesarstwa Niemieckiego i innym wielkim mocarstwom europejskim, rozwija się *następna* taktyka akcyi Fryderykowéj. Doszedłszy do *tego* punktu naszego sprawozdania, winniśmy znów sięgnąć po dosłowną cytatę z autora. „Przypomnijmy sobie," mówi, słowa, które Fryderyk II po zawarciu traktatu wrocławskiego napisał. Zależy nam tylko na tém, aby gabinety europejskie przyzwyczaiły się widzieć nas na stanowisku, jakie nam wojna nadała; myślę zaś, że przy wielkiém umiarkowaniu, przy wielkiéj cierpliwości względem naszych sąsiadów, doprowadzić do tego możemy. Jakże trudno współczesnym pośród natłoku wypadków poznać i uznać, że fakta są więcéj niż faktami, że są następstwami, a że się stają przyczynami, że się w nich spełniły i urzeczywistniły zasady, z któremi się odtąd obliczać należy. Do pokoju owego popychała Anglia dwór wiedeński, aby stary system państwowy utrzymać, z którego kardynalnych warunków przez ten pokój właśnie najważniejsze poświęcono. Fakt dokonany dowodził, że nowe państwo militarne, protestanckie, niemieckie, wstąpiło do rzędu obdarzonych głosem potęg. Ogólna nieufność, która się przeciw niemu odezwała, była pod pewnym względem miarą jego znaczenia. Dawniejsi sprzymierzeńcy, od których się odłączył, przeciwnicy, z którymi zawarł pokój, neutralni i niby neutralni, wielcy i mali, spoglądali z równie żywém niezadowoleniem na jego wzrost: jedni z zazdrością i ambicyą, drudzy z żądłem doznanéj krzywdy lub zdeptanych nadziei, inni z cnotliwém oburzeniem pobożności lub pokojowości, wszyscy ze wzrastającą niespokojnością. Pamiętajmy tedy, iż jedynym celem Fryderykowéj polityki *natymczasem*, jest, wśród otaczającéj nieufności, chęć zachowania i ubezpieczenia szlązkiéj zdobyczy bez żadnego względu i bez żadnéj myśli na sprawę Rzeszy, cesarza czy Niemiec. Wobec zawiązującéj się na rzecz Austryi europejskiéj ligi, rozpoczyna Fryderyk umiejętną robotę kontrminowania min swych przeciwników. Przez posła swego w Petersburgu Mardefelda, przez Lestocquów, Brümmerów, Woroncowów, przez osobiste, własnoręczne listy do cesarzowéj Elżbiety, starał

się podkopać kanclerza Bestużewa, obalić budowę wzniesioną tamże umiejętnie i kunsztownie przez posła austryackiego Bottę. Z drugiéj strony sięgnął do Konstantynopola i starał się pobudzić Portę Ottomańską do napadu dywersyjnego na Austryą. Równocześnie widzimy posła jego Wallenrodta, intrygującego na sejmie grodzieńskim pomiędzy deputatami przeciw wielkiéj myśli reform i powiększenia wojska. Robotom tym dyplomatycznym towarzyszą ze strony pruskiéj ogromne przygotowania wojenne. Fryderyk zbroi, naprawia i wznosi fortece szlązkie, pomnaża swą armią, formuje nowe pułki kawaleryi, odbywa pilnie manewra, bądź to na Szlazku, bądź w okolicy Poczdamu i Berlina... Wśród owych uzbrojeń, wśród owych dyplomatycznych intryg, streszczających się w owéj chwili przedewszystkiém do zamiaru obalenia za pomocą awanturników obcych, Lestocqua, Brümmera, na dworze petersburskim, oddanego interesowi angielskiemu kanclerza Bestużewa, spada mu w zysku nabytek małéj wagi terrytoryalnie, nieobojętny jednakże ze stanowiska moralno-politycznego znaczenia. Umarł nagle młody, ostatni wielki potomek książęcego rodu wschodnio-fryzońskiego Karol *Edgard*. Fryderyk odnalazł „*prawa*“ do sukcessyi po nim i zajął niezwłocznie stolicę osieroconego książtewka *Aurich*, mimo protestów Hanoweru i samego nawet cesarza Karola VII. Wiedział jednakże, iż będzie obu stronom *potrzebny*, i w świadomości téj potrzeby, nie pytał o niczyje protesta. Była to polityka tém praktyczniejsza, że zabierało się właśnie w zaburzeniach i zmiennych kolejach owéj epoki na nowy akt. Z wiosną roku 1744 zabierała się Francya do nowego zamachu przeciw Austryi; poseł saski Loos pracował w Paryżu za pośrednictwem Maurycego Saskiego w niewiadomych celach. Chodzi o uprzedzenie groźnéj może dla Pruss roboty dyplomaty saskiego, a zresztą ma Fryderyk znów na zawołanie swe nowe „*prawo*“ akcyi. Karol VII, Bawarczyk, jest cesarzem niemieckim; Austrya, Liga pragmatyczna, zabierają się do zamachu przeciw niemu. „Skoro“ mówi autor „miano zamiar uderzyć na wojska cesarskie (Karola VII), trzeba było wiedzieć, że tém samém prowokuje się Prussy.“ Na szczęście *jest* więc podobna prowokacya, *jest* tém samém dane *prawo* akcyi Prussom, a Fryderyk, uprzedzając dalekie zamiary odwetu austryackiego, sięga znów ku utrwaleniu i ubezpieczeniu swéj zdobyczy ku zyskaniu prawa do podobnéj *nowéj*, bezceremonialnie po pomoc, współdziałanie i przymierze „dziedzicznego nieprzyjaciela“ Niemiec, *Francyi*. Gdy lord Hyndfurd, w imieniu elektora hanowerskiego, domaga się odeń wystawienia 30,000 ludzi do strzeżenia neutralności niemieckiéj, odzywa się Fryderyk

po cichu do cesarza Karola VII, puka przez nadzwyczajnego posła swego Rothenburga do drzwi gabinetu wersalskiego i zyskuje ze strony Bawarczyka, ze strony ministra spraw zagranicznych francuzkiego Amelota, nie bez pewnych korowodów, w razie wybuchu wojny przeciw Austryi i w razie swego w niéj współudziału o ustępstwo okręgu Königsgrätzkiego wraz z całym krajem aż po Elbę, kiedy dalsze jego terrytoryalne żądania na tymczasem odrzucają. Targi te nieokreślonéj jeszcze i niesformułowanéj ściśle natury, przybierają w miarę zbliżającéj się zawieruchy wojennéj wyraźniejszą i oficyalną postać. Chwila ta przypomina dziwnie przeddzień wojny w roku 1866. Polityka pruska opiera się tu na *dwóch* głównie czynnikach: na uśpieniu czujności Rossyi z jednéj, na wywiedzeniu w pole interesu francuzkiego z drugiéj strony, a tak targi ponowne poprzedzające samęż akcyą, jak chwila rozpoczęcia akcyi, rzucają charakterystyczne światło na politykę Fryderyka, w któréj autor dopatruje się z pilnością kłębka, owéj czerwonéj nici, mającéj prowadzić Prussy przez dedal dziejowy do jasnéj świątyni jedności niemieckiéj. Tajny traktat między Fryderykiem a Karolem VII, do którego późniéj nieco przystąpiła i Francya, noszący datę dnia 27 Maja 1744, mówił „o ekspedecyi króla pruskiego do Czech w celu zupełnego ich zdobycia i oddania w ręce cesarza (Karola VII), jego następców i sukcessorów. W zamian podobnéj usługi obowiązywał się cesarz ustąpić swe „*prawa*," jakie miał do pozostałego jeszcze w ręku austryackich Górnego Szlązka, do trzech powiatów Królowogrodzkiego, Litomierzyckiego i Bolesławskiego (Bunzlau) aż do Elby, tudzież do Pardubic, z zupełną niezależnością." Co najciekawsza, to, że autor mówi znów i przy *tym* targu o „*prawie*." „Kwestya," mówi, *indemnizacyi* (za co?) Pruss w Czechach, znalazła się w ten sposób z traktatu unijnego usunioną, była ona równie, jak równoczesne zobowiązania Pruss *odzyskania* cesarzowi Czech, przekazaną do *traité d'indemnité* mającego się zawrzeć między Francyą, cesarzem a Prussami, obie więc kwestye tém samém wyrwane ze związku tylko niemieckiéj konfederacyi i systemu Rzeszy, a przeniesione na pole europejskiéj polityki— *dystynkcya, która z pewnością miała swe prawo,* jakkolwiek podstawą jéj była nietylko myśl odróżnienia sprawy naczelnika Rzeszy od czeskich pretensyi domu bawarskiego." Tak „*prawo*" jak „*dystynkcya*" znów dla nas niezrozumiałe, zrozumiały zaś jedynie fakt, że polityka Fryderyka, nie ograniczając się wówczas na środkach zabezpieczenia się przeciw odwetowi austryackiemu, myślała zarazem przy téj saméj sposobności o nowych nabytkach. Owa chęć nowego nabytku w Czechach jest

nader charakterystyczną, tłómaczy w znacznéj części rozpoczynającą się w kilka tygodni późniéj Fryderykową akcyą; co jednakże stokroć charakterystyczniejszém i ciekawszém jeszcze, to ostateczny i decydujący powód rozpoczęcia owéj akcyi przez wkroczenie do Czech. Miesiąc Maj roku 1744 jest chwilą kulminacyjną powodzeń wojennych Austryi, a zarazem skutecznéj jéj działalności około patryotycznego zszeregowania we własnym obozie książąt niemieckich Rzeszy, „owych opornych *Reichstände*," na których się Droysen we wstępie do swego dzieła tyle uskarża. Brat małżonka Maryi Teresy, Karol książę Lotaryński, przekracza Ren i wchodzi do Alzacyi. „*Alzacya i Lotaryngia*," owe dwie prowincye stanowiące przez długie wieki jabłko niezgody między Francyą a Niemcami; przedmiot patryotycznego żalu Niemiec z powodu ich utraty, dank ich zwycięztwa w roku 1870, przedmiot dumy Niemiec z powodu ich odzyskania, mają *już już* być odzyskane w owym miesiącu Maju roku 1744 dla Niemiec przez Austryą — gdy wtém *Fryderyk* uważa za obowiązek własnéj konserwacyi zrobić dywersyą na rzecz Francyi, a wkroczeniem nagłém do Czech wyzwolić Alzacyą i Lotaryngią od możności „bratniego wyzwolenia." Autor uważa krok podobny Fryderykowéj polityki za usprawiedliwiony całkiem. Rzecz nie do wiary, a przecież dosłownie prawdziwa. Posłuchajmy go: „Wiadomość, że wyspa na Renie pod Stockstädtem jest zajętą (przez Austryaków), wiadomość tę zakomunikował mu poseł elektora-palatyna dnia 1 Lipca—*poprowadziła go do stanowczéj decyzyi. Z ową wyspą na Renie uważał linią Renu dla Francuzów za straconą, Alzacyą i Lotaryngią pod grozą poważnego niebezpieczeństwa. Zapobiedz mu było najskuteczniejszym, jedynym może środkiem, jeżeli według planu, co do którego się z Francyą porozumiał, rozpoczynał akcyą. Jeżeli okazywał teraz do tego gotowość, kiedy jeszcze nie miał na swe zawołanie potrójnego przymierza, czynił bardzo wiele po za obręb swoich zobowiązań, oddawał koronie francuzkiéj największą usługę, miał prawo tém większe liczyć na jéj wzajemność. Rozpoczynając zaś swój pochód do Czech w przeciągu blizko 4 tygodni, mógł na to liczyć, iż wtedy francuzka siła w Alzacyi, wzmocniona żołnierzem z nad Mozy i z Flandryi, księcia Lotaryńskiego tém bezpieczniéj powstrzyma, odwrót po za Ren tém zgubniejszym dlań uczyni.*" Tak mówi *dosłownie* professor Droysen. Jakkolwiek kategoryczność jego słów nie pozostawia niczego właściwie do życzenia, przełóżmy jednakże wyrazy jego na uczciwą prozę polską. A więc w roku 1744 zabierała się Austrya odebrać Francyi dla Niemiec Alzacyą i Lotaryngią, lecz Fryderyk przeszkodził spełnieniu tego patryotycznego

dzieła, widząc w perspektywie utratę przyrzeczonych sobie nabytków czeskich, a może i Szlązka. Interes wyraźnie *niemiecki* ustąpił więc w jego polityce interesowi specyficznie *pruskiemu*, a historyk jego w osobie p. Droysena, który biada nad niepatryotyzmem i sobkowstwem książąt Rzeszy, który w Prussiech tylko widzi jądro i objaw żywotności niemieckiéj, uważa politykę podobną nietylko za naturalną, nietylko za słuszną, ale co więcéj, mówi z wyraźną obawą „o niebezpieczeństwie, o zagrożeniu Alzacyi i Lotaryngii... przez wojska niemieckie.“ Czyż to, pytamy naszych czytelników, nie arcyciekawe? i czyż to nie jeden z najmonumentalniejszych światłorzutów na obecną historyografią prusko - niemiecką?!

Wróćmy jednakże do Fryderykowéj akcyi, która *oswobadza* Francyą przez inwazyą do Czech, od niebezpieczeństwa utraty Alzacyi i Lotaryngii na rzecz Niemiec. Z miesiącem Sierpniem 1744 roku wkracza tedy Fryderyk do Czech i odnosi dzięki ogołoceniu zupełnemu kraju z wojska, zatrudnionego na teatrze wojny nadreńskiéj, łatwe bardzo powodzenia. Praga dostała się bez wystrzału w ręce pruskie, kraj cały znalazł się w posiadaniu Fryderyka. Gwałtowny ten jednakże i gorszący patryotyczną opinią niemiecką zamach, wywołał przecież prócz *jéj* reakcyi, *czynne* kroki ze strony austryackiéj, na ten raz niemniéj energicznéj akcyi *dyplomatycznéj*. Książę Karol Lotaryński został natychmiast zawezwany do powrotu z nad Renu, i wyruszył ztamtąd z całą armią do Czech. Równocześnie rozpoczęła Austrya swe zabiegi około Saxonii, a ściśléj powiedziawszy około Brühla i Rzeczypospolitéj Polskiéj. Polska i rozpoczynający się w Październiku roku 1744 sejm grodzieński stały się widownią zabiegów i istnie licytacyjnéj roboty dyplomatów europejskich. Jeśli Villers poseł francuzki i Wallenrodt poseł pruski pracują nad ubezwładnieniem zaczepności polskiéj przeciw Fryderykowi, pracuje skuteczniéj w kierunku przeciwnym poseł austryacki Esterhazy. Zależy przedewszystkiém na przymierzu saskiém, ważném niesłychanie ze względów geograficznych, strategicznych, politycznych i materyalnych. W tym celu ofiaruje Austrya Saxonii alians z widokami zyskania po szczęśliwie przeprowadzonéj wojnie Chocibuża (Kottbusa), powiatu Krośnieńskiego i może Magdeburga; niedość na tém, działa na opinią polską „*manifestacya*“ dworu saskiego, żaląca się na przemarsz Fryderyka przez Saxonią i przypominająca liczne pokrzywdzenia Polski ze strony brandeburskiéj. Wśród podobnych okoliczności, wśród podobnéj roboty Anglii i Austryi nad Saxonią, Saxonii nad Polską, zabiera się na wspólną akcyą Saxonii wraz z Austryą, a jeżeli dwór drezdeński wyraźnie się jeszcze nie decyduje, staje przecież

armia saska na stopie wojennéj, a dowodzący naczelnie ks. Weissenfels, odbiera pocichu rozkaz być gotowym do wkroczenia na czele 20,000 ludzi w granice czeskie. Nie można więc powiedzieć, żeby mimo inwazyi Fryderykowéj do Czech, konstellacye dyplomatyczno-polityczne dla dworu wiedeńskiego stały niekorzystnie; co zaś nadto ważniejsza, znajdowały potężną podporę w szczęśliwéj dlań akcyi wojennéj. Fryderyk wkraczając do Czech, popełnił ważny błąd, iż lekceważył sobie nadto nieprzyjaciela, iż nie pozakładał należycie magazynów, iż w razie możliwego niepowodzenia, nie zabezpieczył sobie należycie odwrotu. Skutki tych błędów nie omieszkały rychło się na nim pomścić. W miesiącu Październiku staje na teatrze wojny czeskiéj z całą swą siłą książę Karol Lotaryński, nadto towarzyszy mu skutecznie liczna assekuracya Pandurów „Tolpaczów," chmara powstania węgierskiego pod dowództwem Nadasdżego, Frenquiniego i innych. System wojny ze strony austryackiéj był na ten raz odmienny od systemu wojen dawniejszych, a dla Fryderyka niezmiernie uciążliwy i niebezpieczny. Był to system wojny partyzanckiéj. Chmary powstańców węgierskich poprzedzały regularną armią księcia Karola, wpadały na tyły armii pruskiéj, przecinały dowozy, zabierały transporta, znosiły małe oddziały pruskie. Fryderyk znalazł się w skutku tego, nie stoczywszy właściwie i nie przegrawszy też żadnéj bitwy, w najkrytyczniejszém położeniu. Było ono poniekąd podobne do położenia Napoleona po zajęciu Moskwy. W Listopadzie r. 1744 nareszcie zdecydował się na odwrót. Opuściły wojska pruskie Pragę, opuściły wszystkie swe stanowiska w Czechach. Nie od głodu i chłodu listopadowego i grudniowego, nie od najgorszych dróg, nie od ciągłych napadów partyzantów austryackich, odbywał się ów smutny odwrót armii pruskiéj z Czech na Szlązk, z ogromnemi stratatami w ludziach, materyale wojennym, broni i amunicyi. Fryderyk, jakkolwiek nie zgnębiony na duchu, wrócił sam do Berlina, armia pozostała na leżach w Szlązku. Wrażenie téj bezbójnéj klęski na Europę, na Prussy same, na otoczenie nawet Fryderykowe, nawet na zaufanego ministra jego Podewilsa było ogromne, a jak zwykle znalazło natychmiast magiczny, równoległy oddźwięk w akcyi dyplomatycznéj wrogich Prussom żywiołów. W chwili przesilenia starego 1744 na nowy rok 1745, odnoszą nareszcie pożądany skutek starania posła austryackiego w Warszawie Esterhazego. W Warszawie pod dniem 8 Stycznia 1745 r. staje poczwórne przymierze między Austryą, Anglią, Hanowerem, Rossyą i Saxonią, obejmujące ze strony Rossyi i Anglii nietyle jeszcze obowiązek wyraźnéj akcyi przeciw Fryderykowi,

ile raczéj przyzwolenie ich i poparcie dyplomytyczne na *to*, co Saxonia i Austrya po zawarciu i przy zawarciu pokoju, z Prussami zrobić zamyślają. Program zaś ten przewidziany traktatem warszawskim jest następny: Szlązk ma powrócić do Austryi; Saxonia zyska, jak już dawniéj stypulowano, Chocibuż, powiat Krośnieński i Magdeburg lub Hallę; Rzeczpospolita Polska wreszcie, w zamian ustąpionych Rossyi województw Białoruskich, zyska w wieczne posiadanie Prussy Wschodnie. Równocześnie zezwalały podpisane pod traktatem warszawskim mocarstwa na reformy w Polsce zamierzone oddawna przez dwór drezdeński, mianowicie zwiększenie władzy królewskiéj i pomnożenie wojska. Otoż zyski jakie Rzeczypospolitéj, chociaż stronie właściwie traktat nie współpodpisującéj, udało się wynieść szczęśliwie, dzięki składowi okoliczności wbrew robotom Wallenrodta, Villersa, wbrew widzeniom daléj przekupionych przez posła pruskiego magnatów polskich, w rzędzie których spotykamy się z imieniem Ossolińskiego. Zawiązywała się w ten sposób, w chwili właśnie niepowodzeń wojennych Fryderyka w Czechach, niebezpieczna koalicya przeciw Prussom, tém niebezpieczniejsza, że według sprawozdań dochodzących do Berlina ze Szlązka, ludność tamtejsza objawiała usposobienie nader przychylne Austryi, pielgrzymowała do Częstochowy, zkąd wynosiła wrażenia nieprzyjazne Prussom. Szlachta polska wreszcie nadgraniczna była gotowa wspierać wszelkiemi siłami inwazyą austryacką do Szlązka i ruch miejscowéj ludności. Był to istotnie niebezpieczny dla Pruss moment, niebezpieczniejszy niż niejeden z najkrytyczniejszych ustępów późniejszéj wojny siedmioletniéj. Co im gotowała dyplomacya europejska, przekonaliśmy się z powyższego opowiadania; tymczasem zaś wkroczyli Anstryacy na Szlązk, a nieregularne ich zastępy zajęły kraj aż do Opola, zaczęły się wzdłuż granicy polskiéj szerzyć i na dolnym Szlązku. Tak stały rzeczy przez miesiąc Styczeń i Luty roku 1745. W téj też to chwili nastąpił fakt, który opowiemy własnemi słowy p. Droysena, a który niechaj będzie znów miarą i cechą *niemieckiéj* polityki Fryderyka II. „Przypadek,“ mówi, „spowodował, iż pismo pewne hrabiego Schmettau (dyplomaty pruskiego) do króla (Fryderyka II) dostało się wraz z kilku innemi dokumentami w ręce austryackich huzarów. Były one powierzchownie tylko, w kilku słowach cyfrowane, które łatwo dopełnić było można. Odsłaniały one ścisły związek Pruss z Francyą, tajemnicę wielkiego ułożonego przez Fryderyka planu wojennego, jego gwałtowne naleganie, *żeby francuzkie armie wkraczały do Bawaryi i Dolnych Niemiec.* Wiedeński dwór pośpieszył z ogłoszeniem tych dokumentów, odpowiadając na zapy-

tanie Szwabskiego okręgu, który prosił o opiekę i oszczędzanie swéj ciężko zagrożonéj neutralności. Wrażenie wywołane ogłoszeniem tych dokumentów było nie do opisania; czytano przecież w piśmie Schmettau do cesarza (Karola VII), że odtąd nie należy mieć względu tak troskliwego na książąt i okręgi Rzeszy, że przyszedł czas, w którym przełamać należy niechcące się nagiąć trudności i że nie należy cierpieć nadal w Rzeszy żadnéj neutralności. W piśmie zaś pewném do Ludwika XV mówił, że nie ma żadnéj innéj myśli, jak utrzymać ścisły związek między nim a swym królem (Fryderykiem), który (według *dosłownego* wyrażenia): „WKM, i Jego następców, będzie robił na zawsze rozjemcami europejskiéj równowagi." W sprawozdaniu zaś znów do Fryderyka II, znajdowały się wyrażenia o francuzkich marszałkach, o hr. Seckendorfie i innych, które kompromitowały Fryderyka niemniéj względem cesarza, jak względem Francyi. Na cóż się zdało, że Fryderyk swego nieostrożnego pełnomocnika natychmiast odwołał, niełaskę swą mu oświadczył, że go wysłał do miasta Brandeburga ku oczekiwaniu dalszych rozkazów? Swiat polityczny znajdował się jeszcze pod wrażeniem świeżém tych rewelacyi, gdy gazety doniosły, że francuzki poseł zapowiedział elektorowi trewirskiemu, iż armia francuzka licząca 50,000 ludzi, w celu ułatwienia operacyi na przyszłą wiosnę, pomaszeruje wzdłuż Renu, iż go obsadzi od Moguncyi aż do Bonnu i Düsseldorfu i że zajmie kwatery w trzech duchownych elektorstwach. Mimo protestu elektora trewirskiego, zaczęli Francuzi pod koniec Listopada posuwać się po obu brzegach Renu." Otoż to znów próbka niemiecko-patryotycznéj akcyi i missyi Fryderyka, o któréj nam autor tyle już naopowiadał. Wolimy od tych łamanych sztuk sofistyki samę wojenną akcyą Fryderyka, która właśnie w téjże saméj chwili niemal z uśpienia budzić się poczyna. W Lutym 1745 r. zabiera się naczelnie dowodzący na Szlązku generał pruski Lewaldt do odwetu nad szczęśliwém dotąd powstaniem węgierskiem. Potyczki pod Habelschwerdtem, Płomnicami, Raciborzem zadają Austryakom dotkliwe, klęski a Szlązk znajduje się znów w ręku Prusaków prawie cały, gdy wtém nadchodzi wiadomość o zgonie cesarza Karola VII (dnia 20 Stycznia 1745 r.), który to wypadek sprowadza stanowczą zmianę dekoracyi ze szkodą Pruss. Przez śmierć Bawarczyka, przez poruszenie się późniejsze saskich pretensyi do cesarskiego tronu niemieckiego w traktacie zawartym w Füssen ze strony jego następcy—ubywa Prussom tytuł prawny, na podstawie którego cała ich dotychczasowa akcya się rozwijała. Pragnieniem też odtąd tak ich, jak Francyi zawarcie pokoju na warunkach

status quo ante bellum; ale zwycięzka dotąd Austrya nie chce chwilowo o tém słuchać, a więc wojna staje się nieuniknioną koniecznością. Żwawo też postępuje znów akcya wojenna przeciwników Fryderyka równolegle z akcyą dyplomatyczną. Nowe ministerstwo angielskie zgadza się naówczas na projekt pozbawienia Pruss posiadłości szlązkiéj, staje dalej traktat między Saxonią, Hanowerem a Austryą, regulujący przyszłe nabytki na Prussiech wreszcie zalewają znów tłumy powstania węgierskiego, jak poprzednio w miesiącu Grudniu i Styczniu, górny Szlązk. Fryderyk wyjeżdża z Berlina w miesiącu Marcu do armii na Szlązk, ale wobec tego co się dzieje na widowni politycznéj i wojennéj, widzi sam niesłychaną krytyczność swéj sytuacyi, i pozostawia po lecenie, aby być gotowym do wyprawienia archiwów, klejnotów skarbu, rodziny królewskiéj bądź do Szczecina, bądź do Magdeburga. Tymczasem pozostaje w tym wysoko krytycznym momencie, wśród ubijania się jego generałów na Szlązku z ruchawką austryacką, jedyną jego nadzieją, opieką i podporą znów nié kto inny jak „*der Erbfeind*“ Niemiec, *Francya.* Fryderyk wygląda nieledwie odsieczy francuzkiéj w tym krytycznym swego istnienia momencie z podobną tęsknotą, z podobnym niepokojem, z jakim Wellington w krytycznym momencie ataków Neya na pozycye swe pod Waterloo, spoglądał raz na zegarek, inny raz ku wschodowi, czekając czy na horyzoncie nie ukażą się zbawcze zastępy Blüchera... I stało się rzeczywiście, jak się obaj spodziewali i wyczekiwali! Wśród owych strachów i kłopotów na Szlązku, wśród gotowości dworu do wyjazdu z Berlina, nadeszła pocieszająca wiadomość o wielkiéj wygranéj francuzkiéj pod Fontenoy (dnia 11 Maja 1745 r.). „*Erbfeind*“ francuzki odniósł zwycięstwo nad armią działającą w interesie tradycyjnego, uświęconego wiekami w Niemczech domu cesarskiego Austryi. Reprezentant idei i missyi niemieckiéj na *przyszłość*, Fryderyk *cieszy się* z podobnego zwycięztwa „*Erbfeinda*“ niemieckiego nad sprzymierzeńcami cesarskości niemieckiéj. „Oceniał (Fryderyk),“ mówi autor, „należycie wprawdzie moralne wrażenie, jakie wywoła dzień z pod Fentonoy na usposobienie w Hollandyi i Anglii, ale przewidywał, że Marya Teresa niemniéj energicznie dlatego będzie się posuwała w Szlązku, że dwór drezdeński nie mniéj gorliwie wspierać ją będzie, że Bestużewy i Czerniszewy niemniéj intrygować i popychać rzecz będą. Ach, gdybyśmy, wołał, mogli mieć dzień, jak 11 Maja! a wszyscy nasi przeklęci zazdrośnicy, wszyscy nasi chytrzy sąsiedzi zmieniliby zaraz swą postawę, a my zyskalibyśmy tém pewniejszy i chwalebniejszy pokój!“ Inwokacya podobna nie miała

pozostać niewysłuchaną. Po kilku nie rozstrzygających nic potyczkach w górach szlązkich, przyszło dnia 4 Czerwca 1745 r. do walnego spotkania pod Hohenfriedbergiem, w którém dyscyplina wojska pruskiego, liczba jego i geniusz wojenny Fryderyka odniosły walne zwycięztwo nad armią austryacką, a które dla Pruss było czémś więcéj nawet niż dla Francyi „dzień 11 Maja.“ Szlązk był dla Pruss odzyskany, wróciło dla Berlina i dla sytuacyi Fryderyka uczucie bezpieczeństwa, on sam był gotów do zawarcia pokoju na warunkach *status quo ante bellum*, z poświęceniem nawet Francyi, któréj w tak znacznéj części tryumf swój zawdzięczał. Jaką koleją rozumowania, doszedłszy do *tego* faktycznego punktu swego opowiadania, autor usiłuje znów wmówić czy to we Fryderyka, czy to w ówczesną sytuacyą pruską intencye missyjne polityki *niemieckiéj*, świadomie czy nieświadomie, nie nasza rzecz roztrzygać, ale mimo to posłuchajmy znów jego *dosłownego* wywodu. „*Niemiecka* kwestya spolaryzowała się poraz pierwszy między Prussami a Austryą. Jeśli królowa węgierska (Marya Teresa) za pomocą mocarstw morskich zamierza się wynagrodzić za utratę Szlązka dziedzicznemi krajami cesarza (Karola VII), z upokorzeniem cesarza władzę cesarską na nowo dla swego domu pozyskać, stawają Prussy na jéj drodze, w ponownéem przymierzu z Francyą z wyraźnie objawionym zamiarem zniszczenia przyszłych prób austryacko-węgierskiego, *obcego* panowania nad Rzeszą. Niechęć jednakże i nieufność książąt niemieckich, więcéj jeszcze ospałość i niemoc cesarskiego dworu (Karola VII), najwięcéj zazdrość i połowiczne środki Francyi, podkopują świetnie rozpoczęte przedsięwzięcie.“ Wyborna logika. Zabierać Austryi Szlązk, wiązać się z Francyą ku zabezpieczeniu swéj zdobyczy, sprowadzać w tym celu armie francuzkie do Niemiec — jest traktowaniem narodowéj polityki niemieckiéj. Chcieć zabierać wyłamującemu się z pod węzła prawa publicznego niemieckiego księciu pewne obszary w porozumieniu z mocarstwami morskiemi, którym nikt przez cały ciąg dziejów zaborczości względem Niemiec nie jest w stanie zarzucić—jest próbą narzucenia Niemcom obcego, austryacko-węgierskiego jarzma... Ależ wróćmy do sytuacyi stworzonéj zwycięztwem Fryderyka pod Hohenfriedbergiem. Francya i Prussy chciałyby może pokoju na warunkach przedpokojowego stanu rzeczy, ale nie chce go Austrya, uważając Hohenfriedberg za przypadkową, jakkolwiek niekorzystną okoliczność. Przeciwnie, zabiera się Austrya do przeprowadzenia elekcyi małżonka Maryi Teresy na cesarza niemieckiego we Frankfurcie, a Saxonia zawiera pod dniem 8 Lipca 1745 r. z Hanowerem tra-

ktat regulujący kwestyą mających się dokonać na Prussiech zdobyczy. Fryderyk dowiedziawszy się o tym traktacie, zwraca przedewszystkiém główne swe starania ku odciągnieniu Saxonii od ligi austryackiéj i czyni jéj niezaprzeczenie świetne nader ofiary, W porozumieniu z Francyą oświadcza gotowość popierania kandydatury Augusta III do cesarskiego tronu Niemiec. W zamian tak świetnéj ofiary, zrzekłby się król August korony polskiéj i ustąpiłby jéj Leszczyńskiemu, którego sukcessorem byłby syn Augusta III ks. Ksawery ożeniony z jedną z córek Ludwika XV. Saxonia odrzuca jednakże podobną ofiarę, książę Conti zmuszony cofnąć się za Ren, a miasto Frankfurt otwarte odtąd dla książąt elektorów przychylnych domowi austryackiemu, którzy też uroczyście wybierają nareszcie cesarzem księcia Lotaryńskiego Franciszka, małżonka Maryi Teresy. W obec podobnéj postawy Austryi i podobnych niebezpieczeństw, postanawiają Francya i Fryderyk wysadzić w powietrze dwie przygotowane przez się oddawna przeciw swym nieprzyjaciołom miny. Francya wysyła po cichu na swych okrętach, za swe pieniądze, ze swą bronią i amunicyą pretendenta Karola Edwarda Stuarta na brzegi Szkocyi, by sparaliżować skutecznie akcyą Anglii na lądzie stałym europejskim; Fryderyk wydaje równocześnie, oszczędzając lud saski, oszczędzając dwór drezdeński, manifest przeciw polityce saskiéj, przeciw Brühlowi, zapowiadając zarazem czynne wystąpienie przeciw Saxonii. Towarzyszyły obu tym wypadkom ponowne targi o subsydya pieniężne między Fryderykiem a Francyą. Fryderyk żądał jednorazowéj summy 24 milionów talarów, kiedy Francya zgadzała się tylko na 500,000 franków miesięcznie. Wśród tego wszystkiego nastąpił nowy czyn wojenny energii Fryderykowéj przeciw powolnéj i ospałéj akcyi austryackiéj. Dnia 30 Września 1745 r. gromi Fryderyk ponownie armią austryacką pod Sohrem, a książę Karol Lotaryński cofa się do Czech i zakłada obóz pod Jaromirzem. Nowa ta wygrana w połączeniu z postępami pretendenta w Szkocyi, poprawia do tyla ciągle zakłopotaną politycznie pozycyą Fryderyka, iż Anglia czyli Hanower zawierają z nim konwencyą neutralności, że więc akcya jego ze strony zachodniéj przynajmniéj, nie doznaje odtąd ważniejszych przeszkód. Tymczasem właśnie może owo ustąpienie chwilowe z placu Anglii, dodaje ostrogi działaniu Saxonii i sekundującéj jéj zdala interwencyi dyplomatycznéj Rossyi. Rossya czyli kanclerz Bestużew i minister spraw zagranicznych Woroncow czynią przez reprezentanta Rossyi w Berlinie, Czerniszewa, przedstawienia wielce znaczącéj, groźnéj nawet natury. Robią wyraźną różnicę w swych

notach między staremi prowincyami pruskiemi a Szlązkiem, i odradzają zaczepnéj akcyi przeciw Saxonii, ponieważby w takim razie mogła nastąpić przewidziana traktatem warszawskim ewentualność działania 12,000 żołnierza rossyjskiego wspólnie z wojskiem Rzeczypospolitéj Polskiéj ku obronie neutralności saskiéj. Co w chwili téj jest rzeczą najciekawszą, to że najgorliwszą orędowniczką Fryderykowéj sprawy, że najskrzętniejszą agentką jego i korrerpondentką na dworze staje się wielka księżna, późniejsza cesarzowa Katarzyna. Odsłania mu rozmaite dyskrecye dyplomacyi i gabinetu zagranicznego rossyjskiego a w dodatku radzi mu dla pozyskania sobie przychylności cesarzowéj Elżbiety, przysłać zamiast dotychczasowego reprezentanta swego w Petersburgu letniego i ciężkiego Mardefelda, jakiego młodego, przystojnego i umiejącego się podobać ambassadora... Równocześnie, kiedy Fryderyk znajduje podobnie użyteczną przyjaciółkę na dworze petersburskim, pojawia mu się jakby na zawołanie niemniéj pożądany sprzymierzeniec na dworze wiedeńskim, odsłaniający tajemnicę zamierzonéj akcyi *saskiéj* przeciw niemu. Sprzymierzeńcem tym jest poseł szwedzki na dworze wiedeńskim Rudenskjöld. Dyplomata szwedzki utrzymujący stosunki z Berlinem, podchwycił plan akcyi saskiéj przeciw Prussom i zakomunikował go Fryderykowi. Według tego planu mieli Austryacy niezwłocznie wkraczać nanowo do prusskiéj Luzacyi i na Szlązk, kiedy armii saskiéj, pod dowództwem Rutowskiego i Sybilskiego, przypadało zadanie wtargnięcia na terrytoryum pruskie pod Hallą. Zamierzony ten ze strony Austryi i Saxonii zamach, odsłoniony gabinetowi berlińskiemu w swych najdrobniejszych szczegółach, spowodował natychmiastową decyzyą Fryderyka pożegnania się z ostatniemi względami, jakie mimo wyraźnéj już prawie z obu stron nieprzyjaźni, jakie mimo sierpniowego manifestu swego, zachowywał jeszcze dla Saxonii. W Listopadzie r. 1745 wkracza Fryderyk do Saxonii i posuwa się dwiema kolumnami ku Miśnii i Dreznu. Między jego przedniemi strażami a wojskiem saskiém odbywają się liczne potyczki, w których wprawdzie Prusacy same tylko odnoszą korzyści, w których jednakże równocześnie odznacza się ze strony saskiéj świetnie Polak Sybilski, znany zwolennik dworu saskiego, choćby nawet przeciw własnym ziomkom, jeszcze z epoki konfederacyi Tarnogrodzkiéj.. Austryacy cofają się wobec téj inwazyi pruskiéj i koncentrują się w okolicy Drzezna, August III wraz z całą rodziną i dworem opuszcza stolicę i ucieka do Pragi, ku wielkiemu, choć niewiadomo o ile szczeremu zgorszeniu Fryderyka, który ucieczkę podobną dworu saskiego za ubliżenie dla siebie i swych przyjaz-

nych intencyi uważa, ponieważ nie myśli wojować ani z królem Augustem, ani z krajem, ani z ludnością Saxonii, lecz zakłada jedynie czynny protest przeciw przewrotnéj polityce Brühla, a przez wkroczenie do Saxonii pragnie sobie zabezpieczyć tylko tyle pożądany ogólnie pokój. Wśród wspomnianych wyżéj potyczek, wśród wymiany owych dyplomatycznych dokumentów, maskujących dość przezroczyście oblicze prawdziwego położenia rzeczy, — schodzą koniec Listopada i pierwsza połowa Grudnia. Przedłużenie tyle upragnionéj pod względem strategicznym sytuacyi, mogło się stać dla Fryderyka groźném, uwięzienie jego z całemi siłami w Saxonii mogło pociągnąć za sobą utratę Szlązka, następnie oskrzydlenie samejże armii pruskiéj na stanowiskach saskich. Wśród takich okoliczności dał Fryderyk z Miśnii rozkaz księciu Leopoldowi Dessauskiemu posunąć się naprzód i uderzyć na okopaną pod wsią Kesselsdorf, połączoną armią austryacko-saską. Dnia 15 Grudnia 1745 r. przyszło tu do krwawego spotkania, którego rezultat ostateczny wahał się długo, które było niezmiernie krwawe, które kosztowało armią pruską wiele więcéj ofiar, niżeli Austryaków i Sasów, które jednakże, co najważniejsza, skończyło się znów wygraną pruską i odwrotem pobitéj armii sasko-austryackiéj do Czech. Bezpośredniém następstwem kesselsdorfskiego zwycięztwa było zajęcie Drezna przez Fryderyka, który, jak zaręcza autor, był przyjęty przez miejscową ludność bardzo dobrze, a który dyscypliną i względnością dla mieszkańców starał się ową korzystną dla siebie opinią podtrzymać. W kilka dni potém stanął w Dreznie ze strony wiedeńskiego gabinetu ks. Harrach, aby rozpocząć układy o pokój. Fryderyk wydelegował do nich ze swego ramienia ministra swego Podewilsa. Na warunki zgodzono się prędko. Podstawą ich pozostał stan rzeczy przedwojenny, tak dla Pruss, jak dla Saxonii, jak dla Austryi, tak pod względem terrytoryalnym jak pod względem politycznym. Jedyną *nowością* było, że Fryderyk uznawał traktatem owym, podpisanym w Dreznie dnia 25 Grudnia 1745 r. cesarskość Franciszka I, księcia Lotaryńskiego, małżonka Maryi Teresy. On sam, cesarz, nie był zadowolony z zawartego pokoju. Uznawał go jako smutną konieczność, jako rzecz przymusu dokonanego na chwilowéj bezsilności cesarskiéj korony Niemiec. Intencya odwetu przy danéj sposobności wyglądała z poza szczelin wydanego na sejmie Rzeszy w Regensburgu w tym przedmiocie oświadczenia. Otoż i pokrótce naszkicowana *treść* obecnego tomu Droysenowych dziejów Fryderyka II.

Pozostawałoby nam tylko jeszcze rzucić pobieżnie okiem na konkluzye autora, któremi rzecz na tymczasem zamyka. „Kryzys,“

mówi autor, ,,jaką Rzesza w tych latach wojennych przeżyła, wskazuje w swych wielkich zarysach zapasy trzech walczących z sobą dążności. *Austryacka* ma pretensyą zrestaurowania systemu Rzeszy, jaki istniał aż do zgonu Karola VI. Niemiecka społeczność, jakkolwiek luźna, miała ulegać przewództwu Austryi i przez nią się trzymać; cesarskość podtrzymywana przez niemiecką i pozaniemiecką potęgę Austryi; cesarska władza miała być więcéj wpływem, niżeli rządem, więcéj nadającą ton a okolicznościowo i arbitralną powagą wielkiego mocarstwa nad mniéj możnemi i najmniejszemi państwami, aniżeli konstytucyjną, regulującą się samą w sobie wzajemnością praw i obowiązków między głową a członkami. Dążność *francuzka* trzyma się przedewszystkiém stanowiska, aby złamać potęgę domu austryackiego, jedyną, która dotąd równoważyła potęgę domu Burbonów na lądzie stałym europejskim; za pomocą tego, co potędze domu austryackiego wzięto, gdy już Prussy same weszły w posiadanie Szlązka, Bawaryą, Palatynat, Saxonią tak powiększyć, aby i wzmagające się Prussy równoważyć mogły; wojskowo znaczące siły Niemiec tak rozpierwiastkować, aby cesarz pod francuzką egidą, kolejno może bawarski, saski, palatynacki, nie mógł już zapomnieć upatrywać we Francyi swego i Rzeszy protektora. Nakoniec *pruska* dążność. Fryderyk rozpoczął swe rządy od tego, iż szukał linii, na któréjby się jego polityka z austryacką zejść mogła, *w celu zabezpieczenia spokojności Rzeszy i Europy;* ofiaruje królowéj Węgier gwarancyą jéj pragmatycznego dziedzictwa i elekcyą cesarską jéj małżonka, jeżeli mu odda zaprzeczane tak długo jego domowi szlązkie księztwa. Dumna dopiero odprawa jego ofiary staje się dlań powodem szukania kombinacyi, któreby mu posiadanie Szlązka zapewnić mogły. Wahając się, *spodziewając się ciągle jeszcze rozsądniejszych postanowień dworu wiedeńskiego*, postępuie naprzód... Są to proste wytyczne, które nim kierują, ściśle rozpoznane czynniki położenia rzeczy... Naród czuł, co dlań znaczą to państwo i ten król. Niezadługo nie miały i oficyalne Niemcy, terrytoryalna władza książęca, tak świecka, jak duchowna, przeciw roszczeniom wynikającym z pretensyi panowania nad Rzeszą, przeciw zachciankom potęgi austryackiéj innéj opieki, niż opieką, którą im mógł dać Fryderyk II, i wezwali jego pomocy. Nad wieczorem jego życia przyjęli to, co w latach 1743 i 44 odrzucili. Był to pierwszy szkic dzieła, które zwycięztwa z roku 1870 dokończyły.“ Temi słowy kończy autor niniejszy tom dziejów Fryderykowych, rzecz otwierającą szerokie pole do zastanowień i namysłów. Z samego opowiadania autora bije ciągle w oczy prawda, jak dalece w obecnym

przypadku i całéj historyografii niemieckiéj stanowisko jest błędném. Po cóż, pytamy, podkładać aposteryorystycznie całemu temu peryodowi dziejów pruskich, po cóż podkładać bohaterowi jego jako czynniki *prawo* i *missyą niemiecką?* Oba pojęcia są najzupełniéj obce świadomości Fryderyka i jego kreacyi. *Prawem* jego jedyném jest jego interes, interes wielkości jego państwa. Pergaminy praw i traktatów nie są tu żywotnym czynnikiem, lecz podrzędnym, pozorującym, branym na przemian do ręki i rzucanym w kąt środkiem. Sprawa Rzeszy, sprawa Niemiec, jest mu serdecznie obojętną. Akcya jego opiera się głównie i przedewszystkiém na Francyi, wielkość jego potęgi, potęgi, która ma się wypłacić Francyi w sto lat późniéj z górą, wzrasta dzięki współdziałaniu *francuzkiemu*. Bez Francyi nie miałby Szlązka w r. 1742, bez Francyi nie miałby pokoju drezdeńskiego w r. 1745, który mu pozwala zdobycz z r. 1742 zabezpieczyć i utrwalić, przygotować się na późniejszy odwet z r. 1756 w ten sposób, iż go już zachwiać nie jest w stanie. *Francya* więc może i dzisiaj jeszcze oddać sobie sprawiedliwość, iż była *magna pars* wielkości pruskiéj, iż ją zbudowała poniekąd własnemi rękami ku ostatecznemu rezultatowi drugiéj połowy XIX wieku. Czy w genetycznéj fazie owéj wielkiéj kreacyi, któréj historyograf Fryderyka dzieło swe poświęca, był zawarowany interes *Niemiec?* Widzieliśmy, jak Fryderyk przyzywał armie francuzkie ku swéj obronie na terrytoryum niemieckie, jak w stanowczéj chwili wkroczeniem swém do Czech przeszkodził odzyskaniu prawie już dokonanemu Alzacyi i Lotaryngii dla Niemiec, z jaką nadzieją wita dzień pod Fontenoy. Dojrzećże w podobnéj polityce choćby za pomocą mikroskopu źdźbła, choćby tylko kiełkującéj myśli *niemieckiéj?* Z pewnością *nie*. Jest to polityka najwyłączniéj *pruska*, świecąca sobie sama jak lampa w rzymskim grobie, a *prawda* dziejowa zarówno, jak sztuka dziejopisarska, zyskałyby na pozostawieniu Fryderykowi jego *rzeczywistéj* roli, któréj, zmartwychwstawszy, samby się z pewnością nie wyparł. Wielkość Fryderyka, wielkość w swoim rodzaju i w pewnych granicach niezaprzeczona, nie leży w dziedzinie *idei*, lecz jedynie w dziedzinie *akcyi*, akcyi służącéj znów jedynie tylko sprawie i interesowi własnéj kreacyi. Przypisywać mu ze stanowiska względów i prądów teraźniejszości jakąś opatrznościową, przyszłościową missyą, jest to wchodzić w wyraźną sprzeczność z niezatartém świadectwem faktów, jest to daléj szkodzić sztuce dziejopisarskiéj przez wprowadzanie do niéj barw i kształtów, nie przystających do prawdziwego oblicza bohatera tejże epoki. Trzeba tymczasem tak uczonego, tak kategoryzować wszystko lubiącego,

tak ulegającego zarazem panującym wpływom i prądom narodu jakim są Niemcy, aby pod działaniem wszystkich tych czynników, *teraźniejszości* sięgnąć w *przeszłość*, aby z bohatera energii, czynności i niezłamanéj niczém woli, aby z twórcy nowéj zupełnie kreacyi pośród ruin walącéj się staréj Rzeszy niemieckiéj, aby z budowniczego wznoszącego sobie własny dom z *jéj* materyału, bez względu i pamięci na *nią*, zrobić człowieka idei, uczynić kategoryą historyozofii prusko-niemieckiéj, świadome siebie ogniwo łączności między cesarską przeszłością i teraźniejszością pruską Niemiec. Nie możemy powiedzieć, aby historyografia niemiecka, aby w szczególności Droysen był, podejmując dzieło podobne, niesumiennym, aby fałszował wręcz prawdę dziejową. Co nas tylko uderza, to że właśnie fakta opowiedziane stają w wyraźnym zatargu niemniéj z założeniami, jak konkluzyami autora, to że uczą samą swą prostą logiką czytelników, jak dalece są pozbawione podstawy. Wiemy już z powyższego wywodu, co sądzić o stronie *prawnéj* akcyi Fryderykowéj, wiemy daléj co sądzić o jéj patryotyzmie. Niechaj nam będzie wolno zwrócić jeszcze uwagę na jednę niekonsekwencyą i nielogiczność *rozumującéj* strony dzieła Droysenowego. Wiemy bardzo dobrze, za jaki akt herezyi dzisiaj uchodzi w oczach publicystyki i historyografii niemieckiéj separatyzm i partykularyzm czy to książęcy, czy terrytoryalny. Przypominamy sobie, z jakiém zgorszeniem gromił autor „*Libertät der Reichsstände*,“ swawolę wyłączających się z pod władzy cesarskiéj członków Rzeszy. Cóż się tymczasem dzieje w *konsekwencyi* téj zasady ze strony autora? Oto, ponieważ *Austrya* wskazana przez politykę i historyografią pruską z góry na kamień odrzucenia w dziele rekonstytucyi Niemiec, ponieważ monopol tego wielkiego dzieła windykowany dla Pruss, — nazywa się każda próba Austryi, czy to z roku 1743 czy z 1780, ku podjęciu przewodnictwa niemieckiego z powiększeniem władzy cesarskiéj, z ograniczeniem potępionéj „*Libertät der Reichsstände*,“ czynem arbitralności, chcącéj zaprowadzić „obce austryacko-węgierskie panowanie w Niemczech.“ Jak gdyby nawiasowo powiedziawszy, polityka opierająca się w swém działaniu w sercu Niemiec przeważnie na Francyi, była bardziéj „*narodową!*“ Co większa, uchodzi ów partykularyzm i separatyzm książąt niemieckich wobec cesarskiéj władzy Austryi za czyn chwalebny, za czyn jakoby prawem i swobodą nakazanéj obrony, a pod sam koniec Droysenowego dzieła spotykamy się z wyraźną pochwałą Fryderyka, iż niezrażony odprawą r. 1743, stał się r. 1780 patronem i orędownikiem książęcéj samodzielności przeciw cesarskiéj

powadze. Jestże w tém logika i konsekwencya? i czyż nie ma w tém pogwałcenia prawdy i logiki dziejowéj, jeśli nie *faktami*, to *rozumowaniem*? Otoż to jakie sztuki wyprawia *intencya* i *tendencya* przeniesiona z teraźniejszości w dziejową przeszłość. Któż wie zaś, coby się było stało, gdyby jak już w pewném miejscu powiedzieliśmy wyżéj, Brandeburgia, zamiast stanąć w wojnie z Cesarstwem, była stanęła z bogatym zasobem wszelkich swych sił i środków *obok* niego, gdyby je była poparła w wojnie z Francyą, gdyby naprzemian czy to Francuzów, czy żołnierza mocarstw morskich nie była sprowadzała na widownią niemiecką w swoim specyalnym interesie? *Domowa* jéj potęga byłaby prawdopodobnie nie wyrosła na gruncie *takiéj* prawdziwie niemieckiéj polityki, ale *Niemcy* za to byłyby rozrastały się w bezpieczeństwie na zewnątrz, w pełni zdrowia wewnętrznego, na naturalniejszym, szczerze rodzinnym pierwiastku *federacyjnym*, a dzisiaj, zamiast gładkiéj powierzchni organizmu militarno-centralistycznego, przedstawiałyby istny ul bujnego a tryskającego z tysiącznych ognisk intellektualnego życia. Kombinacya to na kombinacyą, refleksya na refleksyą przeniesioną w przeszłość przez historyografa Fryderyka II. Dziś o niéj nie ma co mówić, bo bieg dziejowy poszedł odmienną drogą, a jak Hegel powiada: „*Was ist, ist vernünftig*.“ Cokolwiek bądź jednakże było, jak już powiedziano, w interesie prawdy i sztuki dziejopisarskiéj, lepiéj przedstawić Fryderyka, przedstawić jego kreacyą z przeszłego wieku w ich zupełnéj samodzielności i nowości, aniżeli robić ich świadomymi swego zadania kontynuatorami, nowego tylko prawda autoramentu, idei i missyi *niemieckiéj*, przeznaczonymi do tego z góry do swobodnéj roboty *przeciw* missyi i idei niemieckiéj. Otoż to, w czém *naszych* pojęć, opierając się na samychże przez p. Droysena opowiedzianych faktach, z *jego* pojęciami i ogólnemi rozumowaniami pogodzić nie jesteśmy w stanie.

Pod koniec jeszcze jedna uwaga podrzędniejszego prawda znaczenia. Dotycze ona stylu i języka p. Droysena. Fryderyk mówi o pewnéj depeszy, która go z petersburskiego gabinetu doszła: *Cela est trèsbien, autant que j'y peux comprendre, mais le style allemand m'est si inintelligible, qu'il m'est impossible d'en juger*.“ Fryderykowe to orzeczenie, mogłoby służyć łacno jako godło Droysenowemu stylowi. Nie znamy pisarza niemieckiego posługującego się językiem cięższym, stylistyką zawilszą. Gdyby kiedykolwiek Niemców miał spotkać los Greków i Rzymian, a język ich wyjść na język uczonego i uczącego się po szkołach świata, sprawiałyby

dzieła p. Droysena najwięcéj niewątpliwie kłopotu biednym uczniom najwyższych klass zakładów szkolnych, jakiego 30-go czy 40-go wieku ery Chrystusowéj. Zdaje się jakoby autor, porzucając mimo, świetnych jasnością, przezroczystością i jędrnością mistrzów słowa niemieckich XVIII wieku, był wolał kształcić swój styl i język na urodzonych z klęsk wojny trzydziestoletniéj wzorach torturowanéj nielitościwie makaronizmami i rusztowaniem ciężkich a długich frazesów niemczyzny. Niespożytą a niezaprzeczoną natomiast zasługą dzieła pozostanie bogactwo materyału, materyału nader obfitego, i obficie, jakkolwiek jednostronnie z pruskich wyłącznie tylko archiwów zaczerpnionego.

CÓRKA ROLANDA

Dramat w 4-ch aktach

przez

WICE-HRABIĘ HENRYKA BORNIER'A.

Przekład

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

AKT III.

(*Wielka sala w pałacu akwisgrańskim—w głębi wschody.—Z lewéj strony szerokie okno, przez które widać szranki; po prawéj tron Karlomana. —Za podniesieniem zasłony, młodzi rycerze wsparci na mieczach słuchają Ryszarda*).

SCENA 1.

GEOFROY, RAGENHARD, RYSZARD, HARDRÉ
i wielu innych panów.

RYSZARD (*do Geofroya i Hardrego*).

Dosyć już téj gawędki, mniemam, że zawiele
Zwykłem mówić panowie, więcéj niż przystoi
Mnie mistrzowi szermierki. Rycerz saraceński
Wnet wróci; a słowami pewno go nie zbijem.

(*Geofroy i Hardré fechtują się w głębi po lewéj*).

RAGENHARD (*do Ryszarda*).

Wybacz mi; lecz ta powieść mocno mię zajęła;
Bardzoś był przywiązany widać do Rolanda.

RYSZARD.

Byłem u niego paziem, a potém koniuszym.

RAGENHARD (*n. s.*).

Ten starzec wie coś może... Wybadać go muszę...
(gł.) Ten zgon Rolanda bardzo, bardzo wzruszający!...
Chciałbym wiedzieć szczegóły, pewnie ci wiadome...
Roland byłże pomszczony?...

RYSZARD.

Był, ale zamało.

RAGENHARD.

Ganelon odniósł karę?

RYSZARD.

Co tam taka kara!

RAGENHARD.

Byłżeś przy tém?

RYSZARD.

Zapewne... lecz do dziś żałuję...

RAGENHARD.

Czego żałujesz?

RYSZARD (*podchodząc ku niemu*).

My tu wiemy o tém wszyscy,
Jak wyrokiem cesarskim Ganelon był karan—
Jak go na koń wsadzono i przywiązanego
W las puszczono, ażeby, nim bies porwie duszę,
Wilki go rozszarpały, a rozniosły kruki.
W ślad za nim jam się puścił; krew i strzępy ciała
Wskazywały mi drogę. Nad brzegiem przepaści
Znalazłem jego konia, ale już bez jeźdźca,
Tylkom w oddali ujrzał kilku zakonników
Do klasztoru niosących ciało Ganelona
Martwe już—a tak zemsta moja mię chybiła,
Wilki go nie rozdarły, nie rozniosły kruki!

RAGENHARD.

Słychać, że ten przeklęty Ganelon miał syna?

RYSZARD.

Syna? a miał go... ale gdzieś go przechowano.
Kto przechował? gdzie? kiedy? nie umiem powiedzieć.
(*Idzie do fechtujących się i przypatruje im się*).

RAGENHARD (*n. s. na przodzie sceny*).

Teraz wiem o tém więcéj, niźli ty mój stary!
Prawda na wierzch wychodzi; z mroków się wyjaśnia...
Pierwszą był mi wskazówką ten wzrok Amaurego,
Potém ta okoliczność, że staraniem mnichów
Mógł był ożyć... Zagadka prawie wyjaśniona:
Pod maską Amaurego mamy Ganelona...
Ów syn, który gdzieś zniknął—znalazł się w Geraldzie...
Czekajmy! a powoli wyjaśni się wszystko.
(*Łączy się z młodzieżą rozmawiającą po prawéj*).

RYSZARD (*do Geofroya i Hardrego*).

Daléj, daléj panowie! ot tak wyciągnięte
Ma być ramię... Nacierać! śmiało odbić cięcie
I odskoczyć...

GEOFROY.

Już dosyć! tak jestem zmęczony!...

HARDRE.

Ja także (*odchodzi do grupy, gdzie rozmawia Ragenhard*).

RYSZARD.

O Rolandzie! lepiéj, że grób głuchy
Kryje cię—niżbyś patrzał na te niewieściuchy!

HARDRE.

Gadaj sobie Ryszardzie—ale ta szermierka
Na miecze zbyt morduje nas, co pracujemy
Głowami...

RYSZARD.

I to biada! odkąd wasze głowy
Zjadły wszystkie rozumy, świat głupszy niż kiedy;
Niebezpieczne to sztuki te wasze historye,
Te astrologie, magie i matematyki,
Miękczą serce i ciało robią do niczego.

Kto czyta, źle się rąbie—nie mamyż dowodu?
Na cóż nam się przydały te nowe rozumy?
Jeżeli od miesiąca rycerz saraceński
Wyzywa was na rękę, a który mu stanie
Zaraz bije go w szrankach jednego po drugim;
Na cóż wam ta nauka?—moję wyżéj cenię.

GEOFROY.

Ten to lubi, ten owo—nie kłóćmy się o to.
Czasy błędnych rycerzy przeszły, mój Ryszardzie.
Masz dowód oczywisty... Widzisz tam przy bramie
Ten dzwonek nieruchomy?

RYSZARD.

Wiem, ten srebrny dzwonek.

GEOFROY.

Niegdyś, za twoich dobrych, wychwalonych czasów,
Gdy który z tych rycerzy sławionych przez ciebie,
Dokonawszy wielkiego dzieła, tu przybywał
Stawić się przed cesarzem, by za to nagrodę
Otrzymać z jego ręki—zazwyczaj w ten dzwonek
Dzwonił—a potém prosił o jaką nagrodę,—
Ktoby zaś nie miał prawa téjże się domagać,
W moc surowych statutów srodze był karany:
Otoż od lat dziesięciu, dzwonek ten, Ryszardzie,
Ani raz nie zadzwonił.

RYSZARD.

Z waszéj! z waszéj winy!

GEOFROY.

Nie rzucaj się Ryszardzie—ot pozwól nam raczéj
Poczytać na téj księdze, księga tak ucząca!

RYSZARD.

O czytajcie! czytajcie—ja przyznam się, wolę
Tych co mało czytali, a dzielnie się bili!

HARDRÉ (*zbliżając się na przód sceny w rozmowie z Ragenhardem i innymi*).

Jakto mości Saxonie!... i tobie się zdaje,
Że ten Saracen mógłby?..

RAGENHARD.

O tak, bezwątpienia —
Sprawa z nim dla was Franków będzie niebezpieczna.

HARDRÉ.

Więc myślisz, że w téj walce będziemy pobici
Przez tego poganina, tego Saracena?

RAGENHARD.

Tak sądzę; bo widziałem tego zucha w boju
Pod Narboną, jak z czterma bił się i pokonał...
Mieczem tak cię oślepi, jakby błyskawicą,
A upatrzywszy chwilę sposobną—przeszywa...
Żal mi was, mówię szczerze... Jednak chciałbym wiedzieć
Jak dawno on was wyzwał na ten pojedynek
I z jakiego powodu?

HARDRÉ.

Blizko od miesiąca...
Opowiem jak się stało—właśnieśmy kończyli
Naszę lekcyą szermierki—gdy w licznym orszaku
Wjechał w bramę Saracen, stanął przed cesarzem
I rzekł: Byłem chłopięciem w bitwie roncewalskiéj,
Tam na pobojowisku leżał trup Rolanda,
Pod trupem miecz Durandal – jam ten miecz mu zabrał—
A teraz go odnoszę—ale trzeba wprzódy,
Żeby kto przyszedł miecz ten odebrać mi z ręki!...
Przeklęte to wyzwanie! Czy wiesz? od miesiąca
Już trzydziestu baronów padło w tym turnieju—
Wkrótce zabraknie takich, coby z nim się bili—
A on jak z Durandalem przybył, tak odjedzie.
Mimo tego codziennie, w godzinie turnieju,
Cesarz zwykł tu przychodzić i stawać w tém oknie
Zawsze smutny, znękany tém niepowodzeniem.
Wzrok jego upatruje, zkąd rycerz się zjawi
Już z góry przeznaczony, aby padł w téj walce,
Towarzyszy mu zwykle córka Rolandasa
Pani Berta—on na jéj ramieniu się wspiera,
A choć mało nadziei pokłada w zwycięztwie,
Chce być świadkiem turnieju, i patrzy w te szranki
Jak gdyby w grób otwarty—każdego z rycerzy
Błogosławi swą ręką, nim ducha wyzionie,

I po tém widowisku, złamany i blady
Odchodzi powtarzając: Rolandzie! Rolandzie!

RAGENHARD.

Pojmuję te męczarnie!

RYSZARD.

Na ustęp panowie!
Cesarz, cesarz się zbliża!

(Wszyscy oddalają się. Karloman oparty na Bercie, pokazuje się na wschodach w głębi).

SCENA 2.

KARLOMAN, BERTA.

BERTA.

O panie mój drogi!
Widowisko zbyt przykre; dziś już go zaniechaj.

KARLOMAN.

Nie mogę! to powinność.—Dawniéj tu bywało
Zajeżdżali przed zamek bluźniąc Chrystusowi
Emiry saraceńskie i nas wyzywali,
Aby się zmierzyć z nimi. Jam tylko na moich
Popatrzał Paladynów, i rzekł im spokojnie:
„Mahomet w swoim niebie tęskni za duszami,
Trzeba mu kilka posłać jeszcze przed wieczorem!“
Na to mi odpowiadał okrzyk: „Bóg i wiara!“
I bądź który z uśmiechem i jakby szedł w pląsy
Wjeżdżał w szranki, gdzie czekał na niego przeciwnik
Jaki czarny Saracen.—O! był to bój twardy...
Poganin istny tygrys na rycerza wpadał,
Obalał go, zębami szarpał i przysiadał.
Ale dzielny Paladyn Roland, lub Oliwier
W końcu zawsze zwyciężył—a jam w słusznéj dumie
Czuł się wielkim na tronie, władając wielkimi...
Ach! już takich tryumfów nie doczekam pono!
Nie wiem, czy my tak mali, czy nas poniżono...
O Rolandzie! Rolandzie! ze wstydu się spalę,
Widząc w ręku pohańca twój miecz Durandalę!

(Usiada w krześle po lewéj).

BERTA.

Panie, nie trać nadziei.

KARLOMAN.

Widać, Bóg nas karze,
Kiedy nieprzyjaciołom naszym dał moc taką,
Bo żaden z tych rycerzy będących na dworze
Nie zwalczy Saracena! o nie!...

BERTA.

Kto wie? może!

KARLOMAN.

Któryżby?

BERTA.

Gerald.

KARLOMAN.

Gerald? A czyż wiemy
Gdzie się teraz obraca? przepadł jak wiatr w polu...
Wprawdzie do jego ojca wysłałem rozkazy,
Aby się stawił tutaj, złożyć hołd lenniczy...
W nadziei, że o synu swoim coś nam powie;
Ale hrabia Amaury już od dwóch miesięcy
Nie daje odpowiedzi.—Wszystko się spiknęło!

BERTA.

Jednak Gerald tu będzie dzisiaj, lada chwila:
Tak mówi mi przeczucie; przeczucie nie myli.

KARLOMAN.

Jak ty Berto i jam się poił tą nadzieją —
Nieraz długie godziny patrzałem w te szranki,
Nasłuchując czy srebrny dzwonek nie zadzwoni
I Gerald się nie zjawi... Nadzieja zawiodła!
Dzwonek milczy jak milczał—nikt się nie spodziewa.

BERTA.

Nie na długo on zamilkł—wiem to, widzę, czuję,
Że mściciel jest już blizko... dziś, dziś go ujrzymy.

KARLOMAN.

Poznać z téj mowy córkę mojego Rolanda!
W twoich oczach ojcowskie odżyło spojrzenie!

Berto! kochane dziecię! tobie ja zawdzięczam
To żywe przypomnienie dawnéj naszéj sławy,
Ty umiesz tak przenikać żal mój, smutek, trwogę,
Że przed tobą skrytości żadnéj mieć nie mogę...
Bo im więcéj ja cierpię, tém kochasz mię więcéj.
O! daj Boże, by Gerald wrócił jak najprędzéj,
A w rycerską dłoń jego, twoją oddam rękę —
Przed śmiercią chcę was złączyć, ale śmierć nie czeka.

BERTA.

Ach! nie mówcie tak panie!

KARLOMAN.

Wierz mi, śmierć nie czeka —
Czuję już tchnienie grobu...

BERTA.

Żyj! żyj ojcze drogi!

KARLOMAN.

Dziecko! ty płaczesz! nie płacz, mnie śmierć nic nie trwoży,
Bo mi prawdę odkryje—oczy mi otworzy.
Dotąd ja sam się nie znam, czyż na tronu szczycie
Podobna jest znać siebie, wniknąć w swoje życie?
Walczyłem, pracowałem, cierpiałem za wszystkich.
Dzikim i ciemnym ludom nadawałem prawa,
Jak rzekę rozhukaną ująłem je w tamy,
Że całą tę część świata trzymałem w méj garści
Oczyszczoną z pogaństwa, światłem prawdy Bożéj —
Ale czym wszystko spełnił tak jak być powinno?
Nie chybił? nie przesadził? to dla mnie zagadka.
Władca nigdy z swych czynów sprawy nie zda sobie,
Drzewo prawdy wyrasta dopiero na grobie.

BERTA.

Przecież ciebie świat cały, każda dusza żywa
Cesarzem sprawiedliwym i wielkim nazywa.

KARLOMAN.

Pochlebstwo! dym kadzideł mnie już nie omami—
Ważniejsza, jaki tytuł Bóg po śmierci da mi,
Dowiem się o tém wkrótce, gdy stanę przed Bogiem.
(*Słychać odgłos trąb*).

BERTA.

Co to jest?

KARLOMAN.

To on pewnie! Saracen! poganin
I zwycięzca! Rzecz smutna po tryumfach tylu
Umierać zwyciężonym—ja umrę ze wstydu...
Widocznie Bóg odwrócił odemnie oblicze...
(Zwolna oddala się, aby usiąść na tronie).
(Abderraman wchodzi i staje naprzeciw tronu).

SCENA 3.

CIŻ, ABDERRAMAN, ORSZAK SARACENÓW, i ORSZAK PANÓW FRANCUZKICH.

ABDERRAMAN.

Ja Emir Abderraman i Walencyi książę,
Wyzywam was na miecze, kopie i dziryty!
Dalej w szranki! wystąpić francuzkie barony!
Który z was chce się zmierzyć, znajdzie śmierć niechybną!...

GŁOSY FRANCUZÓW.

Ja pierwszy! ja! ja!

KARLOMAN.

Stójcie! bić się z nim szaleństwo!
Pan Bóg nas upokarza, nie od dziś to widzę —
Waszéj krwi chrześciańskiéj dość się już wylało.
Ty zaś, synu pogański, powracaj do swoich!

ABDERRAMAN.

Więc wrócę... Lecz ty panie, cóż tobie się stało?
Dawniéj o sławę twoję byłeś zazdrośniejszy!..
Pamiętasz jak Hiszpanią całąś zawojował,
Bo król nasz wszystko stracił, okrom Saragossy.
Pamiętasz jak od króla Marsiła posłowie
Przybyli do Korduby, do twego obozu —
A tyś na złotym tronie, pod ogromném drzewem
Siedział, mając przy boku Turpina, Rolanda,
Oliwiera i innych—spokojny i dumny
Patrzałeś, jak ci do nóg padali posłowie

I błagali o pokój;—a i ja tam byłem
W zakład tobie stawiony, rękojmią pokoju.
Na ich prośby—tyś odrzekł kilka słów wzgardliwych.
—Cesarzu! losy nasze zmieniły się z czasem —
Dziś Hiszpania wróciła znów pod berło nasze,
Poganin tryumfuje, król chrześciański płacze!
Ja powracam do swoich, tryumf mój zupełny —
Miecz twojego Rolanda powraca wraz ze mną.
Durandal teraz moim, bom go krwią mą zdobył;
Przypatrz mu się cesarzu, przypatrz raz ostatni.

KARLOMAN.

Zostań! Mogę być skąpy krwi moich baronów—
Los widocznie ci sprzyja, kiedy oni giną...
Ja zaś czuję się młodym—nie mam sześćdziesięciu
Lat, jak je miałem—oto w szranki przeciw tobie
Natychmiast występuję—a jeśli potrzeba,
Żeby Karloman poległ od twojego ciosu —
Wystarczy moje jedno ostatnie spojrzenie,
Abyś zadrżał i pobladł!...

GŁOSY RYCERZÓW.

Cesarzu! o nie! nie!

BERTA.

Ojcze! ty szukasz śmierci!

KARLOMAN.

Nie troszczcie się, dzieci:
Nie szukam jéj, lecz ufam, Bóg siły mi doda.
Zresztą, czy żyć tak można, sami osądzicie:
Król gdy chwałę utraci, czyliż dba o życie?
—A ty wrogu mojego Boga i narodu
Wychodź!... ty zginiesz, albo ja tam zginę! (*Słychać dzwonek*).

BERTA.

Panie!
Ktoś dzwoni...

SCENA 4.

CIŻ, GERALD (*w głębi*).

KARLOMAN.

Czy to Gerald?

BERTA.

Gerald!... o wiedziałam,
Że to on!

GERALD.

Najjaśniejszy panie! w moc ustawy,
Która służy rycerzom niczém niesplamionym,
Zadzwoniłem w dzwon srebrny; jeżelim niegodny
To niech sądzony będę i prawem karany.

KARLOMAN.

Nie, rycerzu! wiem ile zawdzięczać mam tobie,
Mogłeś śmiało poruszyć ten milczący dzwonek,
Dopominaj się teraz jakiéj chcesz nagrody
Za czyny dokonane.

GERALD.

Jeżeli mi służy
Prawo to, a więc żądam natychmiast do walki
Stanąć z tym poganinem. Ufam, że mi Niebo
Poszczęści, i że dobrze i prędko się sprawię.
Pozwól przeto z nim bić się Najjaśniejszy panie!
Albo ja tu polegnę, albo on zostanie.

KARLOMAN.

Zbliż się tu, zbliż się synu hrabiego Amaury—
Lubię tę dziarską postać, a znam już odwagę.
Tyś mojéj siostrzenicy życie uratował —
Ale ten, z którym teraz wystąpisz do walki,
Równie mężny i silny—zmódz go sęk nielada,
Sam osądź go po wzroście i szerokich barkach.

GERALD.

Wzrost, barki, to najlepiéj w szrankach się przemierzy,
Najdogodniéj brać miarę z wroga, kiedy leży.

KARLOMAN.

Mówisz jak drugi Roland! lecz w tym pojedynku
Ramię mogłoby zdradzić serce twe tak mężne.

GERALD.

Panie mój! już od roku żyję tą nadzieją,
Która siły mi krzepi, utrzymuje ducha —
Bo ledwom do dom wrócił z afrykańskiéj ziemi
Gdziem szczęśliwych bitw kilka odbył z niewiernymi,

Zaraz mi powiadano o tym poganinie,
Że z rąk jego już tylu ginęło i ginie
Rycerzy, że się cesarz pan mój srodze trapi,
Więc pośpieszyłem tutaj z tém postanowieniem,
Aby bić się z pohańcem. Ojciec mi pozwolił—
Sam on za mną pośpiesza, za chwilę tu stanie.

KARLOMAN.

Wzrok śmiały, męzka mowa, robią mi otuchę,
Że zwyciężysz młodzieńcze, a jednak się waham...
Powiedz, czy umiesz ręką i silną i pewną
Ciskać dziryt, i z łuku puszczać celne strzały?
W téj sztuce Saraceni od nas są bieglejsi.

GERALD.

Panie mój! ja tę sztukę zostawiam wassalom
I ciurom obozowym, u mnie miecz nad wszystko.
Zły to żołnierz , co pierwszy nazwał się łucznikiem,
Widać bał się on spotkać w oczy z przeciwnikiem.

KARLOMAN.

Szlachetne to uczucia! Idź więc w imię Boże!
Pomścić naszych rycerzy, ukarać zuchwalca —
Odbierz mu Durandala, niech miecz Rolandowy
Znowu do nas powróci!—a jeśli, jak mówisz,
Miecz ci najdogodniejszy, bierz moję Żoyesę—
Ona cię nie zawiedzie—jak mnie nie zawiodła—
Pierwszy to raz z rąk moich idzie w cudze ręce.

GERALD.

Zaszczyt dla mnie tak wielki! Bóg mi dopomoże,
I ten oręż napowrót w ręce twoje złożę.

GODFRED.

Zazdroszczę ci zaszczytu, lecz zwycięztwa życzę!

GERALD.

Zwycięztwa! mniéj na siebie, więcéj na was liczę.
Kto wie z kim przyjdzie walczyć, a nuż wróg zaleje
Naszę Francyą! cóż wtedy? Wszystkim stanąć trzeba
Jak jeden, i wyrzucić z granic najezdnika.
Dziś zabawka, miecz tylko z mieczem się spotyka.

GODFRED I INNI.

Wszyscy staniem jak jeden!

BERTA.

Geraldzie! daj rękę—
Czujesz jak nie drży żadna—teraz spójrz mi w oczy.
Idź już, idź mój rycerzu!

ABDERRAMAN.

Wiesz co, chrześcianinie?
Lubię twoję odwagę, bo się równa mojéj.
Lecz darmo! los cię zdradzi, zginiesz jak i drudzy.
Chodźmy w imię Proroka.

GERALD.

Chodźmy w imię Krzyża!
(*Odchodzą z rycerstwem*).

SCENA 5.

KARLOMAN, BERTA.

KARLOMAN.

Pójdź Berto! Czy też łaska Niebios na nas spłynie?
Módlmy się! córko moja padnij na kolana!
Módlmy się! doświadczałem w niejednéj już bitwie,
Że zwycięztwo nie w mieczu, a częściéj w modlitwie.
(*Berta klęka, Karol stoi obok niéj i wznosi ręce w górę*).

BERTA.

O Boże! o nasz Ojcze! któryś jest tam w Niebie!
Boże królów! narodów! wołamy do Ciebie—
Nie daj złym tryumfować, skrusz ich miecz i zbroje,
Aby cześć, chwałę miało święte imię Twoje!
Okaż nam miłosierdzie Pańskie w złéj godzinie:
Nasz Dawid niech zwycięży, a Filistyn zginie!

KARLOMAN (*idzie do okna, Berta chce mu towarzyszyć*).

Zostań, Berto. Opowiem co tylko zobaczę...

BERTA.

O nie, panie! ja sama chcę być świadkiem walki.
(*Staje przy Karlomanie.—Słychać odgłos trąb*).

KARLOMAN.

Znak już dany... i Gerald, patrz w szranki, wstępuje
I hełm mu zapinają...

BERTA.

Teraz już drżę cała.
Ocal go, mocny Boże! on walczy w Twéj sprawie!

KARLOMAN.

Stanęli oko w oko... ku sobie podchodzą...

BERTA.

Już się starli! żelazo o żelazo dzwoni!
Z Żoyesy, z Durandala, aż iskry się sypią—
Saracen nań się rzucił...

KARLOMAN.

Cofa się... Bóg z nami!

BERTA.

O nie! znowu powrócił... mieczem zamłyńcował,
I spuścił go na głowę Geralda jak piorun!
Od ciosu aż się zachwiał... Widok to okropny!
Szyszak pękł mu na dwoje, obnażone czoło...
Oczy krew mu zalewa.

KARLOMAN.

Dzielny! dzielny rycerz!
Nie ustąpił i kroku—żwawo się odcina.

BERTA.

Znowu Durandal wzniósł się ponad jego głową!

KARLOMAN.

Nic to... zręcznie uskoczył i uniknął ciosu...
Patrz jak ramię wytężył... pchnął w miejsce odkryte,
Aż Saracen się zachwiał...

BERTA.

Prawda, z nóg się wali!

KARLOMAN.

I więcéj już nie wstanie!

BERTA.

Mój Gerald zwyciężył!

KARLOMAN *(nachylając się przez okno).*

Cześć Panu na Niebiosach, a walecznym sława!...
Zatrąbić w olifanta! o błogosławiona
Francyo moja! o ziemio bujna! z twego łona
Nigdy się nie wyczerpie geniusz, ani siła—
Tyś miłością i wiarą tak się zasłużyła,

Że choć wróg cię podepcze, rozedrze, zakrwawi,
Byleś szczerze pragnęła, twój zbawca się zjawi.

SCENA 6.

CIŻ, GERALD, AMAURY, TŁUM.

GERALD (*wskazuje dwa miecze niesione przez pazia*).
Panie mój! mam Żoyesę razem z Durandalem.

KARLOMAN.
Pójdź synu w me objęcia, pójdź rycerzu prawy!
(*Do pazia niosącego miecze*)
Podaj mi Durandala. (*Biorąc miecz w rękę*).
Witaj mieczu drogi!
Wolnyś już, ten sam zawsze, poznaję po stali —
I po téj rękojeści złotéj z relikwiami.
O niechże ucałuję to żelazo święte,
W które Roland niezłomny przelał swego ducha.
O ileżeś cierpiało w pogańskiéj niewoli!
Pociesz się, w moich ręku jesteś już bezpieczne.
Roland tęskni do ciebie w grobie—wnet pospieszę
Złożyć cię tam z nim razem—i tém go pocieszę.
(*Kladzie miecz na tronie i zwraca się do Geralda*).
Tymczasem spocznij mieczu na królewskim tronie
Pod sztandarem Francyi. A ty mój Geraldzie
Przyjmij nagrodę godną twojéj waleczności...
Jutro córka Rolanda zostanie twą żoną.—
A teraz pójdź ofiaruj u stopni ołtarza
Tryumf twój; takiém szczęściem tylko Bóg obdarza.

SCENA 7.

AMAURY (*sam*).

Zostanę tu—nie pójdę; nie czuję się godnym.
Mój syn niech cześć odbiera, ja tam być nie mogę.
Zresztą zwróci się na mnie tyle ócz ciekawych—
I łatwobym się zdradził mojém pomieszaniem.
A jednak trzeba było stawić się na dworze—
Opór zdziwiłby syna... mógłby podejrzewać—
Już nawet podejrzewał—czytałem to w twarzy...
Jestem więc w tym wspaniałym zamku Karlomana!...
Przed chwilą przestąpiłem ten próg drżącą nogą...

Nic się tu nie zmieniło; ten sam złotopióry
Orzeł, ze szczytu wieży rozpościera skrzydła
Nad światem, jak i niegdyś,—tam widzę kaplica,
Tam szranki turniejowe—wschody i balkony...
Wszystko mi przypomina hańbę—jam zhańbiony!...
—Wszakże tylko sam jeden wiem o hańbie mojéj—
I codzień w grubsze mroki przed ludźmi się chowam—
A i teraz ten starzec, koniuszy Rolanda
Spotkał mię i nie poznał; nie poznał tak samo
Jak książę Nem. Więc mniemam, że przed Karlomanem
Gdy stanę, by hołd złożyć, nie będę poznany,—
Zaraz też wrócę do dom, zakopię się w domu,
Aż śmierć przyjdzie—już mogę umierać bez sromu,
Dzięki tobie mój synu! Dzięki dziecku memu,
Co przywróciło honor ojcu zhańbionemu!
Myślałem, że już z hańby nic mię nie wyleczy,
Bo mię jak rak toczyła... a dzisiaj do zdrowia
Wracam nędznik przeklęty—choroby już nie ma,
I mnie nie ma, a tylko jest ojciec Geralda.—
O dzięki ci mój synu! przez ciebie, przez ciebie
Jak z nieba spływa na mnie promień zlitowania
I zaciera tę przeszłość zgryzot, trwóg, rozpaczy...
Mój syn—to przeszłość moja, mój syn przebaczenie!
Pobłogosław Boże!...

(*Wchodzi Karloman i spotyka się z Amaurym*).

SCENA 8.

KARLOMAN, AMAURY.

KARLOMAN.

Ganelon!

AMAURY (*cofając się*).

Wielki Boże!

KARLOMAN.

Królów to jest nieszczęście, że często zapóźno
Przychodzi im poznawać twarze swoich zdrajców!
Nie mylę się. Ganelon! zdrajca ronsewalski!
Wyrzuciłoż go piekło, na nowe sromoty!

AMAURY.

Cesarzu!

KARLOMAN (*odstępując od niego*).
Ani słowa!

AMAURY.
Panie mój!

KARLOMAN.
Milcz zdrajco!...
Jakto? ten człek ocalon cudem, tu się jawi
W chwili gdy uschły wieniec sławy, znów rozkwita—
Jakto? ten człowiek wrócił? To on! on w istocie!...
Tém lepiéj—jeśli kiedyś zemstę mą oszukał,
Druga przykładna kara pewno go nie minie.—
Warto przecież dwa razy mścić się za Rolanda!
A teraz patrz, w tém miejscu, ot tu Ganelonie...
Tu umierała moja siostra, twoja żona
Ze wstydu—żyć nie mogła przez ciebie zhańbiona.—
Tu także piękna Oda, małżonka Rolanda
Na wiadomość, że mąż jéj zabit—trupem padła...
Otoż na tém tu miejscu, w obliczu tych murów—
Raz przecie musisz umrzeć!—

SCENA 9.

CIŻ i GERALD.

GERALD,
Szukam cię, mój ojcze!

KARLOMAN.
On? jego ojciec!

AMAURY,
Synu! właśnie co prosiłem
Cesarza w jednéj sprawie... o łaskę dla siebie...
Twoja obecność synu tak miesza mię, wzrusza,
Żem gotów co zapomnieć...

GERALD.
Każesz, więc odchodzę,

AMAURY.
Lecz się zbyt nie oddalaj; może mi wypadnie
Przywołać cię za chwilę.

GERALD.
Czekam na ozkazy.r

SCENA 10.

AMAURY, KARLOMAN.

KARLOMAN.
Więc Gerald jego synem! obrońca méj Berty,
Dzielny mściciel Rolanda, duma méj starości,
Ten bohater, ten sławy upadłéj wskrzesiciel,
Jest synem siostry mojéj, synem Ganelona!

AMAURY (*padając na kolana*).
Tak jest panie! to syn mój! Błagam cię o łaskę
Dla niego, li dla niego; u nóg twoich żebrzę,
Nie mów mego nazwiska, bo to go zabije!

KARLOMAN.
On jego synem! przebóg! to nie jest bez cudu!...
Syn Ganelona, z ojca takiego zrodzony,
Mógłżeby czuć szlachetnie?

AMAURY (*spuszcza głowę, potém ją podnosi*).
Zapominasz, panie!
O matce jego. Sędzio! królu mój! wiesz przecie
Co on zrobił dla ciebie; lecz nie wiesz co dla mnie.
Pozwól, że ci opowiem na klęczkach; przed tobą
Wyspowiadam się do dna, jakby przed kapłanem,
Tyś panie znał mą zbrodnię—jam jéj nie pojmował,
Wstrętu do niéj nabrałem dopiero przez syna—
Palony nienawiścią, zazdrością trapiony,
Nie mogłem znieść Rolanda, więc chciałem go zgubić,
Zemścić się, lecz nie zdradzić. Na zemsty narzędzie
Obrałem Saracenów i naprowadziłem
Na naszych Paladynów w ronsewalskim wąwozie—
A patrząc jak padali—nic prawie nie czułem
Tych zgryzot Kainowych po zabiciu brata...
Widziałem potém wroga jak tryumfująco
Rozwinął swe sztandary, otrąbiał zwycięztwo;
Lecz i wtedy nie czułem nic, oprócz uciechy
Wyżła, gdy strzelec da mu wąchać łup ubity...
Jeszcze późniéj, w dniu kary wykonanéj na mnie,
O zgryzotach sumienia pojęcia nie miałem.—

Prawdę mówię, wierz panie! Aż tak się zdarozył,
Że jeden mnich z rąk śmierci wyrwał mię, wyleczył—
Dawał święte nauki—niewielem rozumiał—
Lecz gdy razu jednego przyniósł mi Geralda,
I rzekł: „Czy ma to dziecko także być jak ojciec?“
Zrozumiałem nareszcie—w oczach mi stanęła
Zbrodnia moja w postaci tak strasznéj, obrzydłéj,
Żem pragnął zaraz umrzeć. „O nie, ty żyć musisz!“
Rzekł mi ów mnich—„ty życiem grzech odpokutujesz;
A my twojego syna—da Bóg wychowamy,
Że będzie wzorem cnoty, honoru i męztwa!“
I tak się też zrobiło. Syn łatwo się chował—
Bo w niczém niepodobny był do swego ojca,
Nawet z twarzy Rolanda bardzo przypominał;
Tak dalece, żem nieraz w duchu się zatrwożył,
Myśląc, że syn mój umarł, a że Roland ożył.
Wtenczas wnikając głębiéj w duszy méj tajniki,
Poznałem zbrodnią moję—i dla méj ofiary,
Dla Rolanda powziąłem cześć i uwielbienie...
I miłość... lecz zgryźliwą, niespokojną, trwożną.

KARLOMAN.

Powstań!

AMAURY.

Panie mój! widzisz jak złe odrabiałem;
A teraz chciéj osądzić ojca razem z synem.

KARLOMAN.

Dziwny los nasz na ziemi! serce niestateczne
Jako fala na morzu w ciągłéj walce z sobą—
A rozum, ślepy sternik, pychą zaślepiony—
Nieraz z politowaniem Pan Bóg z góry patrzy
Na ludzką sprawiedliwość... Mam przykład na sobie.
Tego człeka najwięcéj w życiu przeklinałem,
A on płacze Rolanda—tak jak ja płakałem.
On go wydał—syn pomścił, jakiémże nazwiskiem
Nazwać cię, czy Amaurym? czy też Ganelonem?
Co ma wygrać w tym sądzie, czy syn ma za ojca
Być karany? czy ojcu odpuścić za syna?
Więc Geraldowi cofnąć musiałbym królewskie
Słowo moje? A Berta? ona go tak kocha...
Co tu począć?.. Mój Boże!.. zagadka podwójna...

Tu Ganelon, tam Roland... tu hańba, tam sława...
Jak znaleźć sprawiedliwość? natchnij mię o Panie!
(*Noc się robi*).
Noc zapada—na niebie występują gwiazdy—
Ta księga zapisana znaki ognistemi
Często mi objawiała myśl Bożą dla ziemi...
Więc i teraz pomocy szukać rozumowi,
Gdy ziemia nic nie mówi, niebo mi odpowie...
Gwiazdy objawicielki, waszemi promyki
Spuśćcie prawdę przedwieczną w duszy méj tajniki,
Abym przejrzał wewnętrznem i cielesnem okiem...
I Boga nie obraził fałszywym wyrokiem...
(*Przez kilka chwil patrzy w niebo zamyślony, potém zbliża się do Amaurego*).
Teraz przywołaj syna.

AMAURY (*wołając na zewnątrz*).
Geraldzie! Geraldzie!

SCENA 11.

CIŻ, GERALD.

KARLOMAN.
Chcieliśmy ci oszczędzić nagłego wrażenia
Dla serca synowskiego—lecz ukrywać trudno...
Czy wiesz, że kiedyś walczył z owym Saracenem,
A los walki wątpliwym zdawał się i bardzo,
Ojciec twój ślub uczynił, że do Ziemi Świętéj
Na pielgrzymkę się puści i tam dni dokona.

GERALD.
Jakto ojcze! odjeżdżasz? ty chcesz mię opuścić,
Kiedy los się uśmiecha do mnie, gdym szczęśliwy?

AMAURY.
Muszę, muszę koniecznie.

GERALD.
Lecz po zaręczynach?

AMAURY.
Nie, przedtém, zaraz idę. Czemu tak drżysz, synu?
Co sobie pomyślałeś? Ślub taki jest święty!

Już umarłem dla świata, do Boga należę,
Dlatego nieodwłócząc, wdziewam płaszcz pielgrzymi
I puszczam się w tę drogę.

GERALD.

Ach, czy to być może?!
Abyś ojcze nie widział, jak starym zwyczajem
Złożę w ręce starosty oblubieńcze dary;
Jak potém z Bertą stanę przed progiem kaplicy
I pierwszy drzwi otworzę méj oblubienicy.
Ciebieżby drogi ojcze śród nas brakowało?

KARLOMAN.

O nie hrabio Amaury! Bóg nie żąda tego;
Ja król, a wraz z Geraldem mówię: zostań jeszcze,
Zostań hrabio do jutra!

GERALD (*n. s*).

Co to wszystko znaczy?

(*Zasłona spada*).

AKT IV.

(*Ta sama dekoracya co w III-cim akcie*).

SCENA 1.

GERALD, BERTA, KSIĄŻĘ NAYME, RAGENHARD, AMAURY, GODFRED, HARDRÉ, *orszak dziewic i młodzieńców*.

NAYME (*stoi po lewéj*).

Dziewico i młodzieńcze! zbliżcie się oboje—
Ty Geraldzie z Montblois i księżniczko Berto...

GERALD i BERTA.

Jesteśmy.

NAYME.

Mam w imieniu cesarza odprawić
Obrządek zaręczynny i wezwać na świadków
Obecne tu osoby... Zbliż się młoda paro

Zamienić z sobą dary, jak tego chce prawo.—
Więc w imię tego prawa winienem zapytać
Oblubieńca, niech powie: czy chce tego związku?
Bo mu cofnąć się wolno, nim ten próg przestąpi.
—Geraldzie był mąż jeden w bohaterskim wieku
Wielki między wielkimi, na duchu niezłomny;
Patrzałem lat dwadzieścia jak on Bogu służył
Pod swym białym proporcem i hełmem żelaznym—
W nienawiści do złego czerpał swoje męztwo.
Pamiętam w Ronswealu wieczór, już po bitwie
Konający Oliwier, gdy klął Ganelona.
„Ucisz się, rzekł doń Roland—dosyć tych wyrzekań—
Chciéj oszczędzać przedemną męża mojéj matki.“—
Dzisiaj świat jego imię z zapałem wykrzyka
I w rycerzu chrześciańskim wielbi męczennika.
Takim był Roland—takim! oto jego córa
Przy twym boku Geraldzie! Zanim ślub was zwiąże,
Poszukaj w sercu twojém wiernem, poświęconém,
Czy wszystko w niém bez skazy i ręki jéj godne.

GERALD.

Wszystko! a zaraz mogę na téj oto tarczy
Złożyć powinne dary méj oblubienicy!

(Podaje Bercie złotą tarczę, którą ona przyjmuje i oddaje jednéj z niewiast orszaku).

NAYME.

Z kolei, ty księżniczko, jak zwyczaj nam każe,
Twój ślubny podarunek złóż oblubieńcowi.

BERTA.

Przyszłemu małżonkowi ten miecz i płaszcz daję.
(Jeden z panów podaje te rzeczy Geraldowi).

NAYME.

A teraz dopełniając warunków przedślubnych,
Pragniemy wiedzieć, jaka jest ojcowska wola?
Hrabio Amaury, widzisz narzeczonych dwoje,
Bez ciebie być nie mogą ślubem połączeni.

AMAURY *(zwolna zbliżając się).*

Książę, przebacz, sam nie wiem... lecz tak sobie myślę,
Że to dla mnie zaszczytu zbyt wiele; drżę cały—
W tym dniu tak wielkim dla nas, ustąpić powinna

Władza ojca przed sławą synowską i szczęściem.
Po tém, co syn mój zrobił, i co jeszcze zrobi,
Stał się on swéj rodziny głową, panem domu,
Jam już niczém—li sercem mogę błogosławić...
Niech się dzieje, co on chce.

GERALD.

Ojcze, moja sława
Ztąd wzrosła, żem twojemi postępował ślady.

AMAURY.

Com powiedział Geraldzie, to myślę najszczerzéj...
Jam przeszłością, a przyszłość do ciebie należy.

NAYME.

Tak chcesz hrabio, więc zgoda!—A teraz do wszystkich
Osób tu zgromadzonych odwołać się muszę;
Powiedzcie, czy kto taki jest tu między wami,
Coby ważności związku zaprzeczył?...

RAGENHARD (*występując*).

Zaprzeczam!

GERALD i BERTA.

Ragenhard?!!

AMAURY.

Kto? ten Saxon?

NAYME.

Teraz już pojmuję.
W zwyciężonym budzi się zemsta. Mów Saxonie.

RAGENHARD.

Zemsta? mówiłeś książę?... prawda, sam przyznaję—
Czerpałem, knułem zemstę i nienawidziłem—
Lecz wtedym służył Bogu zemsty, nie miłości—
Dzisiaj przez moje usta mówi sprawiedliwość!
Wierz mi Berto, Geraldzie, Saxon dziśby milczał,
Gdyby was nienawidził—onby nie zaprzeczył
Potwornemu związkowi, który ma się spełnić,
I dopieroby potém wydał tajemnicę,
Kiedy ślub was połączy... ślub nierozerwany—
O nie! tego nie chcę!...

NAYME.

Wytłómacz się jaśniéj.

WSZYSCY.

Jaśniéj, jaśniéj...

AMAURY.

To nasz wróg, słuchać go nie trzeba.

RAGENHARD.

Ej strzeż się ty człowieku, co się zwiesz Amaurym!

AMAURY.

To mów, gdzie masz dowody, czci mojego syna
Uwłaczające?

RAGENHARD.

Nie mam, bo też nie uwłaczam,
Lecz bronię...

AMAURY.

Przeciw komu?

RAGENHARD.

Hrabio! przeciw tobie!

NAYME.

Mów, słuchamy.

AMAURY.

Nie trzeba, on skłamał! on kłamie!
Darowałem mu życie i wyrzucam sobie.

RAGENHARD.

Wyrzucasz? Lecz czy innych nie masz ty wyrzutów?
—Ten człek, który śmie ręką waszych rąk dotykać,
Wiem kto jest, jego przeszłość dokładnie mi znana—
Powiem jego nazwisko.

AMAURY.

Kłamstwo, kłamstwo panie!

RAGENHARD.

Nawet i przed cesarzem, jeżeli potrzeba
Złożę dowód niezbity. Ten człek, co tu stoi,
Zwie się...

AMAURY *(po cichu)*.

Nie mów, nie tutaj, nie przed moim synem!

RAGENHARD.

Jam od ciebie wspanialszy hrabio! sam mi przyznaj—
Tyś w mych oczach mojego zamordował ojca.
Radbym twego Geralda oszczędzić—nie mogę,
Bo cień ojca mojego trapiłby mnie we śnie.—
Na to tylko przystanę, aby syn z ust twoich
To usłyszał, co miałem wyrzec wobec wszystkich.—
Więc mu sam powiedz.—

AMAURY.

Powiem... Zostań się Geraldzie!
(Do obecnych)
Chciejcie nas tu zostawić.

BERTA.

Ach! co to być może?
Jakaś burza nam grozi.

GEOFROY *(do Nayme'a wskazując Amaurego).*

Patrz, jaki on blady!

NAYME.

Jak trup—to źle mi wróży... Chodźmy, ich zostawmy.

GEOFROY.

Tak nam zepsuć ten obrzęd, wielka niegodziwość—
Powiedz, ktoś ty jest taki?

RAGENHARD.

Jestem sprawiedliwość!

SCENA 2.

AMAURY, GERALD.

GERALD.

Ojcze, ten Saxon pewnie cierpi obłąkanie.

AMAURY.

Mylisz się!

GERALD.

Lecz obelgę taką rzucić w oczy
Komuś, kogo się nie zna!

AMAURY.

On mię zna!

GERALD.

A zatém

Ta obelga?

AMAURY.

Jest słuszną!

GERALD.

Boże! co ja słyszę!

W głowie mi się zawraca!

AMAURY.

Zbierz siły i słuchaj.

Mniejsza jaką on drogą dowiedział się prawdy,
To pewna, że Amaury nie jest mém nazwiskiem.
Jest inne imię moje od wszyskich przeklęte,
A ten, który je nosił, był za umarłego
Miany od dawna.

GERALD.

I cóż się z nim stało?

AMAURY.

Żyje!

Wie o téj tajemnicy Saxon i Karloman.
Ganelon jeszcze żyje!

GERALD.

Gdzie jest?

AMAURY.

Ja nim jestem.

GERALD.

O Berto!

AMAURY.

Wielka duszo! o wspaniałe serce!
Pierwszy jęk twéj boleści nie był mi przekleństwem!

GERALD.

Przeklinać ciebie!... nigdy! nawet i w tę chwilę,
Aczkolwiek wieleś cierpiał w życiu... cierpię tyle!

AMAURY.

Synu! mów raczéj do mnie z nienawiścią, z gniewem,
Pragnę twéj wzgardy — może ulgę ci to sprawi.

GERALD.

Gardzić tobą? to trudno! wolę nic nie wiedzieć,
Prócz tego, coś mi w serce od dzieciństwa wpoił,
A tyś wpoił uczucie świętych powinności;
Poświęcenie się, męztwo i prawość niezłomną —
Co tylko mam dobrego w sobie, mam od ciebie.
Szatan mógł cię obłąkać, nieszczęśliwy ojcze —
Jam niemniéj twoim synem... pozwól mi zapłakać
Tak samo, jak płakała niegdyś moja matka,
Kiedy jéj doniesiono...

AMAURY.

Słuchaj mię, Geraldzie...

GERALD.

Nie mów już! po co z piersi wyrywać żelazo!
Niechaj grot ten zostanie... Możem był zbyt dumny
Z mego męztwa, z tryumfów i świetnego losu...
Wszystko to razem padło od jednego ciosu...

AMAURY.

Geraldzie, nie mam prawa tobie odpowiadać...
Jedno twoje spojrzenie usta mi zamyka...
Cesarz wczoraj zanadto był pobłażający...
Bóg surowy mnie karze; widok twéj boleści
To straszniejsza męczarnia nad wszystkie męczarnie.

GERALD.

Moja boleść? to prawda, sam nie wiem co robię...
Bo ten cios spadł tak nagle, żem aż zadrżał przed nim
Jak dziecko, i jak dziecko z bolu zapłakałem...
Teraz już to minęło. — Jestem znowu mężem
I nie pozwalam sercu memu próżnych kwileń.
Jam winien był nieszczęście twoje uszanować
I boleść w sobie stłumić — czuję, że zgrzeszyłem,
Lecz naprawię ten wybryk chwilowéj słabości,
Znajdę w sobie dość siły, ażeby odkupić
Cześć twoję a i moję; Bóg mi dopomoże!

Bo jeżeli jest sposób odbić to nieszczęście!
Na wszystko się odważę, los wyzwę na pięście!

AMAURY.

Bóg cię natchnij, Geraldzie! Co zrobisz, to dobrze —
Wszystkiemu się poddaję — ze mną rzecz skończona —
Postanowiłem z miejsc tych ustąpić na zawsze —
Oddalam się natychmiast — a z moją osobą
Zniknie ten cień ponury, co padał na ciebie...
Lecz pozwól, nim ztąd pójdę na życie tułacze,
Że płacząc łzami wstydu, i z dumy zapłaczę;
Bo kiedy ot w téj chwili, uczucie pogardy
Łagodnieje w twém sercu na myśl: to mój ojciec!
To we mnie jakaś duma nieznana się budzi —
I wciąż mówi: to syn twój! to syn twój! bądź dumny!

GERALD.

Ojcze!

AMAURY.

Bądź zdrów, Geraldzie. — Może niezadługo,
Chociaż to w Bożéj mocy dni naszych osnowa,
Przyjdzie mi skończyć karę, co się życiem zowie.—
Po mnie zostanie ledwie jakieś mdłe wspomnienie,
Pomimo żem się splamił zbrodnią tak szkaradną —
Nie zapomnij, Geraldzie, że ten zbodniarz... ojciec...
Kochał cię, bardzo kochał, choć skażoném sercem,
I że nigdy boleści nie doznawał większéj
Niż teraz, gdy uścisku nie masz już dla niego.

GERALD *(otwierając ramiona).*

Ach mój ojcze!

AMAURY.

Mój synu! teraz już cię żegnam!
Bądź zdrów! późniéj nie miałbym siły cię pożegnać.
Ktoś nadchodzi — uciekam — zginąłbym ze wstydu,
Gdyby razem ze synem ojca tu zastano.
(Wychodzi na lewo — Gerald stoi na przodzie i zwraca się ku wchodzącym).

SCENA 3.

GERALD, KARLOMAN, BERTA, Książę NAYME,
HARDRÉ — GEOFROY i PANOWIE.

GERALD *(n. str.)*.

Otoż oni... to cesarz! to brat mojéj matki!...
Książę Nayme i ci wszyscy, co mię podziwiali.
Jest i Berta! O Boże! tyś mię już potępił!...

KARLOMAN *(w głębi otoczony dworem)*.

Geraldzie! wobec dworu Saxon wyznał wszystko.
W najdroższe twe nadzieje straszny grom uderzył.
Sławie twojéj nie brakło nic, okrom cierpienia!...
— Obecni tu książęta, barony, rycerze
Osądźcie, czylim zrobił krok niesprawiedliwy.
Wczoraj wiedząc o wszystkiém — sądziłem atoli,
Że zbrodnia, choć tak czarna, sławie nie zaszkodzi,
Ani zaćmi jéj blasków, tak jak słońce czystych.
Lecz się srodze zawiodłem, gdym chciał w duszy mojéj
Zagrzebać tajemnicę onę nieszczęśliwą
Monarcha bowiem winien prawdę swym poddanym,
A kto mu prawdę mówi, winien być słuchanym.
Żem zbłądził—zbieg wypadków za dowód mi służy. —
Słucham zdań waszych, choćby wręcz przeciwnych moim.
Przecież to niegdyś w sprawach trudnych i zawiłych,
Zwoływałem przedniejsze państw mych dostojniki,
Aby się zawiązawszy w najwyższy trybunał,
Rozstrzygali... I teraz w przypadku tak ważnym,
Wystąpcie z sprawiedliwém zdaniem i poważném.

NAYME *(zbliżając się do Geralda)*.

Geraldzie! patrz! ta rana na czole głęboka...
Czy wiesz kto mi ją zadał? Oto Maur Ben Hamid,
Kiedyśmy przez dzień cały bili się do nocy
Jeden przeciw dziesięciu... i to bez wytchnienia.
Możesz się jéj przypatrzyć... Cześć tobie Geraldzie!
Bo tryumf twój wczorajszy — już zatarł tę klęskę...
Do góry podnieś czoło, młody bohatérze!
Bóg cię zesłał—przed tobą ja głowę uniżę!...

HARDRÉ *(podchodząc do Geralda).*

Cześć tobie, cześć Geraldzie! potrzeba ci wiedzieć,
Że jestem syn ostatni barona Anżelie,
Który za świętą wiarę zginął w Ronsewalu,
Pozwolisz mi twą zacną uścisnąć prawicę.

GEOFROY *(zbliża się do Geralda z młodszym swym bratem).*

W wieczór, już pod sam koniec bitwy ronsewalskiéj,
Padł przy boku Rolanda arcybiskup Turpin.
Roland tłumiąc łzy w sobie, poszedł i pozbierał
Z pobojowiska ciała dzielnych Paladynów,
U stóp arcybiskupa ułożył ich rzędem,
A Turpin błogosławiąc one męczenniki,
Dusze ich Bogu oddał, w końcu i sam skonał.
Mój brat i ja, jesteśmy siostrzeńce Turpina,
Jeżeli chcesz Geraldzie, to nas przyjm za braci.

RYSZARD *(wolnym krokiem zbliża się do Geralda).*

Wybacz, panie!... Ja stary, w bojach zjadłem zęby,
Pięknie mówić nie umiem... lepiéj to wyrażę
Łzami, pozwól niech z płaczem uściskam ci stopy
I ucałuję rękę — która nas pomściła.

KARLOMAN *(z tronu).*

W dolinie ronsewalskiéj pod wielkiemi drzewy
Odszukałem Rolanda ciało, i w ramiona
Wziąwszy je, poprzysiągłem, przez cały bieg życia
Opłakiwać śmierć jego — potém w krwią zbroczonéj
Murawie jąłem szukać jego Durandali —
Lecz nie znalazłszy miecza, zabolałem srodze,
Bo on często powtarzał, że pragnie po śmierci
Wraz z mieczem ukochanym leżeć w jednym grobie.
Darmo! miecz się ten dostał w ręce Saracenów! —
— Tyś go odbił Geraldzie! Durandal już wrócił
I pójdzie spać przy boku Rolanda, tam w grobie!
Cześć tobie! sława tobie! mścicielu ojczyzny!
Choć serce ci się krwawi, podnieś dumnie czoło
I zajmij jak mieć pragnę, w nagrodę twych czynów,
Miejsce na stopniach tronu, obok moich synów.

NAYME.

Śmiało, Geraldzie!

WSZYSCY PANOWIE.

Śmiało!

KARLOMAN.

A ty, moja Berto!
Ty, co umiesz zdobywać cześć dla swego rodu,
Mów otwarcie, tu każdy zdanie ma objawić.
Mów, słuchamy.

BERTA.

O panie! i cóż mam powiedzieć?
Jedno słowo wystarczy! Ołtarz już gotowy
Oblubienica czeka! Geraldzie, chodź ze mną...
Czemu tak spuszczasz oczy?... Czemu twarz odwracasz?...
Milczysz? czy o mém sercu mógłbyś powątpiewać?
Mamże głośniéj, przy wszystkich powtórzyć wyznanie?
(*Zwracając się do obecnych*).
Ukochałam Geralda i cześć mam dla niego —
A i żywszą czułością tchnę w sercu dziewiczém,
Odkąd cios, co go dotknął, nie ujął mu w niczém.
On z téj próby okropnéj, wyszedł jak był biały,
Źródło mętne, lecz jasne jeziora kryształy. —
Dałam mu serce moje odrazu w nagrodę,
Za męzką jego dzielność i uczucia młode.
Mogłażbym... precz odemnie uczucia nieprawe!
Kochać mniéj jego hańbę, niż kochałam sławę!
Geraldzie! wzywam ciebie!

KARLOMAN.

Geraldzie! idź z nami,
Berta ci po raz drugi swą rękę oddaje.

GERALD.

Błogosławię cię w sercu mój królu i panie!
Lecz téj łaski ostatniéj przyjąć mi nie wolno.

BERTA.

Ach! nie mów tak, Geraldzie!

GERALD.

Chciejcie mię wysłuchać.
Ty mój królu, ty Berto, a wnet mię pojmiecie,

Bo ja téj łaski waszej, jaka spływa na mnie,
Wtenczas się godnym stanę, kiedy ją odrzucę.
Bo we mnie się odzywa głos mego sumienia:
Ty jesteś synem zbrodni, lecz nie synem skruchy —
Dla przykładu potrzebna ta twarda nauka —
Aby pokuta większą była, niźli zbrodnia. —
Łatwiéj też grzech ojcowski przed Bogiem się zmaże,
Jeżeli syn niewinny za ojca się skarze.
Bez tego, kiedyś ludzie mogliby wytykać,
Że za zbrodnią tak ciężką nie było odwetu.
Wolę zatém niech serce pęknie mi odrazu,
Niżby je ranić miano słowy dwuznacznemi. —
Wy sami, co się moich cierpień litujecie,
Co słowami pociechy słodzicie nieszczęście,
Kto wie, czybyście waszych serc nie odmienili,
Gdybym w szczęściu opływał?... Wiedząc co mię czeka,
Razem z ojcem wygnańcem, idę na wygnanie,
Jeden los mię połączy z nim nierozerwanie.

BERTA.

I ty chcesz nas opuścić?

GERALD.

Niestety!

BERTA.

Geraldzie!
Jeśli kochasz, czy można być aż tak okrutnym?

GERALD.

Ja nie śmiem cię już kochać.

BERTA.

Ze mną cóż się stanie?
Czémże ci przewiniłam — że karzesz tak srogo?

GERALD.

Nie ja karzę, los karze.

BERTA.

A tyś wspólnik jego!
Nie zabijajże szczęścia!...

GERALD.

Więc chciałabyś Berto,
Ażebym się rumienił?

BERTA.

Spojrzyj w przyszłość twoję!

GERALD.

Ja tylko przeszłość widzę!

BERTA.

O czemuż ta przeszłość
Dla ciebie ma być wieczną, niczém niezatartą?
A chociaż ci sam cesarz przebaczył wspaniale,
Ty się nie dajesz zmiękczyć. — To niech głos z za grobu
Wzruszy cię — w imię ojca mojego zaklinam!...

GERALD.

Ciszéj mów, bo mój ojciec mógłby cię usłyszeć.

BERTA *(padając na ręce kobiet)*.

Okrutny! tyś mi odjął ostatek nadziei!

GERALD *(stając przed cesarzem)*.

Królu! bądź mi obrońcą od tych łez — nie mogę
Ani na włos ustąpić z rygoru sumienia.
Czyżbym sam się nie brzydził sobą? gdyby ona,
Córka Rolanda, miała zostać... Wielki Boże!
To grzech, niepodobieństwo — ach! to być nie może!
To litość przez nią mówi, widząc jak się męczę,
A nużby kiedyś rzekła?... za przyszłość nie ręczę...
Czyś mię zrozumiał królu?

KARLOMAN.

Myśl twą zrozumiałem...
Ja twój pan i twój sędzia, uczucia twe dzielę.
Kiedyż o cześć rycerską dbać można zawiele?...
Lecz jeszcze jedno słowo przyjm na pożegnanie: —
Miecz Rolanda odbity wczoraj, niech zostanie
Przy tobie, jak nagroda twego męztwa godna;
Zapewne i sam Roland nie byłby nikomu,
Tylko tobie jednemu oddał swój miecz święty.—
Weźże go — w twoich ręku będzie rózgą kary;
Wymieć nim najezdników, połam ich sztandary

Ku zbawieniu ojczyzny i ku Bożéj chwale,
Potém w grobie Rolanda złożysz Durandalę.

GERALD.

Tak jest, tam w jego grobie — w Akwitańskiéj ziemi!
A ztamtąd pójdę daléj, daléj szukać śmierci!

BERTA.

A jeśli jéj nie znajdziesz?

GERALD.

Będę ja dopóty
Szedł za nią, aż ją znajdę tę śmierć upragnioną!

BERTA.

Kiedy tak, więc przyjmuję co mi przeznaczono!
Bo kto ciebie ukochał, podobny do ciebie.
Bog nam dał równe serca, Bóg je złączy w niebie!
Żegnaj po raz ostatni!

KARLOMAN.

Schylcie czoła barony i rycerze młodzi!
On większy od nas wszystkich, on szczęścia odchodzi!

KONIEC.

SEJMY POLSKIE ZA OLBRACHTA I ALEXANDRA

przez

MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO.

III.

Alexander wracając do Polski, zastał w każdym razie położenie zupełnie odmienne od tego, które pozostawił przed swoim na Litwę odjazdem. Niegdyś obrano go królem z konieczności politycznéj, ale przyjęto z uderzającém zimnem, z niedowierzaniem, z formalną obawą. On sam czuł się w Polsce zupełnie obcym, nieznającym stosunków, upokorzonym wobec zastępu magnatów imponujących swoim rodem, fortuną, stanowiskiem i intelligencyą. Teraz powracał do kraju gorąco upragniony przez naród, który w rządach senatu nie mógł się dopatrzyć szczęścia i pod rządy się królewskie uciekał. Już też rządy te nie były dla Alexandra tajemnicą, bo chociaż od czasu swojéj elekcyi prawie tylko na Litwie przebywał, to jednak w r. 1503 wszystko już o niego się opierało, miał więc sposobność poznać stosunki polskie i dopatrzyć się żywiołu, na którymby mógł samoistnie się oprzeć.

Wszystko składało się na to, ażeby ułatwić dzieło reformy wewnętrznéj, jakiéj Polska średniowieczna potrzebowała, jeżeli w rzędzie państw nowożytnych miała przynależne sobie stanowisko utrzymać. Ostatnie lata przekonały o konieczności reformy i wskazały jéj kierunek, usuwając największe przeszkody. Współzawodnik, jakiego władza królewska posiadała w senacie, w skutku wypadków roku 1502 utracił poczucie swéj siły i poparcie w narodzie, szlachta gotowa była wspierać króla w zorganizowaniu jego władzy wykonawczéj rządowéj.

Powróciwszy do Polski, przystąpił też Alexander niezwłocznie do dzieła ogólnéj reformy z pomocą ogółu szlachty, i na zasadzie rady senatu odprawionéj z początkiem Listopada 1503 roku w Lublinie, zwołał walny sejm do Piotrkowa na dzień 21 Stycznia 1504. Prace sejmu tego przeciągnęły się do 13 Marca, a wyniki ich złożone mamy w znanych konstytucyach (vol. leg. I, 294—299), oraz w pięciu uniwersałach, które w Metryce Koronnéj się przechowały.

Z pomników tych widzimy, że sejm musiał się przedewszystkiém uporać z uprzątnieniem ciężaru długów, jakie po sobie pozostawiła wojna moskiewska i niedołężna gospodarka senatu z lat poprzedzających. Wypłaty zaległego żołdu domagały się zaciężne zastępy, grożąc w przeciwnym razie grabieżą i rozejściem się w chwili, kiedy dla utrzymania saméj godności narodowéj wypadało zbrojną ręką odzyskać Pokucie i pomścić podły napad Wołoszy. Dobra królewskie zastano tak obciążone i pozastawiane, że nawet na utrzymanie króla nie mogły wystarczyć, a lepsze ich zagospodarowanie byłoby wymagało na razie więcéj nakładów, niżby rokowało przychodu.

Jedyna więc ucieczka pozostała do nadzwyczajnych podatków, których też sejm piotrkowski cały szereg hojną ręką królowi otworzył. Dnia 11 Marca 1504 r. wydał już Alexander uniwersały zaprowadzające za wspólną zgodą i wolą panów rad duchownych i świeckich, oraz panów ziemskich, wysokie podatki od wszelkich dóbr i dochodów, cła i czopowe. Rzeczą jest godną uwagi, że podatki te nałożono na wszystkie dobra, nietylko na szlacheckie, ale i na dobra królewskie, duchowne i miejskie, że na przeciąg trzech lat zniesiono wszelkie jakieby istniały uwolnienia od ceł i podatków, chociaż w osobnéj ustawie zawarowano zasadę, że cła tylko od kupujących pobierane być winny. Polecono zarazem ściągać wszystkie podatki z lat poprzednich zaległe, określono dokładnie termina zapłaty i podano sposób przymusowego ich ściągania i składania do rąk podskarbiego i dodanéj mu komissyi w Krakowie. Dość przeczytać wszystkie te szczegóły, ażeby poznać drobiazgową troskliwość, z jaką obmyślano całą tę tak ważną dla podźwignięcia upadłego kraju sprawę, ażeby się przekonać, że sejm do dzieła odrodzenia przystępował na seryo i największych nie szczędził ofiar. Pragnąc wreszcie raz na zawsze zamknąć drogę lekkomyślności królów, jaką w rozdarowywaniu i obciążaniu dóbr królewskich odznaczali się przedewszystkiém Jagiellonowie, wydał sejm ustawę, która zbyt jest ważną, ażeby w całości jéj nie przytoczyć:

„Ponieważ z dóbr stołu królewskiego JKM. osobne swoje ma zaopatrzenie, a w braku takowych do posiłków publicznych na utrzymanie swoje koniecznieby się musiał uciekać, tyle zaś ciężarów spada i tak na kraj, że wydatkom publicznym niepodobna byłoby wydołać; przeto obmyślając opatrzenie JKM. i zapobiegając potrzebom, ustanowioném jest i przez JKM. ma być zatwierdzoném, że o ile tylko dobra królewskie będą wykupione z zastawu lub w jakikolwiek sposób do JKM. powrócą, nie będą więcéj zastawiane, ani też rozdarowywane przez JKM., jeżeli na sejmie walnym ku potrzebie Rzeczypospolitéj, panowie rada nie zezwolą na ich zastawienie lub darowanie i sprzedanie... nikomu też JKM. nie ma zastawiać dóbr bez dołożenia warunku, że dług spłaca się przez posiadanie dóbr zastawionych przez pewny przeciąg czasu. Ktoby zaś wbrew niniejszéj ustawie pieniądze na dobra królewskie dał, ten utracić ma cześć i pieniądze wypożyczone.“

Jest to taż sama ustawa, która późniéj służyła za punkt wyjścia wszystkich usiłowań reformy za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Obecnie miała ona tylko niezmierną doniosłość skarbową i zapobiegała ostatecznemu strwonieniu ogromnych dóbr stołowych królewskich. Reforma polityczna dokonana na sejmie z r. 1504, na innych się opierała podstawach, odnosiła się głównie do organizacyi naczelnéj władzy rządowéj, a mianowicie wielkich urzędów koronnych postawionych przy boku królewskim: marszałków, kanclerza, podkanclerzego i sekretarza, nakoniec podskarbich.

Przyczyną wielu nieporządków w najbliższém otoczeniu króla, była dwoistość urzędu marszałkowskiego, z których jeden był koronnym, drugi nadwornym a oba nie miały ściśle odgraniczonego zakresu działania. Wynikały ztąd, jak ustawa powiada, częste rozterki, zamieszania i zaniedbanie spraw, pieczy ich powierzonych. Otoż złe to uchylił radykalnie sejm z r. 1504 stanowiąc wyraźnie, że „marszałek koronny taką ma władzę, iż w jego obecności marszałek nadworny w żadne sprawy urzędu marszałkowskiego mieszać się nie ma. Gdy jednak marszałek koronny często zwykł się z dworu oddalać, ażeby więc marszałek nadworny umiał daléj prowadzić i wykonywać co przez koronnego było postanowiono... przeto marszałek koronny do całego urzędowania swego przyzywać ma marszałka nadwornego i z jego wiedzą wszystko działać, ustępując zaś z dworu obowiązanym jest oddać mu całe urzędowanie i akta, tak że marszałek nadworny w nieobecności koronnego, posiadać ma całą jego powagę i władzę.“

Postanowieniem tém zlano więc dwa urzędy w jeden, a marszałka nadwornego uczyniono jedynie zastępcą koronnego w czasie jego nieobecności.

Usuwając wewnętrzną rozterkę, należało też oznaczyć zakres działania i władzę urzędu marszałkowskiego. Otoż marszałek ma być „mistrzem wszystkich ceremonii i przełożonym nad całym dworem królewskim. Zadanie jego polega na tém, ażeby utrzymywał spis dworzan, wypłacał ich, znał pilnych i niedbałych, złych i dobrych, a czyniących nieporządki od służby dworskiéj oddalał, gości i senatorów Królestwa zawsze przyjmował i baczył, ażeby ze strony JKM. każdemu należna cześć według jego zasługi oddaną została, ażeby wszelkie nieprzystojności i występki usuwał i karał stosownie. Tak więc wszystkiém marszałek rządzić ma na dworze, w pałacu, domach i pokojach królewskich, jako też kierować innemi urzędami i urzędnikami do dworu i orszaku JKM. należącymi, do czego daje się mu pełną władzę ustanawiania, znoszenia i czynienia wszystkiego najlepiéj, z zezwolenia i z upoważnienia JKM... Marszałkowi przyznaje się nadto w urzędowaniu jego władza pobierania targowego i ustanawiania ceny przedmiotów przyniesionych na sprzedaż na potrzeby dworu. Targowe to pobierać ma jednak z większém umiarkowaniem niż dotychczas, i nie inaczéj jak według prawa i zwyczaju w miastach i miasteczkach, w których król stanie, pobieraném bywa. Tylko na wyprawie wojennéj władza ta zastrzega się hetmanowi, ażeby za wspólną radą cena rzeczy była ustanawiana. Cokolwiek zaś podczas pobytu króla w rezydencyi lub w drodze marszałek lub hetman względem rzeczy lub ogólnego porządku postanowi, mają to publicznie ogłosić. Gdyby zaś marszałek w ustanowieniu cen i w poborze targowego słuszną miarę przekroczył, mają senatorowie przy królu bawiący moc miarkowania tego, i marszałek winien ich słuchać.“

W podobny sposób określono urzędy kanclerza i podkanclerzego, które w całéj swéj władzy i we wszystkich swych obowiązkach jako jeden urząd miały być uważane. Dodano im nadto do pomocy i wyręczenia sekretarza większego, który „wtajemniczonym być miał we wszystko, co sprawowali kanclerz i podkanclerzy.“ Orzeczono zaś, że kanclerz i podkanclerzy nie może równocześnie piastować biskupstwa gnieźnieńskiego, krakowskiego, kujawskiego, poznańskiego, warszawskiego albo płockiego, a względnie urzędu wojewody lub kasztelana, a tém ostatniém postanowieniem przypuszczono do kanclerstwa i podkanclerstwa takie osoby świeckie, które zwyczaj dotychczasowy od dostojeństw tych z zasady wyłączał.

O zakresie działania kancelaryi królewskiéj ustawa z roku 1504 nie wspomina, wyraźnie orzeka jednak, że kancelarya ta nie ma wydawać rozkazów przeciwnych prawu, a w szczególności mieszać się do sądownictwa. Możemy tylko pośrednio wnioskować, że kancelarya Królestwa miała sobie oddane sprawy polityki zagranicznéj i całą wewnętrzną administracyą z wyłączeniem spraw dworu i skarbu powierzonych odrębnym urzędom. Wojskowość za to należała do kancelaryi; hetmani (campiductores) byli jedynie wodzami na wyprawie wojennéj, i nietylko nie należeli do rady królewskiéj, ale podówczas nie stanowili jeszcze stałego urzędu.

Najważniejsze postanowienia sejmu piotrkowskiego z r. 1504 odnoszą się do wielkich urzędów skarbowych. Sejm ten zastał ich dwa, podskarbiego koronnego i nadwornego, ale zakres ich działania równie był chwiejny jak to widzieliśmy już przy marszałkach. Zlewać ich w jeden urząd nie myślano wcale, bo od dłuższego już czasu dążeniem było powszechném, ażeby wydatki dworu królewskiego odgraniczyć od wydatków publicznych; postanowiono więc owszem obadwa urzędy ściśle od siebie oddzielić. Uczyniono to w ten sposób, że cały pobór podatków i innych dochodów królewskich oraz monetę, oddano wyłącznie podskarbiemu koronnemu. Z dochodów tych miał podskarbi pokrywać wszystkie wydatki wojskowości i administracyi publicznéj, pewną zaś część na utrzymanie dworu i króla wydzielić podskarbiemu nadwornemu, który niemi miał rozporządzać w swoim zakresie działania, jednakże z wiedzą i radą podskarbiego koronnego. Jednolitość zarządu skarbowego była więc zapewniona, bo podskarbiego nadwornego uczyniono urzędnikiem podwładnym, który podskarbiemu koronnemu w nic mieszać się nie mógł i tylko w razie nieobecności go zastępował. Obadwa nie mieli nic działać bez polecenia JKM. i rady senatorów na dworze. Była więc zapewniona pewna kontrola, którą uniwersał poborowy sejmu z r. 1504 dokładniéj określił, przydając podskarbiemu do boku komissyą nieustającą, mającą go wspierać w sprawie poboru podatków przez sejm ustanowionych.

Taka była reforma władzy rządowéj, przez sejm z r. 1504 postanowiona. Wykażemy jéj słabe strony, ale zarazem podniesiemy tém silniéj jéj wybitne zalety.

Otoż słabą stroną ustaw z r. 1504 jest niewątpliwie to, że *osobiste* rządy króla zostały nadal utrzymane, a tém samém pomyślność kraju zawisła zawsze jeszcze od przypadkowych przymiotów, zdolności, oszczędności i energii panującego. Przeprowadzo-

no reformę jedynie wielkich urzędów królewskich, ministerstw, urzędy zaś starościńskie i ziemskie pozostawiono jakiemi były nietknięte. Nie uczyniono mianowicie tego, żeby je podporządkować ministrom, lecz utrzymano w bezpośredniéj zależności od króla. Jedynie marszałkowie mieli zupełną władzę nad dworem, to też w otoczeniu królewskiém panował porządek, powaga i rygor nawet wtedy, gdy późniéj w całym kraju rządy i sądy nie były go w stanie utrzymać. Już zaś podskarbiowie rządzili tylko urzędnikami swego ministeryum, oraz dóbr królewskich; kanclerz i podkanclerzy nie mogli zgoła rozkazywać wojewodom, kasztelanom i starostom, od których ostatecznie zależało przeprowadzenie wszystkich ustaw sejmowych i rozporządzeń królewskich. Kancelarya koronna była więc raczéj prywatną kancelaryą królewską, niż ministerstwem Rzeczypospolitéj.

O ile zaś niżsi urzędnicy czuli się niezależnymi od ministrów, o tyle ministrowie ci nie byli znów tak jakby to należało zawisłymi od króla. Król mógł ich usuwać tylko w drodze sądowéj, jeżeli się stawali winnymi przekroczenia swéj władzy. Wspominają wyraźnie ustawy z r. 1504, że gdyby podskarbi nie chciał słuchać uchwały senatorów polecających mu umiarkowanie ustanowionych przezeń cen lub pobieranego targowego, „w takim razie jako nieposłuszny postawionym ma być przed sąd najbliższego sejmu.“ Toż samo odnosiło się niewątpliwie do kanclerzów i podskarbich. Nie było więc nikogo—bo władzy téj ani król ani sejm nie posiadał—ktoby mógł usuwać ministrów niezdolnych lub takich, którzyby nie przekraczając prawa okazywali przecież pewną opieszałość lub opierali się polityce, jaką przyjął król i reszta ministrów. Ustawa zakazująca kanclerzowi lub podkanclerzemu, ażeby nie wydawali rozporządzeń przeciwnych prawu, połączona z tą ich nieusuwalnością, była niebezpieczną, bo kanclerz niechętny królowi, mógł pod lada pozorem odmówić swojéj pieczęci, a droga procesu sądowego była wątpliwa i długa.

Kontrola wreszcie skarbowa nie była dość wykształcona, a przecież dokładność jéj stała się konieczną od chwili, jak tylko rozgraniczono wydatki króla i jego dworu od wydatków publicznych i odkąd uchwalanie podatków rzeczą się stało sejmu. Widoczna nieraz nierzetelność lub podejrzana rzetelność podskarbich oraz rozrzutność królewska i nieobracanie uchwalonych poborów na uchwalone wydatki, działały wówczas i działałyby dziś, nawet w najlepiéj uorganizowaném państwie, demoralizująco na naród, i prowadziły go wprost do uchylania się od ponoszenia ciężarów publicznych.

Wszystkie te jednak zarzuty przeciw reformie z r. 1504, które tak łatwo dzisiaj wynaleźć i poznać, inaczéj się nam przedstawiają, jeżeli ustawy piotrkowskie ocenimy raczéj w stosunku do całego ówczesnego położenia i stanu rzeczy. Z tego stanowiska na nie się zapatrując, oddamy im słuszne pochwały. Usunęły one zamęt, jaki dotychczas w naczelnéj wykonawczéj władzy, w skutku dwoistości urzędów panował, oznaczyły dokładniéj ich zakres działania, utworzyły z nich pewną całość nakształt ministeryum, a łącząc się w osobie królewskiéj, zabezpieczały do pewnego stopnia jednolitość całego rządu. Urzędy kanclerza, podkanclerzego i sekretarza nie były wprawdzie pod względem zakresu działania ściśle od siebie odgraniczone, lecz wychodziło to raczéj na dobre, bo król mógł dowolnie rozdzielać pomiędzy nie wydziały administracyi wewnętrznéj i spraw zagranicznych.

Ustawy piotrkowskie były więc ogromnym krokiem naprzód, zwłaszcza jeżeli zważymy, jak wielkie przeszkody napotykało każde usiłowanie reformy władzy rządowéj. Nie pomagała tu tak dalece żadna ustawa, ile raczéj potrzeba było energicznego monarchy, któryby nie leniąc się pracy, z pozostawionéj sobie rozległéj władzy umiał skorzystać i za jéj pomocą całą organizacyą urzędniczą raz w regularny ruch wprowadzić, w ruchu tym ustalić i wzmocnić. Złamać należało przedewszystkiém niezawisłość wojewodów i kasztelanów, co było rzeczą nieskończenie trudną, póki dostojnicy ci posiadali punkt oparcia i wzajemną obronę w senacie. Przed ostateczną reformą władzy wykonawczéj, konieczną więc była reforma władzy ustawodawczéj—senatu i sejmu, i do téj też Alexander musiał niezwłocznie przystąpić.

Reforma ta wiele wymagała namysłu i przygotowania, żeby ją już sejm piotrkowski z r. 1504 zaprzątnięty tylu innemi sprawami, mógł skutecznie przedsięwziąć. Senat opierając się na przywileju mielnickim, występował na sejmie tym nie w charakterze „rady królewskiéj," ale jako odrębny czynnik ustawodawczy. Król sam jeden, był wobec senatu bezwładnym, potrzeba było dopiero potężnego żywiołu, któryby się w przymierzu z królem o zepchnięcie senatu na dawne jego stanowisko pokusił. O pozyskanie tego żywiołu, czyni też Alexander wszelkie możebne kroki już na sejmikach sejm piotrkowski z r. 1504 poprzedzających. Do sejmików tych odzywa się król znacząco: „Ustanowiliśmy sejm walny na dzień św. Agnieszki w Piotrkowie. Zachodzą sprawy największéj wagi i tak trudne, jakich może od początków Królestwa tego nie było, nad któremi też nietylko sam JKM. i panowie rada, lecz także społeczności ziemiańskie radzić i postanowić

powinny (quibus consulendum erit non per solam R. M. et per consiliarios, sed etiam per communitates terrarum). Wybierajcie więc z pośród siebie ludzi roztropnych, i dajcie im pełnomocnictwo uchwalenia wszystkiego, co będzie przedmiotem narad w Piotrkowie.“

Dbał zaś król nietylko o to, ażeby panowie ziemscy na sejm przybyli, lecz ażeby wystąpienie ich było stanowczém i zgodném. Wysyłając też posła swego na sejmik kolski, daje mu instrukcyą do szlachty:

„Ponieważ dawny jest zwyczaj panów ziem tych zbierania się tu w Kole i postanawiania tego, co następnie w Piotrkowie ma być uchwaloném; gdy nadto i posłowie ziemscy niekiedy się z sobą porozumiewali, ażeby następnie bez niezgody przystępowali do wszystkiego, co panowie starsi z wami ustalić zapragną,“ przeto porozumiejcie się z sobą, „ażeby potém żaden nie śmiał twierdzić, że bez pełnomocnictwa przybył i nic działać nie może.“

Żąda więc król przedewszystkiém, ażeby posłowie mieli zupełne pełnomocnictwo działania, a zatém byli niezależnymi od krępujących ich instrukcyi sejmikowych i od panów, którzy przeprowadziwszy na sejmiku po swojéj myśli instrukcyą, terroryzowali następnie posłów ziemskich na sejmie groźbą odpowiedzialności przed sejmikami. Działo się wówczas z posłami szlachty w Polsce niewątpliwie toż samo, co późniéj, jak nam dokładnie wiadomo, za Zygmunta Augusta działo się z posłami szlachty litewskiéj i pruskiéj, którzy razem z panami ziem swoich przybywali na sejmy polskie w toczących się rokowaniach o unią. Panowie litewscy i pruscy tak dalece terroryzowali wówczas posłów szlacheckich i sejmiki, że sejmiki te wydawały instrukcye wręcz życzeniom swoim przeciwne, że posłowie ziemscy obawiali się najmniejszego słowa na sejmie odezwać, i dopiero zetknąwszy się z izbą poselską polską, za jéj namową i otuchą Zygmunta Augusta, odważali się wystąpić otwarcie, odsłonić ciążącą na nich przewagę możnowładców i wykazać środki, do jakich ci ostatni w celu utrzymania przewagi swéj się uciekali.

Nie inne musiały panować stosunki w Polsce przed sejmem zwołanym na dzień 30 Marca 1505 do Radomia, na którym dzieło reformy wewnętrznéj ostatecznie miało być dokonaném. Szczegółów z ówczesnego życia politycznego nie jesteśmy w stanie podać; w dostępnych nam źródłach historycznych ich nie znaleźliśmy. Widzimy natomiast, że nagle przed sprawą reformy występuje na pierwszy plan sprawa unii. Król oświadcza chęć swoję, aby na sejmie radomskim unii dokonać, a raczéj unią ściślejszą

Litwy, Pruss i Polski ostatecznie wprowadzić w życie. W tym celu zwołuje sejmiki pruskie, polecając im, ażeby posłów swoich razem z senatorami na sejm radomski wysłały. W tym celu z początkiem 1505 r. naznacza zjazd panów litewskich na granicę Polski do Brześcia, „ażeby ich namówić do przybycia do Radomia i zadośćuczynienia temu, do czego się wobec Korony zobowiązali.“

Czy Alexander działał w tém wszystkiém szczerze? Nie sądzimy, żeby się unii z zasady sprzeciwiał, bo wypadki ostatnich lat przekonały dowodnie o potrzebie ściślejszego związku krajów zostających pod jego berłem, celem wspólnéj obrony. Wierzymy jednak najmocniéj, że nie król, lecz panowie polscy myśl unii podnieśli i zniewolili Alexandra do podjęcia jéj na sejmie radomskim. Twierdzenie to możemy usprawiedliwić.

Unia była myślą szczytną i popularną, ale unia ta dokonywała się powoli już od stu lat nieustanném parciem społeczeństwa polskiego i jego cywilizacyi na Litwę i Prussy. Prussy położeniem swojém zależały zupełnie od Polski, i tylko w ścisłém z nią połączeniu spodziewać się mogły swego rozwoju i dobrobytu. Litwa i Ruś południowa, otoczona zewsząd nieprzyjaciołmi, odcięta na północy i południu od morza, tylko w Polsce i przez Polskę szukać mogła związku ekonomicznego i umysłowego z cywilizowanym światem. To też unia głębsze miała podstawy, niż ją dawały pergaminy wyciśnięte potrzebą chwili, a dotychczas w całéj rozciągłości swéj niewykonane—bo nie mogły być wykonanemi. Jeżeli już Prussy stanowiły całość znacznie od Polski różną; to Litwa i połączona z nią Ruś tworzyły państwo, którego ustrój społeczny i polityczny był prostém przeciwieństwem tego wszystkiego, co w Polsce ówczesnéj z dawien dawna istniało, a na teraz nowem rozwijało się życiem. I w Polsce i w Litwie wodzili rej magnaci, ale co u nas było uzurpacyą, która upadała pod wpływem podnoszącéj się z każdym dniem szlachty, to było kardynalną prawną zasadą całego wewnętrznego ustroju Litwy. Tylko możnowładcy mieli tam udział w życiu polityczném, mieli wolność; reszta narodu podzielona na mnóstwo klass społecznych, jedna od drugiéj zależnych, nietylko do spraw publicznych nie miała przystępu, ale zostawała w uznanéj prawnie zależności od panów, uginała się pod ciężarami poddaństwa. Co w Polsce było obowiązkiem powszechnym, obywatelskim, to na Litwie opierało się na związku feudalnym, który wszystkie stosunki przenikał. Dwóch takich organizmów nie było więc podobna połączyć z sobą unią ściślejszą od téj, jaka istniała w osobie monarchy,

bez wywołania rewolucyi wewnętrznéj w jednym lub w drugim. Albo szlachta polska musiałaby się zrzec swéj wolności społecznéj i politycznéj i w ciężkie karby feudalizmu podać, albo musiałby runąć feudalizm litewski, na którego utrzymanie panowie zbyt wiele posiadali siły wobec narodu, zupełnie jeszcze nie dojrzałego do politycznéj samodzielności.

Można też było z góry przewidzieć, że rokowania w sprawie unii zapowiedziane na sejm radomski do żadnego nie doprowadzą celu, jak to rzeczywiście się stało. Wątpimy bardzo, żeby w roku 1505 pod tym względem ktokolwiek mógł się oddawać złudzeniu, czy to Alexander czy polscy panowie. Widząc zaś, jak gorąco panowie ci popierają sprawę unii, łatwo możemy przypuścić, że był to z ich strony manewr nader zręcznie przygotowany. Chcieli oni w ten sposób odwlec i udaremnić reformę wewnętrzną w Polsce, która ostrzem swojém w ich stanowisko godziła. Rokowania podjęte w imię idei niewątpliwie wzniosłéj i popularnéj, odwracały uwagę od spraw wewnętrznych, stawiały senat w oczach narodu wysoko, bo unia była rzeczą polityki zewnętrznéj, należała więc do senatu, który w imieniu całego narodu z takim patryotyzmem mógł występować i na czele polityki narodowéj stanąć. Pobudki te, na co mamy już jawne historyczne dowody, kierowały i późniéj senatem za Zygmunta Augusta; tém więcéj zatém musiały wpłynąć na postępowanie jego za Alexandra, który niechcąc utracić zupełnie zaufania narodu, nie mógł się żądaniu senatu sprzeciwić.

Z ogromną też uroczystością występuje świeżo mianowany kanclerzem Jan Łaski na zjeździe panów litewskich w dniu 25 Lutego 1505 r. w Brześciu w imieniu polskiego senatu, wyłuszcza punkta, któreby przy zawarciu unii należało obmyślić: jak wybierać wspólnego pana, jak zapewnić mu dochody z dóbr, ażeby siebie mógł z godnością utrzymać i państwa bronić, jak dwór jego urządzić i ustanowić w środku obu krajów stolicę, jak oba kraje rządzić i bronić, jak godzić spory pomiędzy niemi powstałe, jak prowadzić sprawy dyplomatyczne, jak urządzić wspólne narady, jak zabezpieczyć obronę. Wzywając zaś panów litewskich do przybycia na sejm radomski ku ukończeniu unii postanowiony, odzywa się Łaski z polotem: „Wiecie jak sławna, jak straszna była potęga królów polskich, kiedy Korona razem z Wielkiém Księztwem występowała i wojny połączonemi siłami toczyła, wiecie jak bogaty był wówczas nasz wspólny monarcha, a teraz jak upadła powaga imienia królewskiego i potęga obojga rzeczy pospolitéj naszéj i waszéj.“

Piękna ta mowa kanclerza polskiego nie mogła jednak ogromnych przeszkód, w doprowadzeniu dzieła unii do skutku, usunąć; nie mogła załagodzić sporów, które podówczas właśnie pomiędzy panami litewskimi z niesłychaną zaciętością wybuchły. Pisze o nich Wapowski: „Zjazd w Brześciu odprawił się z wielkiém panów litewskich wzajemném rozjątrzeniem się i współzawodnictwem. Kniaź Michał Gliński, mąż potężnego i wzniosłego umysłu, zajmował pierwsze miejsce w łasce Alexandra; ztąd do wielkich dostatków przyszedł i największéj na Litwie używał powagi, takiéj mianowicie, że możniejszym swego narodu panom słusznie był strasznym. Ci czy to zazdrością powodowani, czy też posądzając go rzeczywiście o złe zamiary, oskarżali go w cichości pomiędzy sobą o niepomierną żądzę panowania i drżeli na myśl śmierci Alexandra, ażeby wówczas kniaź Michał nie opanował sam wszystkiego i godności Wielkiego Księztwa Litewskiego siłą nie posiadł. Obawa ta tém więcéj wydawała się uzasadnioną, że kniaź Michał wielkiemi u wszystkich cieszył się względami, a wyznawcy greckiego obrządku, Rusini, zamiary jego z pewnościąby poparli, z którymi on, zwyczajem ludu tego, nie przestawał wesołych odprawiać uczt i biesiad. Powiększyło podejrzenia i nienawiść oddanie starostwa grodu lidzkiego, które Jerzy Iliński pierwéj dzierżył, krewnemu kniazia Michała, Jędrzejowi Drozdzie. Ten przybywszy z listem królewskim do panów litewskich żądał, aby starostwo lidzkie było mu z polecenia króla oddaném. Możnowładcy jednak sądząc, że przez to potęga kniazia Michała się wzmoże, naradziwszy się między sobą, odłożyli sprawę tę do obecności króla i rozkazu jego wcale nie usłuchali. Wówczas kniaź Michał widząc, że się to dzieje na złość jemu i ku poniżeniu jego, począł otwarcie skarżyć przed Alexandrem o bunt i obrazę Majestatu i spotwarzać Wojciecha Tabora biskupa wileńskiego, Jana Zabrzezińskiego wojewodę trockiego, Stanisława Żarnowieckiego starostę żmudzkiego i Stanisława Kiszkę hetmana wojsk litewskich, ludzi w Litwie najznakomitszych, a swoich nieprzyjaciół otwartych, i nie poprzestał w wymyślaniu na nich różnych zbrodni i tyle codziennemi podszczuwaniami u panującego dokazał, że ich najpierw na gniew królewski, a następnie na otwarte niebezpieczeństwo utraty życia wystawił. Rozmawiano o zgubie ich na potajemnych radach, ażeby nie wiedzieli o gniewie panującego. Na zjazd też brzeski zawezwani, nie chcąc się jeszcze więcéj okazać nieposłusznymi i podejrzanymi królowi, i oni wreszcie lubo ostatni przybyli.

„Wierzono (creditum est), że Alexander dostawszy ich w swoje ręce, chciał strącić ich z mostu w rzekę Bug, i że dał się od tego odwieść usilnemi naleganiami Jana Łaskiego kanclerza koronnego, za którego radą panowie ci tylko za listem żelaznym na zamek brzeski przybyć się odważyli, co im zbawienie i bezpieczeństwo przyniosło. Wielu inaczéj mniemało, że Alexander pan łaskawy i łagodny nigdyby nie pomyślał, aby mężów znakomitych i w narodzie litewskim przedniejszych w taki sposób miał zgładzić, lecz że wszystko co zrobił lub powiedział, dla przestrachu jedynie i ze względów dla Michała Glińskiego uczynił. Ażeby zaś Glińskiego chociaż w części zadowolić, pozbawił największego jego wroga Jana Zabrzezińskiego posiadanych dostojeństw i odjął mu województwo trockie, które Mikołajowi Radziwiłłowi nadał. Biskupowi zaś wileńskiemu i innym wielu polecono, ażeby do rady królewskiéj przybywali jedynie wezwani, a tymczasem Majestat królewski starali się przejednać. Innéj ci ostatni nie odnieśli skazy. Niedługo potém Jan Zabrzeziński z innymi wspólnikami swéj niewinności, pojednani z królem, do łaski zostali przyjęci.“

Cały więc dramat odegrał się na zjeździe brzeskim, a na sejmie radomskim nie przebrzmiała jeszcze sprawa, gdyż Miechowita pisze:

„Następnie panowie rada Królestwa Polskiego starali się przeprowadzić pojednanie panów litewskich, zniesławionych jak mówią bez przyczyny, z królem Alexandrem. Nie mogli jednak dokazać dla niechęci królewskiéj, którą podżegali ludzie złéj woli. Dlatego nie ukończywszy sprawy (unii), Litwini ustąpili (z sejmu) po niedzieli Św. Trójcy.“

Podajemy całą tę sprawę słowami historyków spółczesnych, bo nie mając innych, dokładniejszych historycznych świadectw, nie jesteśmy w stanie istotnego jéj przebiegu przedstawić. Słowa jednak Wapowskiego i Miechowity są dla nas ogromnéj wagi, jeżeli chcemy scharakteryzować zachowanie się i stanowisko Alexandra i panów polskich na sejmie radomskim.

Istniały na Litwie dwa stronnictwa: jedno, spolszczonych panów litewskich, katolickie, ku Polsce ciążące i z panami polskimi w bezpośrednich zostające związkach; drugie, panów ruskich, wyznawców wschodniego obrządku, na którego czele stał potężny kniaź Michał Gliński. Ku temu ostatniemu stronnictwu skłaniał się Alexander, czego nie mógł czynić, żeby również z panami polskimi w otwartéj nie stanął nieprzyjaźni. Jakich środków chwycili się panowie ci razem ze stronnictwem swojém na Litwie, wia-

domém nam nie jest; nie musiały jednak być niewinnemi ich zamiary, skoro Alexander nagle w Styczniu 1505 r. wyrwał się z Polski do Brześcia, pozostawiając żonę i cały dwór w Krakowie. Z kroku tego usprawiedliwił się król przed panami polskimi, tłómacząc się przez Mikołaja Kotficza, że tylko dlatego do Litwy osobiście wyruszył, aby tém prędzéj na zjeździe brzeskim przywieść Litwinów do unii. Unia ta była jednak jedynie pretextem, bo król osądził, że tylko obecnością swoją i doraźném wystąpieniem, zdola zachwianą swoję powagę na Litwie przywrócić. Panowie polscy przewidując niebezpieczeństwo, gromadzą się jednak w Krakowie i wysyłają w trop za królem kanclerza Łaskiego na pozór z piękną mową w sprawie unii, w istocie zaś, aby całą swoją powagą poparł upadające swoje stronnictwo na Litwie. Jak, i o ile tego Łaski dokazał, wiadomém nam nie jest, tyle jednak pewna, że potęga i wpływ Glińskiego na króla nie zostały złamane, a Alexander powróciwszy do Polski i stanąwszy na sejmie radomskim, zachował rozjątrzenie swoje przeciw panom polskim i nieprzystępnym się dla nich okazał. Sprawa unii podjętą też była w Radomiu jedynie dla zadośćuczynienia formalności i skończyła się odjazdem poselstw litewskich i pruskich. Natomiast stoczyła się na sejmie radomskim walka pomiędzy senatem a królem, a przedmiotem téj walki była dalsza reforma wewnętrzna w tym punkcie, w którym na zeszłorocznym sejmie piotrkowskim stanęła.

Jaki był przebieg obrad radomskiego sejmu, rzeczą jest dla nas zupełnie nieznaną; znamy tylko jego skład i wyniki jego dwumiesięcznéj pracy, po których mamy go sądzić.

Dowiadujemy się z nich przedewszystkiém, że w sejmie radomskim wzięli udział oprócz „panów rad duchownych i świeckich także *posłowie ziem i miast* rozkazem królewskim wezwani, którzy całe ciało Rzeczypospolitéj imieniem obecnych i nieobecnych reprezentowali (V. L. I. 353).“ Że zaś udział ten posłów był rzeczywistym, że w wielu nader uchwałach oni sami dali inicyatywę, o tém świadczy niewątpliwie sama treść kilkunastu ustaw na sejmie tym zapadłych. I tak: ustawa o rokach czyli terminach sądowych grodzkich, o niepociąganiu spraw świeckich przed sądy duchowne, o komissyach królewskich sądowych, o cłach prywatnych, o wyborze urzędników sądowych, o ustanowieniu cen towarów przez wojewodów, o osiadłości urzędników i inne, są bezsprzecznie wypływem żądań szlachty i mają zapobiedz nadużyciom, na które szlachta, jak ustawy te wspominają, głośne podnosiła skargi. Inne ustawy, jak np. o więzieniu i ściganiu złoczyńców, wychodzą zato

wprost od króla, a o najważniejszych można powiedzieć, że są wynikiem zgodnych życzeń Alexandra i izby poselskiéj. Sejm radomski przedstawia nam obraz wspólnéj i zgodnéj pracy narodu i króla, jakiéj już od sejmu piotrkowskiego z r. 1496 nie było przykładu. Uchwały z r. 1505 poruszają wszystko co w r. 1496 na porządku dziennym stanęło, lecz na szerszą nieporównanie skalę z większą ścisłością i głębszém pojmowaniem rzeczy.

I tak ustawy radomskie powtarzają postanowienie z r. 1496 o nieprzyjmowaniu nieszlachty na biskupstwa i prelatury, ale zmieniają wprost w duchu prawdziwie liberalnym ustawę piotrkowską zakazującą mieszczanom dobra ziemskie posiadać, uznają prawo mieszczan i wypowiadają tylko sprawiedliwą zasadę, że „mieszczanie mający dobra dziedziczne ziemskie, na których służba wojenna ciąży, od służby téj nie mają być uwalniani, ilekroć będzie ustanowiona, wszelkie zaś listy królewskie zwalniające od wyprawy wojennéj miejsca mieć nadal nie powinny“ (V. L. I. 305). Ustawa ta, jak również obecność posłów miejskich na sejmie radomskim są widocznym dowodem, że wyłączność szlachecka nietylko od r. 1496 nie zrobiła postępów, lecz owszem po pierwszym zapędzie na sile swojéj niemało straciła.

Sejm radomski podjął również zadanie przedsięwzięte przez sejmy z r. 1493 i 1496 wśród podobnych jak wówczas okoliczności, przywrócił regularny bieg sprawiedliwości, która wśród nieobecności króla i zamieszek lat ostatnich, nader się była rozprzęgła. W dopięciu tego zamiaru okazał sejm ten rzadką stanowczość, skoro poważył się naruszyć zasadniczą ustawę „neminem captivabimus,“ a raczéj nowy z niéj uczynić wyjątek. „Postanawiamy, że żaden szlachcic nie ma być więziony — tak brzmi nowa ustawa — *który ma dobrą sławę*, jeżeli pierwéj przekonanym nie będzie. Nie uważa się zaś za człowieka dobréj sławy, kto trzy razy w spisach złoczyńców został zanotowany, taki więc jako człowiek złéj sławy, bez przewodu sądowego na podstawie niniejszéj ustawy schwytanym i uwięzionym być może“ (V. L. I. 300). Postanowienie to stosowano natychmiast, skoro opowiadają nam historycy, że Alexander na sejmie jeszcze radomskim wielu rozbójników nawet szlachty, którzy kupców po drogach łupili, schwytać i śmiercią ukarać rozkazał. Zginęli wówczas od miecza głośni z rozbojów rycerze, Osuchowski i Myssowski, zaś niejaką Rusinowską szlachciankę, którą konno w męzkiém ubraniu na rozboju schwytano, powieszono w tém samém ubraniu z ostrogami u butów.

Zapisujemy te fakta, aby dać poznać, jak wszechstronną była praca radomskiego sejmu. Rzeczy najważniejsze zostawiliśmy na

koniec, mianowicie uzupełnienie reformy władzy rządowéj na sejmie z roku 1504 już rozpoczętéj i wielką reformę władzy ustawodawczéj.

Co się tycze pierwszego punktu, podnieść musimy, że reformę władzy rządowéj uzupełniono jedném tylko, ale nieskończenie ważném postanowieniem: „Ponieważ są niektórzy, co otrzymawszy przez różne względy urząd czy to starościński czy inny w ziemi od miejsca zwykłego ich zamieszkania odległéj, następnie dla nieobecności w miejscu urzędowania, dają powód do licznych nieporządków, gdy nikogo nie ma, ktoby swawolę zepsutéj młodzieży i innych ludzi powściągnął; przeto postanawiamy, że starostowie, urzędnicy i dostojnicy, mają być osiadłymi w ziemi i powiecie, w których posiadają urzędy. Gdyby zaś listami naszemi do zadośćuczynienia obowiązkom swym wezwani zostali, i trzy razy wezwani obowiązków swych nie wypełnili, mają być pozbawieni urzędów i dostojeństw *ipso facto*" (V. L. I. 307). Mądre to postanowienie, gdyby je tylko król chciał i umiał roztropnie i energicznie wykonać, zapewniłoby mu niewątpliwie karność i posłuszeństwo całéj machiny urzędniczéj.

Reforma władzy ustawodawczéj zamykała się w dwóch ściśle z sobą związanych dziełach, w tak zwanym statucie Łaskiego i w ustawie rozpoczynającéj się od słów: „Nihil novi" i pod nazwą tą powszechnie znanéj.

Statut Łaskiego scharakteryzujemy najlepiéj, powtarzając następujące słowa ustawy zatwierdzającéj go, w któréj król tłómaczy przyczyny, jakie go nakłoniły do podjęcia téj pracy. „Gdy nie wszystkim było przystępne, co wszystkich obchodzi, gdyż przez pewne odzwyczajenie się i nieuwagę i przywileje i księgi statutów tylko w komorach skarbowych publicznych i w ręku szczupłéj liczby osób zachowane, całemu zaś narodowi zamknięte i nieznane dotychczas były, przeto na tym sejmie radomskim, na który ze wszystkich królestw i państw naszych ziem prałaci, baronowie i posłowie ziem i miast z rozkazu naszego przybyli, proszeni byliśmy głośno, ażebyśmy całemu królestwu wydali jeden zbiorowy przywiléj (księgę), obejmujący w sobie wszystkie statuta obowiązujące w tém państwie, przez ś. p. przodków naszych, oraz dziada, ojca, stryja i Jana Olbrachta brata, naszych wydane, z dołożeniem innych statutów naszych i abyśmy przywiléj ten rozesłali po wszystkich starostwach i większych kościołach w oryginałach, *aby znajomość jego z wyjątkowéj, powszechną stać się mogła*" (V. L. I. 353).

Statut Łaskiego nie jest więc żadną kodyfikacyą prawa, lecz

jest uporządkowanym chronologicznie zbiorem ustaw od najdawniejszych czasów aż do sejmu radomskiego włącznie, mieści w sobie prawo zarówno ziemskie jako też miejskie, ustawy do węwnętrznego porządku i zewnętrznych stosunków się odnoszące. Nie będziemy tu układu tego praw ze stanowiska prawniczo-krytycznego oceniali, już dlatego samego, że cała strona techniczna statutu dziełem jest nie sejmu i króla, lecz kancelaryi królewskiéj pracującéj pod przewodnictwem Jana Łaskiego kanclerza. Że kancelarya w pracy téj zupełną miała swobodę, świadczy o tém zamieszczenie w statucie wielu praw ściśle kościelnych w wyłącznym interesie kościoła, co późniéj całemu dziełu odbierało powagę. Choćbyśmy jednak statutowi Łaskiego pod względem krytyki textu, wyboru i układu ustaw, zupełnie odmówili uznania, jednak podnieść koniecznie musimy, że zebranie i ogłoszenie drukiem ustaw nie mogło pozostać bez najdonioślejszych dla całego politycznego rozwoju następstw. Warunkiem i podstawą udziału jednostek i klass społecznych w polityczném życiu jest niewątpliwie znajomość ustaw chociażby w najgłówniejszym zarysie. Otoż w skutku ogłoszenia statutu Łaskiego znajomość ta będąca dotychczas przywilejem tylko nielicznéj klassy możnych, stawała się udziałem ogółu narodu—szlachty, dawała jéj podstawę do wytworzenia sobie pewnego samoistnego poglądu i dążenia, jakiego szlachta dotychczas nie posiadała. Sejm radomski wydając statut, stworzył rzec można w szlachcie nowy polityczny żywioł, który wkrótce liczbą swoją, stanowiskiem i intelligencyą zająć miał pierwsze miejsce w Rzeczypospolitéj.

Zasadę udziału szlachty w życiu publiczném zapewnił zresztą sejm radomski nietylko przez wydanie zbioru ustaw, lecz wypowiedział ją nadto i skreślił w osobnéj ustawie. Jest to głośna ustawa „Nihil novi,“ ustawa zasadnicza, przedzielająca państwo polskie średniowieczne od nowożytnego.

„Quoniam iura communia et constitutiones publicae non unum sed communem populum afficiunt, itaque in hac radomiensi conventione cum universis regni nostri praelatis, consiliariis, baronibus et nuntiis terrarum aequum et rationabile censuimus ac etiam statuimus, ut deinceps futuris temporibus perpetuis *nihil novi constitui debeat per nos et*

„Ponieważ ogólne prawa i ustawy publiczne nie jednostki, lecz całego narodu dotyczą, przeto na tym radomskim sejmie ze wszystkimi królestwa naszego prałatami, senatorami, baronami i posłami ziemskimi uznaliśmy za słuszne i rozsądne, że na przyszłość *nic nowego nie ma być ustanowianém przez nas i następców naszych bez wspólnego senatorów*

successores nostros sine communi consiliariorum et nuntiorum terrestrium consensu, quod fieret in praeiudicium gravamenque Reipublicae et damnum atque incommodum cuiuslibet privatum, ad innovationemque iuris communis ac publicae libertatis." (V. L. I. 299).

i posłów ziemskich przyzwolenia, coby tylko na ściśnienie i obciążenie Rzeczypospolitéj, na krzywdę i niewygodę jednostki, na zmianę prawa ogólnego i wolności publicznéj wyjść mogło."

Głośną tę w całych dziejach polskich ustawę, uważać należy jako koronę wieńczącą całą reformę przedsięwziętą przez Alexandra, jako ostateczny wynik walki stoczonéj między senatem a królem. Całą naszą rozprawą staraliśmy się też przygotować materyał do ocenienia téj zasadniczéj, a tak mylnie — zdaniem naszém — dotychczas pojmowanéj ustawy.

Broniąc jéj zaś, będziemy raz jeszcze mieli sposobność, poprzeć i uzasadnić pogląd nasz na instytucyą sejmów, którymyśmy już przy rozbiorze ustaw sejmowych z r. 1493 i 1496 w głównych skreślili zarysach.

*

* *

Czynią ustawie „Nihil novi" przedewszystkiém zarzut, że wyciśnięta została na królu przez szlachtę przemocą. Na to odpowiedzieć możemy z pewnością, że ustawa ta z roku 1505 powstanie swoje zawdzięcza przeważnie inicyatywie królewskiéj. Alexander nie był wprawdzie żadnym genialnym monarchą, nie był dobrym gospodarzem, wytrwałym administratorem a żadnym już wodzem; ale całe panowanie jego może nas dowodnie przekonać, że nie był człowiekiem, na którymby można cokolwiek siłą lub podstępem wycisnąć. Kto tak zręcznie jak on umiał stawić czoło groźnéj przewadze senatu w Polsce, kto wobec niemiłych sobie dążeń stronnictwa polskiego na Litwie potrafił z taką energią politykę swoję utrzymać; ten nie byłby z pewnością dał się opanować i zastraszyć szlachcie polskiéj, która jeszcze w walce politycznéj żadnéj nie miała wprawy i samoistności. Wszystkie zresztą okoliczności towarzyszące powstaniu ustawy „Nihil novi" świadczą przeciw przypuszczeniu porażki króla przez szlachtę. Miałaż ta porażka nastąpić w chwili, kiedy Alexander przeprowadził właśnie reformę władzy rządowéj na sejmie piotrkowskim z roku 1504, w chwili kiedy na sejmie radomskim z roku 1505 w najdra-

źliwszych punktach ją jeszcze wykończał, kiedy obalił przywilej mielnicki i władzę królewską rzec można najwyżéj postawił? Byłoby to wręcz niepodobném. Wykazaliśmy natomiast, że król ustawą z roku 1505 pragnął zapewnić sobie i rządom swoim trwały punkt oparcia w szlachcie przeciw uroszczeniom senatu. Nie jedna Polska, ale cała ówczesna Europa daje nam przykład, że królowie druzgocą możnowładztwo średniowieczne tym samym sposobem, t. j. oparciem się na niższych warstwach narodu, które wolały jednego silnego pana, nad wielu drobnych gniotących je tém srożéj królików.

Jeżeliby zresztą ustawa „Nihil novi" miała być przez szlachtę istotnie na królu zdobytą, to musiałaby w treści swojéj zawierać jakieś nowe, nieznane przedtém ograniczenie władzy królewskiéj. I o to częstokroć ją posądzają. Zastanówmy się, czy słusznie? Jakież to prawo miało być wydarte królowi? Czy władza ustawodawcza? Widzieliśmy, że w państwie średniowieczném król słaby tylko w niéj udział posiadał; patrzaliśmy następnie na sejmy za Jana Olbrachta, kiedy de jure władza ta należała do sejmików a faktycznie stała się rzeczą sejmu złożonego z króla otoczonego senatem i szlachtą. Poznaliśmy wreszcie przywilej mielnicki z r. 1501, który władzę tę zupełnie odejmował królowi a na senat przenosił. Znając to wszystko, możemy więc śmiało powiedzieć, że ustawa „Nihil novi" była legalném przywróceniem władzy ustawodawczéj królewskiéj, które w roku 1504 faktycznie już nastąpiło, była głośnym powrotem do stanu rzeczy za Jana Olbrachta. Przyznawała ona nie komu innemu, tylko samemu królowi władzę ustawodawczą z prawem inicyatywy, a czyniła ją tylko zależną od zezwolenia dwóch czynników—senatu i posłów ziemskich. Posłowie osiągnęli napowrót dawniejsze swe stanowisko, tylko senat utracił wprawdzie prerogatywę przywilejem mielnickim sobie przyznaną, ale otrzymał więcéj niż miał przed tym przywilejem, zamiast prawa „obradowania" z królem nad ustawami zamierzonemi, otrzymał moc „zezwalania" na nie lub „niezezwalania," głos zupełnie stanowczy. Ustawa „Nihil novi" była zresztą w rozwoju sejmów i władzy ustawodawczéj rzeczywistym postępem.

Najprzód sformułowała ona fakt, który już istniał, a usuwała tém samém niebezpieczeństwa jego dalszego samowolnego rozwoju. Daléj, przeniosła legalnie władzę ustawodawczą służącą podług ustaw z r. 1454 i 1496 sejmikom na sejm, z tłumów na intelligencyą, była nawskroś centralistyczną i przyczyniła się niezmiernie do jednolitości narodu i państwa, któréj nie sprzyjały możnowładcze rządy. Nakoniec ustawa ta wypowiedziała otwarcie, w czém

właściwie król ma być ograniczonym, a mianowicie, w wydawaniu *nowych* ustaw zmieniających dawniejsze i w nakładaniu nowych, publicznych ciężarów. Tém samém zaś przyznawała ona królowi we wszystkiém inném nieograniczoną władzę. Że tak było w istocie, na to już z sejmu radomskiego możemy przytoczyć przykłady. Sejm ten przyznając sejmom władzę zmieniania ustaw, nie usuwał innych źródeł istniejącego prawa t. j. prawa zwyczajowego pojedynczych dzielnic i rozporządzeń królewskich, za pomocą których król mógł istniejące prawa objaśniać, uzupełniać i rozwijać. Wydając statut Łaskiego, polecił też Alexander wszystkim ziemiom, ażeby spisały swoje partykularne zwyczaje, i zastrzegł sobie prawo ich potwierdzenia. Sam zaś z własnéj mocy i inicyatywy ogłosił proces sądowy jako instrukcyą mającą być przez sądy przyjętą a dążącą do skrócenia i ujednostajnienia postępowania. Rozporządzenie to było wypływem dawnego juris honorarii królów, które Alexander w całości zachował, a zaś nowe, niegdyś nieznane źródło prawa — ustawodawstwo — zostało prawnie utrwalone i określone.

Jeżeli zaś ustawa „Nihil novi“ nie odbierała królowi prawa wydawania rozporządzeń w zakresie istniejącego prawa, to tém mniéj naruszać mogła jego władzę wykonawczą, rządową. Władza ta wychodziła z sejmu radomskiego wielce wzmocnioną, bo przywilej mielnicki z roku 1501, który ją rzeczywiście usiłował skrępować, na sejmie tym niepowrotnie upadł. W statucie Łaskiego najmniejszéj o nim nie znajdujemy wzmianki. Ażeby go zastąpić, wydał Alexander w dniu 3 Maja 1505 roku ogólne potwierdzenie praw i przywilejów Królestwu i jego ziemiom słusznie i prawnie (iuste et legitime) udzielonych i przysługujących, a na zakończenie dodał:

„Gdybyśmy cokolwiek przeciw wolnościom, przywilejom, swobodom i prawom Królestwa uczynili, uznajemy to jako ipso facto nieważne i żadne.“ (V. L. I. 356).

Porównajmy tę sankcyą z sankcyą przywileju mielnickiego grożącą królowi łamiącemu prawo buntem, i ogłaszającą go w takim razie za wyjętego z pod prawa, za tyrana i wroga całego narodu, a możemy ocenić, jaki postęp zrobiła u nas królewskość od r. 1501 do 1505.

Powiadają nakoniec, że ustawa „Nihil novi“ uświęca jednomyślność głosów i jest źródłem całéj późniejszéj anarchii z liberum veto. Otoż prawdą jest, że na sejmach za Jana Olbrachta i Alexandra jednomyślnością stanowiono uchwały. Jednomyślność wynikała ztąd, że władza ustawodawcza spoczywała w sejmikach,

a sejm był tylko miejscem zebrania uchwał sejmikowych przez posłów królowi przesłanych. W miarę jak sejm począł nad sejmikami zdobywać sobie przewagę i stawać się reprezentacyą narodu, słabnąć musiał nacisk na jednomyślność, ale zasada ta prawa zwyczajowego przetrwała. We wszystkich aktach sejmowych spotykamy się z wyrażeniem: „za jednomyślną zgodą,“ jak o tém mieliśmy już powyżéj sposobność niejednokrotnie wspominać. Otóż zasługą jest Alexandra, że nie mogąc widocznie saméj zasady usunąć, starał się przynajmniéj niebezpiecznym jéj skutkom zapobiedz. Przytoczyliśmy dosłownie, jak odzywając się do sejmików wzywał je, ażeby obierając posłów dawały im zupełne pełnomocnictwo stanowienia o wszystkiém, a zatém instrukcyami ich nie krępowały. Ustawa zaś z roku 1505 pominęła całą tę sprawę milczeniem; wymagając zgody wspólnéj dwóch ciał, senatu i posłów, nie określiła zupełnie sposobu głosowania w senacie i izbie poselskiéj. Widzimy w tém wielką roztropność ze strony ustawodawczéj, bo gdyby na sejmie radomskim sprawa głosowania jednomyślnością lub większością głosów miała być rozstrzyganą, szala musiałaby się niewątpliwie na stronę jednomyślności przechylić. Tak zaś pozostawiono drażliwą tę kwestyą do rozstrzygnięcia na późniéj, gdy parlamentaryzm naturalnym swoim rozwojem, do stanowienia przez większość doprowadzi. Widzimy też rzeczywiście że za najświetniejszych czasów sejmowania polskiego, za Zygmunta Augusta na t. z. sejmach egzekucyjnych, większość głosów rozstrzygała faktycznie zarówno w senacie jako i w izbie poselskiéj w sprawach większéj wagi, i oba ciała pomimo sporów i rozpraw wewnętrznych, występowały z jedném zdaniem na zewnątrz przez usta swych mówców. Jeżeli zaś chcemy już winić ustawę „Nihil novi“ o niedokładną stylizacyą, to zarzucić jéj musimy, że nie wspominała wyraźnie o posłach miast, o których w innych ustawach sejmu radomskiego znajdują się wzmianki. Trzeba było dopiero interpretacyi prawniczéj, że przez posłów ziemskich rozumieją się także posłowie z miast, co dla rozwoju reprezentacyi miast na sejmie było dotkliwym ciosem.

Na zakończenie podnosimy jeszcze przeciw ustawie z r. 1505 jeden najbardziéj zasadniczy zarzut. Ustawa ta uświęciła niewątpliwie udział szlachty w życiu publiczném, stworzyła parlamentaryzm. Byłaż zaś szlachta żywiołem, któryby do życia politycznego już dojrzał? byłże parlamentaryzm formą rządu, którąby Polsce ówczesnéj mogła zapewnić porządek i wewnętrzny rozwój? Na pytanie to trudno jest w istocie odpowiedzieć. Zważyć jednakże należy, że forma rządu polskiego, jak to na samym wstępie wspo-

mnieliśmy, rozstrzygnęła się już za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Monarchia i absolutna władza rządowa nie mogły się w Polsce w żaden sposób wobec przewagi możnowładztwa utrzymać, możnowładztwo zaś dowiodło w roku 1502, że nie posiada warunków do zbudowania samoistnéj władzy rządowéj. Powołanie zaś szlachty, żywiołu niezupełnie jeszcze dojrzałego, do udziału w życiu politycznêm celem przywrócenia i utrwalenia rządów królewskich, było złem koniecznêm najmniejszém. Panowanie zaś Zygmunta, skoro lepiéj zostanie zbadaném, dostarczy dowodów, że nie szlachta była tym czynnikiem, który w dalszéj reformie przeszkadzał i bróździł. Najpiękniejsze usiłowania Zygmunta Starego, wszystkie reformy podniesione za Zygmunta Augusta upadły oporem senatu. Poskąpiły nam losy w najbliższéj epoce po sejmie radomskim panującego, któryby widział, że źródło złego tkwi w przesadzonéj niezawisłości dostojników, którzy zamiast wykonywać rozkazy rządu, pracowali nad ich udaremnieniem, a w senacie w obronie swego stanowiska, stawiali im zasadniczy opór. Uzurpacyi téj ostatecznie złamać, ustawy z r. 1505 o karaniu nieposłusznych urzędników przeprowadzić nie odważyli się Zygmuntowie, nawet z gotową zawsze pomocą szlachty; w chwili stanowczéj brakło im zawsze siły charakteru i wytrwałości. Że w takiéj szkole szlachta nie mogła do życia politycznego dojrzeć, lecz owszem krzywiąc swoje lepsze pojęcia, musiała się jątrzyć i burzyć, że parlamentaryzm nie był w stanie zbawić od upadku i sam wkrótce krzywić się począł,— to nas nie powinno dziwić, to nas nie może upoważniać do potępienia sejmu radomskiego za jego zbawienne ustawy. Nie zapominajmy, że epokę naszego stosunkowo najświetniejszego wewnętrznego rozwoju, epokę Zygmuntowską zawdzięczamy dziełu dokonanemu przez Alexandra. Czyż rozwój ten byłby możebny, gdyby ustawy z roku 1505, gdyby parlamentaryzm był już wówczas naruszeniem władzy królewskiéj, objawem anarchii i wewnętrznéj zgnilizny?

Rezultaty statystyki kryminalnéj w Królestwie Polskiém

przez

WITOLDA ZAŁĘSKIEGO.

Jedną z najmłodszych nauk społecznych jest bezwątpienia statystyka. Dlatego też pomimo wielkiéj ilości jéj określeń, nie potrafiła ona jeszcze dotąd stale się odgraniczyć od innych nauk i ściśle określić swojego pola poszukiwań. Z drugiéj znowu strony bardzo jéj trudno pozyskać uznanie tak pomiędzy uczonymi jak i ludźmi praktycznymi. Mianowicie napotyka ona wielu niedowiarków, niechcących przyznać charakteru naukowego i praktycznego jéj rezultatom. Jednych bowiem zastrasza w statystyce, że nauka ta podciąga wszystko pod liczby. Widzą oni jak wszelkie różnice jakościowe t. j. przymioty wewnętrzne, zamieniane bywają na ilościowe, i jak wypadki rozmaitego znaczenia wewnętrznego dodawane są mechanicznie do siebie. Sądzą, że statystyka jednę ma miarę, tak dla płodów umysłu, płodów ducha i geniuszu, jak dla produktów materyalnych rolnictwa, przemysłu i handlu. Wszystko to w ich oczach jest następstwem kierunku obecnego materyalistycznego.

Inni znowu, może więcéj oswojeni z rezultatami statystycznemi, nie przypisują im żadnéj wartości w skutku nadużyć, jakim zestawienia statystyczne często ulegały. Mianowicie statystyka finansowa używana była często zamiast do wyświecenia, raczéj do zaciemnienia położenia ekonomicznego danego państwa lub przedsiębierstwa. Pokazywała ona równowagę pomiędzy wpływami i wydatkami tam, gdzie w rzeczywistości deficyt był znaczny i nie było możności go usunąć. Nazwano to nawet umiejętnością grupowania liczb.

Dla wielu znowu trudném jest pogodzenie się z myślą, że może być nauka poważna, która od początku wyrzekła się pewności i tylko z możliwém i prawdopodobném ma do czynienia. Dla osób oceniających dzieło i książkę ze strony estetycznéj, t. j. podług formy jéj zewnętrznéj, czy może być co nudniejszego od pracy statystycznéj, z jéj nieskończonym szeregiem liczb i liczbą nieskończoną tablic smutnego jednostajnego oblicza? Przypominają one swą jednostajnością obszary błotne Polesia, albo stepy Ukrainy, bez żadnego przedmiotu, na którymby oko podróżnego spocząć mogło. I rzeczywiście, potrzeba pewnéj wprawy, żeby w tablicy statystycznéj, w któréj nie ma często dwóch liczb tych samych, umieć dopatrzyć jednostajności lub prawidłowości i dążenia do zmian w pewnym stałym kierunku. Potrzeba pewnego daru uogólniania, daru kombinacyjnego, żeby co wyczytać z tablicy i niedając się zbić z toru chwilowém zboczeniem kilku liczb, dopatrzyć prawidłowości w takim chaosie.

Przechodząc do pierwocin i kolebki nauki, potrzeba uderzyć czołem przed potęgą rozumu ludzkiego, który wychodząc z zasady, że nie ma nic chaotycznego we wszechświecie, stwarza rachunek dla obliczenia przypadkowości. Tym rachunkiem jest rachunek prawdopodobieństwa, obliczający z matematyczną ścisłością szanse pojawienia się wypadków przypadkowych, nie koniecznych i dający możność obliczenia wielkości pomyłki w wypadkach, gdzie przyczyną niedokładności są nasze narzędzia naukowe albo środki doświadczalne. Ztąd też od czasów Pascal'a, twórcy téj nauki, aż do Laplace'a i późniéj najsłynniejsi matematycy zajmowali się rachunkiem prawdopodobieństwa.

Pierwszém zastosowaniem praktyczném téj nauki były *tablice śmiertelności*, obliczone dla towarzystw ubezpieczeń i mające na celu przedstawić w jakim porządku rozmaite klassy wieku dotknięte bywają śmiertelnością. Potrzebne one były dla obliczenia jak długo prawdopodobnie żyć może osoba pewnego wieku i stanu, ażeby na mocy tego obliczenia oznaczyć wysokość płacić się mającéj premii ubezpieczeń, albo wartość renty dożywotniéj. Dla osoby pojedynczéj niepodobna oznaczyć kiedy śmierć nastąpi; ale biorąc wielką liczbę osób np. 10,000 albo 100,000 tego samego wieku i położenia społecznego, można na podstawie rachunku prawdopodobieństwa wykazać, ile w danym kraju przeciętnie z każdéj klassy wieku umiera; ile na 100,000 nowonarodzonych, umiera w pierwszym roku życia, ile w drugim, trzecim i tak następnie. W rachunku takim jednostka zaciera się

zupełnie; nie idzie bowiem o to czy pan A., B. lub C. umrze, ale tylko ilu z 10,000 osób mających 20 lat wieku dożyje lat 40.

Zastosowanie podobnéj metody licznego i systematycznego postrzegania do zjawisk świata społecznego dało początek *statystyce*, która jednakże ze zlania dwóch kierunków naukowych, dzisiejszą otrzymała postać. Jest ona bowiem z jednéj strony nauką opisującą, przedstawiającą stan dokładny państw i narodów, z drugiéj znowu strony jest zastosowaniem rachunku prawdopodobieństwa do zjawisk społecznych w celu wyprowadzenia pewnych prawidłowości i praw społecznych. To podwójne pochodzenie jest główną przyczyną chwiejności jéj określenia i niezgody pomiędzy teoretykami. Jedni bowiem kładą większa wagę na stronę opisową, drudzy na wyprowadzanie wniosków z licznych i systematycznych spostrzeżeń, inni nakoniec chcieliby te dwie czynności zupełnie oddzielić i dwom różnym naukom je powierzyć. Ztąd też utworzyło się pojęcie o osobnéj *metodzie statystycznéj*, któréj istotę stanowią liczne i systematyczne spostrzeżenia nad zjawiskami nietypowemi, t. j. niepowtarzającemi się jednostajnie. Metody téj używają w meteorologii, astronomii, fizyologii i wogóle w tych naukach przyrodniczych, w których nie można zrobić doświadczenia sztucznego, lecz ograniczyć się potrzeba zbieraniem spostrzeżeń.

Pomiędzy zjawiskami fizycznemi i organicznemi z jednéj strony, zjawiskami psychicznemi, duchowemi i społecznemi z drugiéj, ta zachodzi różnica, że czynnikiem wpływającym na zjawiska drugiego rodzaju jest *wolna wola* człowieka. Otoż tę wolną wolę przedstawiano sobie dotąd jako zupełną dowolność, niepodległą żadnéj prawidłowości w swoich objawach. Ztąd też z wielkiém niedowierzaniem patrzano na zastosowanie metody statystycznej do zjawisk społecznych. Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu okazała się bardzo wielka prawidłowość w ilościach zawieranych rocznie małżeństw, w ilościach popełnianych przestępstw, dokonanych i zamierzanych samobójstw. Ich prawidłowość okazała się większą od téj, którą znaleziono dla zjawisk atmosferycznych jakiemi są: stan wilgotności powietrza, kierunki wiatru, wysokość barometru i termometru i t. p. Prawidłowość zjawisk społecznych okazała się w najdrobniejszych szczegółach. Tak np. w ilościach zawieranych *małżeństw*, stosunek wieku obu płci pozostawał ten sam z jednego roku na drugi; nawet tak nienaturalne związki jak pomiędzy mężczyznami, niemającymi jeszcze 30 lat i kobietami więcéj niż 60-letniemi, powtarzały się w Belgii regularnie chociaż w ilościach bardzo ograniczonych, jak to wykazał Quetelet. Co do liczby *przestępstw* i *samo-*

bójstw powtarzają się z dziwną jednostajnością z roku na rok te same stosunki wieku, płci, zajęcia i zamieszkania przestępców, jak również te same sposoby odebrania sobie życia, z tą samą przewagą liczebną pewnych pór roku. Kiedy taka pokazała się prawidłowość uczynków ludzkich, zależących od wolnéj woli, przerzucono się do drugiéj ostateczności i zaczęto zaprzeczać téj wolności człowiekowi. Utrzymywano, że ponieważ co rok ta sama musi powtórzyć się ilość przestępców, rzeczą jest tylko przypadku, rodzajem loteryi, kto ten numer nieszczęśliwy wyciągnie i stanie się przestępcą: gdyby bowiem ta osoba przestępstwa nie popełniła, musiałaby inna ją zastąpić i na jéj miejscu stanąć. Z tego wyprowadzono wniosek, że winne jest tylko społeczeństwo, przygotowujące zbrodnią, zbrodniarz zaś sam jest tylko ślepém narzędziem i ofiarą takiego stanu społecznego.

Przyczyną tego fałszywego wnioskowania jest przypuszczenie, że wolna wola jest jedyną przyczyną uczynków ludzkich, zależnych od téj woli, i nierozróżnianie pomiędzy wolną wolą a przypadkiem i ślepym trafem. Tylko dziecko jest w stanie bez rzeczywistéj przyczyny zmieniać co chwila kierunek woli, i taka nieuzasadniona zmiana kierunku, kaprysem zwykle się nazywa. Dlatego mówimy także o kaprysach mody. Człowiek obdarzony rozumem inaczéj używa swéj woli, rozwijając i wykształcając z postępem lat swój charakter, razem kształci i wprawia swoję wolą. Na ukształcenie charakteru rozmaite składają się czynniki. Takiemi wpływowemi czynnikami są: społeczeństwo, w którém człowiek się urodził i wzrósł, stosunki familijne, majątkowe, różnica płci i wieku i t. p. Na podstawie tego znalezionego materyału, wykształca człowiek swoję indywidualność tak, że tylko to, co po za temi czynnikami posiędzie, jest owocem jego pracy osobistéj. Człowiek zatém zależnym jest od społeczności, wśród któréj wzrósł, i z pod jéj wpływu nie jest w stanie zupełnie się wyłamać. Ztąd też i w jego woli odbija się ten wpływ różnorodny i uczynki zależące od jego wolnéj woli muszą odpowiadać charakterowi człowieka i są następstwem tego charakteru. Człowiek zatém, pomimo że nie jest pod żadnym przymusem lub koniecznością zewnętrzną, postąpi jednak prawie zawsze podług swojego charakteru i wyrobionych zasad i przekonań, i tylko o ludziach charakteru słabego i niewyrobionego nie można naprzód przepowiedzieć, jak sobie w danym wypadku postąpią. Ponieważ zakres działania zwyczajnego człowieka jest bardzo ograniczony, przeto i jego wola ma bardzo ograniczone koło działania dla wykazania swéj wolności; ale pomimo tego jednak nie jest bynajmniej skrępowaną jakąś koniecznością zewnętrzną

i nie ulega żadnemu przymusowi fizycznemu. Jak charakter człowieka pojedynczego tylko stopniowo się wyrabia i nie podlega zmianom z dnia na dzień; tak témbardziéj charakter moralny całego społeczeństwa nie da się z jednego dnia na drugi przerobić. Potrzeba wychować i wykształcić nowe pokolenie, żeby znaczną pod tym względem zmianę wywołać. Nic więc dziwnego, że w uczynkach zbiorowych całego społeczeństwa, zależących od wolnéj woli, więcéj jest prawidłowości niż w niektórych zjawiskach świata fizycznego, np. w zjawiskach atmosferycznych. Potrzeba zmian nadzwyczajnych i gwałtownych, wypadków szczególnych albo wpływu wielkich mężów i geniuszów, ażeby nagle zmienić charakter danego społeczeństwa, przejawiający się dodatnio w dobrych uczynkach, a ujemnie w niemożności oparcia się złym nałogom i skłonnościom. Ta strona ujemna przejawia się mianowicie w ilości dokonanych przestępstw i przekroczeń.

Ocenienie stanu moralnego danego społeczeństwa jest bardzo trudne. Sądy osób pojedynczych są zwykle nacechowane jednostronnością. Pod wpływem przypadkowego usposobienia tworzymy sobie sąd o ludziach i wypadkach, tak, że sąd ten nie może rościć prawa do bezstronności. Usunąć tę cechę jednostronności może tylko metoda statystyczna przez liczne i systematyczne spostrzeżenia: ztąd też najlepszego materyału historycznego, niezbędnego do ocenienia pewnego społeczeństwa w danym razie, dostarcza statystyka.

Ponieważ dobre uczynki kryją się od jawności, dla niestracenia swéj zasługi moralnéj, podług zasady: niech lewica nie wie co czyni prawica, przeto uczynki niemoralne t. j. przestępstwa i przewinienia nadają się najlepiéj dla poszukiwań statystycznych. Społeczeństwo występuje przeciwko nim karząco, przeto dochodzenie wszelkich czynów ujemnych otoczone jest jak największemi ostrożnościami. W *sądownictwie* mamy instytucyą społeczną do bezstronnego oceniania tych objawów ujemnych życia społecznego; sądy są jakby rozrzuconą siecią stacyi spostrzegawczych po całym kraju, dla notowania każdego objawu woli występnéj. W *sądach* znowu *przysięgłych* mamy uprzytomnienie sumienia społecznego. W każdém bowiem przestępstwie część winy leży na samém społeczeństwie i okolicznościach otaczających przestępcę; pozostała tylko część może mu być poczytana za winę. Do téj drugiéj zatém części wyłącznie może być zastosowane postanowienie kodexu karnego. Tylko ludzie żyjący w tém samém co przestępca społeczeństwie, zdolni są oddzielić winę zbiorową od winy

indywidualnéj. Tylko przez zrozumienie znaczenia moralności społecznéj, różnéj od moralności indywidualnéj i jednostkowéj, da się wytłómaczyć solidarność społeczna, łącząca pokolenia następujące z poprzedzającemi w jedném i tém samém społeczeństwie. Na podstawie téj solidarności społecznéj, odpowiadają dzieci za winy rodziców i naodwrót, rodzice za przewinienia ich dzieci. Pokolenia następujące odziedziczają od poprzedzających cały zapas nagromadzonych zasobów moralnych i ekonomicznych, muszą zatém również i długi zaciągnięte przez poprzedników spłacać. Jak dług materyalny musi być spłacony, tak również każde przestępstwo wymaga odpowiedniéj kary, ażeby sprawiedliwości stało się zadość.

Statystyka sądowo-karna, będąc częścią najważniejszą t. z. statystyki moralności, zwróciła na siebie już dawno uwagę uczonych. Materyału dostarczyły najprzód wykazy sądowe francuzkie, które od roku 1826 prowadzone i wydawane są wzorowo. Jeden z pierwszych *Quetelet* starał się ten materyał francuzki zużytkować i z materyałami zebranemi w innych krajach, szczególniéj w Belgii porównać. Tak badając rozmaite zjawiska, dotyczące człowieka, podług stopnia ich zmienności, podaje *Quetelet* (1) następujący ich porządek, zaczynając od zjawisk, które się przedstawiają najstalszemi t. j. przedstawiającemi najmniéj zmian peryodycznych. Tak najstalszym jest wzrost człowieka, następnie repressya karna t. j. srogość z jaką przestępstwa bywają karane, daléj liczba urodzeń, następnie skłonność do przestępstw czyli łatwość ich popełniania, następnie wypadki śmierci, liczba zawieranych małżeństw, wpływy i wydatki skarbu i nakoniec największym ulegają zmianom ceny zboża. Ponieważ *ceny zboża* są jedną z przyczyn najsilniéj działających na śmiertelność rodzaju ludzkiego i na jego reprodukcyą t. j. ilość urodzeń, i ponieważ te ceny zmieniają się obecnie w granicach bardzo szerokich, przeto staraniem powinno być rządów, zapobiedz o ile możności i usunąć przyczyny, wywołujące takie wielkie zmiany wysokości cen zboża a przez to i zjawisk życia społecznego.

Ponieważ z drugiéj strony przestępstwa co rok dokonywane, są jakby następstwem koniecznem stanu obecnego społecznego, i ponieważ ich liczba może się zmniejszyć tylko w skutku poprzedniéj zmiany przyczyn je wywołujących; zadaniem jest zatém prawodawcy wyszukać i poznać te przyczyny, i o ich usunięcie w miarę

---

(1) *Quetelet.* Physique sociale. 1869 T. II, str. 427 i nast.

możności się postarać. Prawodawca zatém po części ustanawia budżet występków, podobnie jak ustanawia budżet dochodów i wydatków. Podług *Quetelet'a* bowiem wypływa jak najjaśniéj z doświadczenia, że społeczeństwo przygotowuje przestępstwo, a przestępca jest tylko narzędziem, wykonywającém to przestępstwo. Widzieliśmy już wyżéj, jak tylko warunkowo i w części można się zgodzić na ten ostatni wniosek *Quetelet'a.* Podług niego również główny rezultat cywilizacyi i uspołecznienia polega na coraz większém zbliżeniu granic, wśród których zamknięte są uchylenia od średniéj dla wszelkich zjawisk odnoszących się do człowieka. Wpływy, którym podlega nasz system społeczny, ulegają w ogólności zmianom bardzo powolnym, tak że te zmiany widoczne są ledwie po wielu latach, może nawet stuleciach, ztąd też tłómaczy się jednostajność zadziwiająca, jaką się odznaczają zjawiska społeczne np. małżeństwa, przestępstwa, samobójstwa i t. p.

Skłonność do przestępstw (1) wzrasta bardzo szybko, w okresie pełnoletniości dochodzi swego maximum t. j. natężenia największego i następnie się zmniejsza, ale tylko pomału aż do lat najpóźniejszych. Ta prawidłowość ulega zmianom tylko co do wielkości maximum i czasu jego pojawiania się. Tak we *Francyi* dla przestępstw w ogólności, maximum przedstawia się w 24 roku życia, w *Belgii* to największe natężenie skłonności przestępnéj jest trochę późniejsze; w Anglii, w Badenie pojawia się ono przeciwnie trochę wcześniéj. Różnica zachodzi również co do *płci.* We Francyi maximum dla mężczyzn pojawia się mniéj więcéj o rok wcześniéj niż u kobiet i jest cztery razy znaczniejsze. Dla przestępstw rozmaitych maximum jest także trochę inne. Tak maximum dla przestępstw przeciwko własności poprzedza mniéj więcéj o 2 lata takie samo maximum dla przestępstw przeciwko osobom, i jest dwa do trzech razy wyraźniejsze.

Podług wcześniejszego pojawiania się maximum, porządek przestępstw pojedynczych jest następujący: najprzód idą kradzieże, następują przestępstwa przeciwko moralności (viol), zadanie ran i pobicia, morderstwa (meurtres), zabójstwa (assassinats), otrucia i na końcu fałszerstwo.

Samobójstwa podlegają prawidłowości różnéj od znalezionéj dla przestępstw w ogólności. Skłonność do samobójstwa rozwinięta już w dzieciństwie, wzrasta znacznie w wieku pełnoletniości

(1) *Quetelet.* Physique sociale. 1869. T. II. str. 366 i nast.

i następnie ciągle się zwiększa aż do najpóźniejszéj starości, uwzględniając liczebność każdéj klassy wieku pomiędzy ludnością.

Co do przestępstw rozmaitych, pojawianie się do nich skłonności podług *Quetelet'a* (1) jest następujące:

Skłonność do kradzieży okazuje się jedna z pierwszych i panuje jakby nad całém naszém istnieniem; zdawałoby się, że ta skłonność jest nieodłączną towarzyszką słabości ludzkiéj, za którą postępuje instynktowo. Przejawia się ta skłonność najprzód pod zasłoną ufności, panującéj wśród rodziny, następnie przechodzi na zewnątrz, zjawia się nawet na drodze publicznéj, na któréj kończy użyciem środków gwałtownych, szczególniéj kiedy człowiek przekonał się o pełności swych sił fizycznych, popełniając rozmaitego rodzaju zabójstwa. Ta zgubna skłonność jest jednak późniejsza od téj, która w wieku młodzieńczym powstaje i wzrasta z ogniem namiętności i wybrykami jéj towarzyszącemi, a która popycha człowieka do przestępstw przeciwko czci niewieściéj i przeciwko moralności, szukając najprzód swych ofiar pomiędzy istotami, których słabość najmniéj przedstawia mu oporu. Do tych pierwszych wybryków namiętności, chciwości i siły fizycznéj przyłącza się następnie rozwaga, która organizuje przestępstwo, i człowiek ochłonąwszy trochę i zimniejszy, woli niszczyć swą ofiarę używając skrytobójstwa i otrucia. Nakoniec ostatnie jego kroki w karyerze występku nacechowane są fałszerstwem, które po części zastępuje opuszczającą siłę. Na schyłku swego istnienia przedstawia zbrodniarz widok najohydniejszy. Jego niczém nienasycona chciwość obudza się z większą jeszcze siłą i przybiera maskę fałszerza. Jeżeli używa ostatków sił, które mu wiek pozostawił, to dlatego, żeby dosięgnąć swego nieprzyjaciela w cieniu. Nakoniec, jeżeli jego namiętności występne nie stępiły się przez wiek, stara się je zaspokoić przeważnie na słabych dzieciach. Takim sposobem jego pierwsze i ostatnie kroki w karyerze występku mają cechę taką samą, przynajmniéj w tym ostatnim względzie. Ale jaka ogromna zachodzi różnica! To co po części dawało się wytłómaczyć w młodzieńcu jego niedoświadczeniem, gwałtownością namiętności i podobieństwem wieku, jest u starca rezultatem najgłębszéj niemoralności i szczytem zepsucia.

Takiemi rysami charakteryzuje *Quetelet* karyerę przestępcy podług materyału dostarczonego przez wykazy sądowo-karne, przeważnie francuzkie. Podług *Benoitona de Chateauneuf* karyera prze-

(1). *Quetelet.* Physique sociale. 1869. T. II, str. 351 i nast.

stępstw zdaje się rozpoczynać koło 15 roku życia i kończy się ledwie u wrót grobu.

Wypowiedziane przed 40 laty zdanie Quetelet'a o budżecie rusztowania i galerów znajduje obecnie swoje potwierdzenie u jednego z najnowszych i najznakomitszych pisarzy nowoczesnych. Tak podług *Oettingena* (1), można śmiało powiedzieć, że w *Prussiech* jeżeli nie nastąpią nadzwyczajne okoliczności, jakiemi są: głód, wojna, rewolucya, albo nowe prawa jak np. zniesienie kary śmierci, na 2,000 osób obwinionych i stawających przed sądami przysięgłych 7—8 skazanych będzie na śmierć (w Saxonii tylko 3) i 4 do 5 na całe życie do domu poprawy. W ogólności będzie 200 osób uniewinnionych, a 800 skazanych. Ze skazanych do domu poprawy (49% ogólnéj liczby) 28% będzie skazanych na czas od 1 do 5 lat, 14% na 5—10 lat, 5% na 10—15 lat, 1% na więcéj niż 15, 0,5% do robót na całe życie. Z rzeczywistych przestępców tylko 0,4% ulegnie karze pieniężnéj, z pozostałych 19,2% skazanych będzie na więzienie aż do roku, 10% na więcéj niż jeden rok. Podług tego pisarza, nietylko każdy wiek ma w sobie niebezpieczeństwo wykroczeń pewnego rodzaju, ale te wykroczenia przybierają nawet w najpierwszéj młodości i już w zgrzybiałéj starości pewne typy charakterystyczne, dające się dokładnie wymierzyć. Podług *Engla* skłonność do przestępstw w klassie wieku od 16 do 21 lat jest nadzwyczaj podobną do skłonności przecięciowéj dla całéj ludności, tak że młodzież, wychodząca ze szkół, reprezentuje bardzo dokładnie typ całego narodu. Jest zatém stosunek zależności pomiędzy wartością moralną młodzieży i wartością moralną całego narodu. Ztąd wyprowadzić możemy wniosek praktyczny i naukę: poprawmy młodzież, a cały naród będzie lepszy.

Dla przedstawienia ruchu kryminalnego w Królestwie Polskiém mamy obecnie wykazy sądowo-karne Komissyi Sprawiedliwości obejmujące okres 10-letni z 1865 po 1874 rok włącznie (1). Liczba przestępstw w tym ostatnim okresie powiększyła się w rozmiarach znaczniejszych niż ludność. Kiedy bowiem przecięciowo ludność Królestwa Polskiego w tym okresie powiększyła się o 10%, to przestępstwa, podlegające dochodzeniu sądowemu na mocy kodexu kar głównych i poprawczych, zatém za wyłączeniem przestępstw podlegających sądom gminnym, powiększyły się w drugiém 5-leciu (1870 — 1874) r. przy porównaniu z pierwszém (1865 — 1869)

---

(1) *Oettingen*. Moralstatistik. 2-te. Anf. 1874. str. 464.

(1) Судебно-уголовныя статистическія вѣдомости за 1874 годъ.

o 28,7%, liczba osób skazanych na kary o 39,7%. Powiększenie zatém przestępstw jest prawie 3 razy, osób skazanych prawie 4 razy znaczniejsze niż całéj ludności. Dla okresów poprzednich mamy obliczenia podane przez p. *B.* (1). Podług niego, wzrost przestępstw w okresie od 1816 do 1831 roku mało co jest większy od przyrostu ludności. W okresie od 1832 do 1847 roku przestępstw przybyło blizko 6 razy więcéj niż ludności; w okresie z 1848 po 1864 r. blizko 3 razy i nakoniec w okresie od 1865 do 1872 r. przeszło o 3½ razy. W żadnym okresie wzrost przestępstw nie jest tak ciągły i stateczny jak w tym ostatnim. Jest to témbardziéj uderzającém, że w większéj liczbie państw Europy uważają raczéj zmniejszenie się niż powiększenie zbrodni. Zmniejszenie to przynajmniéj względne widoczném jest dla przestępstw dotyczących własności, obok zwiększenia się przestępstw dotyczących osób (t. j. życia, zdrowia, czci i t. p.).

Wracając do ostatniego okresu 10-letniego (1865—74), powiększenie największe przedstawiają *naruszenia przepisów o akcyzie.* Liczba przestępstw w drugiém pięcioleciu powiększyła się o 152,8% w stosunku do pięciolecia pierwszego; liczba osób skazanych powiększyła się o 389,8%. Repressya sądowa za przekroczenia przepisów o akcyzie była największą przy porównaniu z innemi państwami, wynosiła bowiem 50% skazanych z liczby ogólnéj stawających przed sądami. Widoczném jest również powiększenie się *wykroczeń przeciwko urządzeniom i porządkowi publicznemu*, jak również *wykroczeń urzędników w służbie rządowéj* zostających. Pomiędzy osobami skazanemi téj ostatniéj kategoryi było w 1874 r. 80% należących do ludności wiejskiéj i 47,7% było osób nie umiejących pisać.

Na nadzwyczajny wzrost przestępstw, dotyczących władz rządowych i własności skarbowéj, o 102%, w 8-leciu (1865—72) i pomimo silnéj repressyi, zwrócił uwagę p. B., dodając jednakże, że to zwiększanie widoczném jest również i w innych krajach. W Królestwie Polskiém w okresie 184864 stanowiły one 12,31% ogółu przestępstw, w okresie 1865 — 72 32,218%. W Cesarstwie Rossyjskiém w latach: 1857, 1860/3 i 1872 r. 22,3%. Na pomnożenie wykroczeń w porządku służby publicznéj w 8-leciu 1865 — 72 roku wpłynęły niewątpliwie instytucye włościańskie 2 Marca 1864 roku. Blizko połowa tych przestępstw spełnia się na wsi, a więc praw-

(1) Stan moralny społeczeństwa naszego na podstawie wykazów statystycznych karnych, przez B. Warszawa, 1873 r. Wydanie Red. Bibl. Warsz.

dopodobnie przez urzędników gminnych, inne bowiem władze wyjątkowo chyba tam przebywają.

Dowodem jest także i to, że od r. 1849 do 1862 liczba takich przestępstw zmniejszyła się o 46,1%, w latach 1865—72 zwiększyła o 64,6%.

Bardziéj zatrważającém jest powiększenie wypadków *fałszowania stempli*, *monet i biletów kredytowych*, które w okresie 1865—72 przy porównaniu z poprzednim (1848—62) w 4-nasób się pomnożyły. Mają te przekroczenia doniosłość nietylko dla skarbu, ale dla całego społeczeństwa, szczególniéj w tym jeszcze względzie, że w przestępstwach tego rodzaju, repressya karna, dla trudności wykrycia rzeczywistego winowajcy, jest bardzo niedostateczna.

Szczególniéj znacznèm jest powiększenie w czasach ostatnich *przestępstw przeciwko życiu*, *zdrowiu* i innym *prawom osób prywatnych.*

I tak *dzieciobójstwa* powiększyły się w okresie 5-letnim (1870 — 74) przy porównaniu z 5-leciem poprzedniém (1865 — 69) o 42,6%; liczba osób skazanych o 9,6% wypadki ukrycia nieżywonarodzonego dziecięcia o 72%, liczba osób skazanych o 71,5%; wypadki przestępstw przeciwko czci i honorowi niewieściemu powiększyły się o 30%, liczba osób skazanych o 55,7%; wypadki spędzenia płodu powiększyły się o 156,9%; wypadki kazirodztwa (кровосмѣшеніе) powiększyły się o 46,7%, liczba osób osądzonych o 40%. Ale największe było powiększenie przestępstw *zadania ran*, *kalectwa* i *uszkodzeń na zdrowiu*, których liczba wypadków powiększyła się o 60%, liczba osób skazanych o 41,3%; dodać należy, że to powiększenie było wzrastającém co rok, tak że porównywając lata krańcowe 1865 i 1874 liczba wypadków powiększyła się o 169% (1,125 wypadków i 3,020). Ten rezultat przypisuje komissya nadmiernemu użyciu trunków alkoholicznych t. j. pijaństwu.

Na powiększenie się czynów uszkodzenia na zdrowiu zwrócił uwagę pan B., podług niego bowiem, od czasu zniesienia kar cielesnych, bezpieczeństwo co do ciała zmniejszyło się stosunkowo przeszło $2\frac{1}{2}$ raza. I tak wypada na 100,000 ludności czynów uszkodzenia na zdrowiu:

w latach	1848—55,	21,50.
„	1856—60,	20,01.
„	1861—64,	34,90.
„	1865—68,	26,82.
„	1869—72,	37,15.

Jednocześnie wzrosły również *obelgi* i *potwarze* od 1865 roku. Powiększenie się w 5-leciu 1870—74 wynosi dla liczby wypadków

30%, dla liczby skazanych 55,7% przy porównaniu z 5-leciem 1865—69 roku.

Z przestępstw przeciwko prawu własności powiększyły się znacznie w ostatnich dziesięciu latach wypadki *gwałtownego owładnięcia cudzéj własności*—o 27,5%, w 2-giém pięcioleciu przy porównaniu z pierwszém i liczba skazanych o 173,9%. Odpowiada ono powiększeniu się wypadków *samowolności*, z rzędu przestępstw przeciwko porządkowi publicznemu, których powiększenie wynosi dla wypadków 33,5% dla skazanych 109,7. Powiększenie szczególnie widoczném okazuje się dla *podpaleń umyślnych* (powiększenie liczby wypadków o 39,1%, liczby skazanych o 82,8%, w 2-iém pięcioleciu przy porównaniu z pierwszém). *Podpalenia nieumyślne* za to trochę się zmniejszyły (wypadki zmniejszyły się 9,5%, liczba skazanych o 6,1%. Jednak powiększyła się jednocześnie liczba *pożarów przypadkowych* i z *przyczyn niewyśledzonych* w drugiém pięcioleciu 0,23 %. Podług p. B. liczba podpaleń w ostatnim okresie jest wiele liczniejszą niż w okresach poprzednich. Wypadało w Król. Polskiém na 100,000 ludności podpaleń:

w okresie	1848—54,	5,53.
„	1855—64,	4,51.
„	1865—72,	6,6

jest to stosunek najgorszy w Europie za wyłączeniem Cesarstwa Rossyjskiego, dla którego w latach 1857, 1863 i 1872 wynosił 7,16 wypadków na 100 000 ludności. Do tego jeszcze dodać należy, że znaczna część pożarów z *przyczyn niewyśledzonych* wynika z umyślnego podpalenia, albowiem kiedy maximum pożarów przypada na najcieplejsze i suche lata 1868 i 1872, minimum na najchłodniejsze i wilgotne 1864 i 1867, wielka liczba pożarów z przyczyn niewyśledzonych w latach 1854, 65 i 71, chłodnych i przeważnie dżdżystych, stwierdza przekonanie, że te wypadki w największéj liczbie razów pochodzą z podpalenia. Stwierdza ten wniosek i to zjawisko, że we wszystkich niemal latach pożarami odznaczonych panują także kradzieże, rabunki i t. p. występki przeciwko własności. W ostatnich czasach zaczynają się mnożyć pożary w saméj Warszawie, mianowicie od czasu zaprowadzenia wolnych ubezpieczeń ogniowych.

Stosunkowo daleko mniéj albo prawie zupełnie nie powiększyły się pozostałe *przestępstwa przeciwko własności*. Tak liczba wypadków *kradzieży* powiększyła się w 2-iém pięcioleciu przy porównaniu z 1-szém o 5,9%, liczba osób skazanych o 3,5%; wypadki *oszustwa* i *fałszerstwa* nawet się zmniejszyły o 5,2%, liczba skazanych o 7,4%

Najpospolitszém przestępstwem jest *kradzież*, stanowi bowiem 26,39%, a więc przeszło 1/4 ogółu przestępstw w Królestwie Polskiém. Zależą jednak te przestępstwa przeważnie od czynników czysto materyalnych, jakiemi są stan urodzajów i ceny zboża, tak że niezawsze przedstawiają dokładnie lepszą lub gorszą moralność ludności danéj epoki. Porównywając jednak okres 1865—72 z okresem 1848—1860 znajdujemy, że owa zależność od rezultatu zbiorów nie jest już tak wielką jak dawniéj, co jest wskazówką obudzającego się ruchu przemysłowego.

Tak w 1866 r. pomimo nieurodzaju poprzedniego lata, liczba kradzieży mało co się powiększyła (tylko o 12,79%), stosunkowo nawet do ogółu przestępstw, raczéj się zmniejszyła niż zwiększyła. Tak rok 1868 najcięższego przednówku, który nastąpił po naznaczonym głodem i chorobami 1867 r., pod względem kradzieży znacznie mniéj odbiega od cyfry średnio-przecięciowéj tego okresu niż w okresie 1848—60 lata 1854 i 1856.

Z innych przestępstw przeciwko własności, *rozboje* i *rabunki* w okresie lat 1848—62 zmiejszyły się o 44,5%, w następnym okresie 1865—72 powiększyły się o 38,%, *oszustwa* tam zmniejszyły się o 52%, tu zwiększyły o 13%; tylko przestępstwo *gwałtownego owładnięcia nieruchomością* raczéj się zmniejszyło niż powiększyło.

Do rzędu niewielu przestępstw, których liczba w 2-iém pięcioleciu okresu 1864—74 rzeczywiście się zmiejszyła, należą *świętokradztwa* i *rozkopanie mogił* (zmiejszenie wypadków o 55,9%, liczby skazanych o 27,2%).

Przestępstwa *przeciwko obyczajności* nietylko nie wzrastają w Królestwie Polskiém, ale w ogóle mniéj są liczne niż za granicą. Na 100,000 ludności przypadało przestępstw przeciwko obyczajności:

w okresie	1848—55,	16,1,
,,	1856—60,	13.
,,	1861—72,	8,73.

Mniejszą cyfrę tych przestępstw pomiędzy państwami europejskiemi przedstawia *Francya*, gdzie z drugiéj strony ciągły ich przyrost sprawił, że w latach ostatnich porównanie wychodzi już na korzyść Królestwa Polskiego. Zauważano w ogóle, że postęp czynów przeciwnych czci, obyczajności i zdrowiu jest prawie odwrotny do postępu kradzieży i w ogóle czynów zagrażających własności; że jak drożyzna i ubóztwo materyalne pomnaża usiłowania przeciwne prawu własności, tak większy dostatek i łatwiej-

sze warunki bytu mnożą niebezpieczeństwo dla czci, zdrowia i w ogóle praw osobistych.

Kiedy jednak przestępstwa objęte kodexem kar głównych i poprawczych powiększyły się w ostatnich 10 latach i w ogólności i w rodzajach pojedynczych, liczba *przestępstw, podlegających ustawie gminnéj*, przeciwnie się zmniejszyła. Zmniejszenie liczby wypadków w 2-iém pięcioleciu wynosi 17,9%; liczby skazanych osób 24%, co się tłómaczy zamianą wielu miast na osady wiejskie. (1)

Co do samych kar, widać zmniejszoną *repressyą sądową* w 2-iém pięcioleciu przy porównaniu z 1-szém. Tak było skazanych z liczby ogólnéj obwinionych,

	1-e pięciolecie.	2-e pięciolecie.
na kary główne	3%	2,350%.
na kary poprawcze z pozbawieniem niektórych praw	3,11%	2,50%.
Razem .	6,11%	4,85%.

Wzrost liczby przestępstw w stosunku do ludności podaje nam pan B. dla czasu od 1834 r. Liczono przestępstw na 100,000 ludności w latach:

	1834.	1865/72.
Przeciwko porządkowi publicznemu	13,4	39,83.
" służbie publicznéj	1,4	3,63.
" bezpieczeństwu własności	46,5	204,48.
" " życia	6,2	14,5.
" " zdrowia	7,7	33,2.
" czci i dobréj sławie	20,8	32,1.
" podpaleniu	4,2	6,1.
" dzieciobójstwu	0,3	1,56.
" krzywoprzysięztwu	4	6,1.
Przestępstw obyczajności dotyczących	8	12,63.

Porównanie to okazuje, że przyrost przestępstw w okresie 1865/72 r. przy porównaniu z 1834 r. przypada głównie na czyny dotyczące własności, porządku publicznego i zdrowia. Mniéj stosunkowo na czyny dotyczące życia, tylko dzieciobójstwo powiększyło się pięciokrotnie. Najsłabszy przyrost przypada na przestępstwa przeciw obyczajności, czci i dobréj sławie.

---

(1) Wykroczenia bowiem rozpoznawane przez wójtów gmin i burmistrzów w skutku prawa 2 Marca 1864 r. wyłączone zostały po największéj części z pod kontroli Komissyi Sprawiedliwości i nie objęte są jéj wykazami sądowo-karnemi.

Powiększenie *samobójstw* w Królestwie Polskiém jest największe, jakie w którymkolwiekbądź kraju zauważano. I tak, gdy w okresie 1848—55 było ich przecięciowo rocznie 173, w okresie 1856—64 było ich 136, w okresie 1865—72 było ich 295, a więc przeszło o 117% więcéj. W 1874 r. było wypadków samobójstw 221, o 27 wypadków więcéj niż w 1873 r.

Zauważano w Królestwie Polskiém, podobnież jak i w innych krajach, że samobójstwa bywają w stosunku odwrotnym do zabójstw, że przywiązanie do własnego życia łączy się częstokroć z lekceważeniem życia bliźnich i odwrotnie. Co do *miejsca popełnienia* samobójstw, Warszawa ma smutną przewagę nad resztą Królestwa Polskiego, albowiem, jak w 1873 r. zauważono, wypadało na to miasto 4 razy więcéj samobójstw niż na inne miasta, a blizko 6 razy więcéj niż na wsie.

Pod względem sposobu wykonania samobójstwa *powieszenie się* stanowczo przeważa nad innemi sposobami. Tak w r. 1874 na 221 wypadków było wisielców 157. Po nich następowali topielcy (w 1874 r. 22 wypadki). Za pomocą ostrych narzędzi odebrało sobie życie 14 w 1874 r., zastrzeliło się 11, otruło 9 i t. d. Ten sam porządek powtarzał się z dziwną prawidłowością i lat poprzednich.

Pod względem *płci* stanowiły kobiety w 1874 r. 16% liczby ogolnéj samobójstw, stosunek się zatém dla nich w tym roku polepszył, albowiem przecięciowo z okresu 1867 — 1873 r. stanowiły 20,92%. W ogóle w Królestwie Polskiém, podobnie jak we Francyi, stosunkowo było nieco więcéj samobójczyń niż przestępczyń.

Największa skłonność do samobójstwa objawia się w Królestwie Polskiém podług p. B. nie w późnym wieku, jak to zauważano w innych krajach, mianowicie w Belgii i Francyi, ale w peryodzie 31—40-letnim, a więc w sile wieku. Stosunkowo najmniejszy udział w samobójstwach okazują *włościanie*, największy *wojskowi* i *osoby* należące *do professyi wyzwolonych*. Podobnie osoby wykształcone, wyższych stanów, częściéj popełniają samobójstwa niż prostaczkowie. Kiedy bowiem udział umiejących czytać i pisać w ogólnéj ludności wynosi zaledwie 20%, z których na osoby ze średniém i wyższém wykształceniem przypada ledwie 3%, było w 1874 roku pomiędzy samobójcami pierwszych 31,7%, a z tego na posiadających wykształcenie średnie i wyższe przypadało 13,%.

Największa liczba samobójstw przypadała w 1874 r. na miesiąc *Lipiec* (27 wypad.) i dwa graniczące miesiące: *Sierpień* (26 wypad.) i *Czerwiec* (24 wypad.), zatém latem, najmniejsza zaś liczba w miesiącach *Styczniu* i *Lutym* (po 11 wypadków), zatém zimą.

Przechodząc do *stosunków osobistych* przestępców w ogól-

ności znajdujemy, że skłonność do przestępstw jest najsilniejsza w wieku od 21—30 lat, wynosiła bowiem w okresie 1865 – 1874 r. 29,54% ogólnéj liczby wypadków. Maximum przestępstw w tym wieku widoczne: dla kradzieży, uszkodzeń na zdrowiu, zabójstw, rozbojów i grabieży, przestępstw przeciwko moralności i dzieciobójstwa. Tylko w fałszerstwach, krzywoprzysięstwach i potwarzach, a także w przestępstwach przeciwko porządkowi publicznemu i własności skarbu, ustępuje ten wiek pierwszeństwa następnemu 10-leciu t. j. wiekowi od 31 do 40 lat. Tak *krzywoprzysięztwo* jest przestępstwem charakterystyczném dla osób więcéj niż 60 lat mających; *podpalenie* dla wieku młodocianego, mniéj niż 14 lat mających. ⅔ wszystkich podpaleń przypada na niepełnoletnich mniéj niż 21 lat mających, chociaż ich udział w przestępstwach w ogólności wynosi zaledwie 10,65%. Jednak w Warszawie udział niepełnoletnich w przestępstwach jest daleko znaczniejszy, wynosi bowiem 23% ogólnéj liczby wykroczeń.

Pod względem *stanu cywilnego* z ogólnéj liczby przestępstw w okresie 10-letnim przypada na osoby stanu wolnego 20,99% liczby ogólnéj, na osoby w stanie małżeńskim 74,98% i na osoby owdowiałe 3,83%. Ten udział wielki osób będących w stanie małżeńskim w ogólnéj liczbie przestępstw, dający się również spostrzegać w Rossyi Europejskiéj stanowi cechę charakterystyczną tych dwóch krajów wobec pozostałéj Europy, w któréj przewaga pomiędzy przestępcami przypada na stan wolny. Porównywając oba pięciolecia 10-letniego okresu (1865—74) widzimy powiększający się udział małoletnich pomiędzy przestępcami (z 9,63% w 1-szém 5-leciu na 10,29% w 2-giém). To powiększenie widoczne dla wszystkich rodzajów przestępstw przeciwko moralności (powiększenie wynosi 130%). Jest to bardzo smutny objaw stanu moralnego młodzieży i niedający rokować wielkiéj przyszłości podrastającemu pokoleniu.

Porównywając wiek od 21 do 30 lat z następnym okresem wieku od 31 do 40, widzimy kierunek przestępności wprost przeciwny w obu okresach. Kiedy bowiem skłonność do przestępstw zmniejszyła się w wieku od 21 do 30 lat, powiększyła się ona dla wieku następnego z 31 do 40 lat. Porównywając ich udział stosunkowy w przestępności ogólnéj, okresami 3-letniemi znajdziemy:

	Wiek niepełnoletni do 21 lat.	Od 21 do 30 lat	Od 31 do 40 lat.
W okresie 1865—67	8,94%	32,98%	26,91%
,, 1868—70	9,14%	31,98%	28,28%
W okresie 4 lat 1871—74	10,13%	25,10%	29,21%

Widzimy zatém regularne powiększanie się udziału w przestępności ogólnéj niepełnoletnich i mających od 31 do 40 lat, zmniejszanie zaś udziału osób mających od 21 do 30 lat wieku. Zmniejszenie to jest tak znaczne, że kiedy maximum przestępstw w 5-leciu 1865—69 przypadało na ten wiek 32,85% kiedy dla wieku 31 do 40 lat było 27,14%, w 5-leciu drugiém 1870—74 maximum przechodzi do wieku następnego:

Dla wieku 21—30 lat wynosiło 27,08%
„ 31—40 lat „ 28,93%.

Przestępność następnych klass wieku po 40 latach powiększyła się także w drugiém 5-leciu przy porównaniu z pierwszém. Tak udział klassy wieku od 41—50 był w 5-leciu 1865—69 r. 19,18% ogólnéj przestępności, w 5-leciu 1870 — 74 wzniósł się do 20,09%. Dla wieku od 51—60 z 8,04% wzniósł się do 10,42% tylko dla osób więcéj niż 60-letnich stosunek pozostał prawie ten sam (3,68% i 3,66%). Pod względem stanu cywilnego powiększyła się przestępność osób będących w stanie małżeńskim (74,53% w 5-leciu 1865 — 69 na 75,87% w 5-leciu 1870 — 74 r.). Zmniejszyła się zaś przestępnosć osób stanu wolnego (z 21,51% do 20,44% liczby ogólnéj). Jednak to ostatnie zmniejszenie nie jest wszędzie widoczne, tak iż skłonność do przestępstw osób wolnych nawet się powiększyła dla kradzieży, oszustwa, przestępstw przeciwko dobréj sławie (potwarzy), dla wypadków zadania ran i uszkodzeń na zdrowiu, podpalań, rozbojów, grabieży i samowolności.

Pod względem *wyznania* przestępców, stosunek najkorzystniejszy przedstawiają wyznawcy protestantyzmu, gdy bowiem pomiędzy ludnością ogólną stanowią 5,8% pomiędzy przestępcami jest ich tylko 4,85% w całym okresie 10-letnim. Najniekorzystniéj przedstawiają się żydzi, którzy pomiędzy ludnością ogólną stanowią 13,7%, pomiędzy zaś przestępcami jest ich 16,66%. Dla katolików stosunek jest prawie równy; pomiędzy ludnością ogólną jest ich 75,8%, pomiędzy przestępcami 74,69%. Jednak udział stosunkowy katolików nie jest dla wszystkich przestępstw równy; jest on daleko znaczniejszy: w zabójstwach (87,57%), zadaniu ran i kalectw (87,52%), dzieciobójstwach (87,30%), podpaleniach (87,94%), kradzieżach (80,62%), samowolności (80,09%).

Głównemi przestępstwami *ludności żydowskiéj* są przestępstwa przeciwko własności skarbowéj (56,50%), krzywoprzysięztwo, fałszerstwo i oszustwo. Udział *protestantów* najznaczniejszy w dzieciobójstwie i przestępstwach przeciwko moralności.

Porównywając 2 okresy 5-letnie, powiększył się udział stosunkowy żydów pomiędzy przestępcami z 13,90% w okresie 1865—69,

na 19,20% w okresie 1870—74 r.; dla katolików i protestantów stosunek się zmniejszył; udział katolików zmniejszył się z 76,45% na 72,77%; udział protestantów z 5,28% na 4,42%. Najbardziéj zwiększyły się przestępstwa *żydów* przeciwko własności skarbowéj (z 47,08% na 62,66%), podpalenia (z 0% na 4,1%, oszustwa i fałszerstwa (z 24,61% na 33,43%) i potwarze (10,09% i 16,03%).

Udział *protestantów* powiększył się tylko w przestępstwach przeciwko moralności (z 6,31% na 8,93%); udział *katolików* w kradzieżach, oszustwach, zadaniu ran i kalectw, dzieciobójstwach, podpaleniach i wypadkach samowolności, chociaż to powiększenie nigdzie nie jest bardzo znaczne. Dzieląc przestępców *podług zajęcia* i porównywając ich z ludnością ogólną, najkorzystniéj przedstawiają się *włościanie*; kiedy bowiem ich udział w ludności ogólnéj wynosi 45%, pomiędzy przestępcami było ich tylko 34,52%. Główniejsze ich przestępstwa są: wypadki samowolności (56,57%) i zadanie ran i kalectw (53,02%), następnie dosyć znaczny jest ich udział w zabójstwach (37,41%) i podpaleniach (32,43%).

Największą skłonność do przestępstw okazują *wyrobnicy dzienni*, kiedy bowiem ich udział pomiędzy ludnością ma wynosić 9,5% udział ich w przestępstwach dochodzi 24,82%. Najwięcéj przyjęli oni udziału w rabunkach i grabieżach (44,65%), i kradzieżach (43,17%), to jest w przestępstwach z celem korzyści materyalnéj. Znaczny był również udział téj klassy ludzi w przestępstwach przeciwko moralności (33,68%), co dosyć trudne jest do wytłómaczenia. Podobni oni do *robotników fabrycznych*, którzy także przestępstwami przeciwko własności i moralności się odznaczyli.

Należący do *usługi wiejskiéj* szczególniéj się odznaczyli: dzieciobójstwem (19,01%), zabójstwem (18,75%), podpaleniem (18,31%), zadaniem ran i kalectw i kradzieżą.

Podobna do usługi wiejskiéj folwarcznéj pod względem kryminalności *usługa domowa*, która się szczególniéj odznaczyła wypadkami dzieciobójstwa (45,42%), prawie połową wszystkich przestępstw tego rodzaju, co się tém tłómaczy, że ta usługa składa się przeważnie z osób płci żeńskiéj; i wypadkami podpalenia i kradzieży.

Nakoniec zadziwiającym jest znaczny udział w przestępstwach osób należących do t. z. *zajęć liberalnych*, po większéj części z wyższém wykształceniem. Największy ich udział był w wypadkach samowolności (10,41%), potwarzach (9,69%), krzywoprzysięztwie (8,38%), przestępstwach przeciwko własności skarbowéj (7,85%) i przeciwko moralności (6,92%).

Pod względem zmian ilościowych liczby przestępstw w okresie 10-letnim przedstawia się najkorzystniéj *usługa domowa*, albo-

wiem jéj udział w przestępstwach z 5,16% w 1-szém 5-leciu 1865—69, zmniejszył się na 3,31% w 2-giém 5-leciu 1870—74. Zmniejszenie chociaż niewielkie okazuje się dla *rzemieślników* i *fabrykantów* (z 7,46% na 6,21%) i dla *usługi fabrycznéj* (z 2,88% na 2,19%). Stosunkowe tylko zmniejszenie widoczne dla *wyrobników*, *usługi wiejskiéj i zajęć liberalnych*. Przeciwnie powiększyła się kryminalność *kupców* i *handlujących* (z 5,55% na 8,05%), a najbardziéj *włościan* (z 32.64% na 35,61%). Powiększenie ilości przestępstw pomiędzy włościanami tém jest smutniejsze i zatrważające, że dotknęło ono wszystkie rodzaje przestępstw, wtedy kiedy powiększenie przestępstw, popełnionych przez handlujących i kupców, odnosi się tylko do niektórych rodzajów, jakiemi są przestępstwa przeciwko własności skarbowéj szczególniéj przeciwko postanowieniom o akcyzie.

Rozróżniając przestępców podług *zamieszkania*, wypada, w okresie 10-letnim (1865—74) na mieszkańców wsi 71,34% ogólnéj liczby przestępstw. Więcéj niż liczba przecięciowa wypada na wieśniaków: podpaleń (90,50%), zabójstw (86,38%), dzieciobójstw (85,39%), zadania ran i uszkodzeń na zdrowiu (82,86%), i wypadków samowolności (74,52%). Przeciwnie przestępstwami przeważnie dokonywanemi po miastach są: krzywoprzysięztwo, tałszerstwo i przestępstwa przeciwko moralności. Porównywając oba pięciolecia ostatniego dziesiątka lat, daje się spostrzegać ogromne powiększenie liczebne przestępstw na wsi (w 5-leciu 1865—69 65,57% ogólnéj liczby, w 5-leciu 1870—74 77,12%), co się tylko w części da wytłómaczyć zamianą wielu miast na osady wiejskie. Dla mieszkańców m. Warszawy, któréj ludność w ostatnich 5 latach wzrosła o 12%, zmniejszyła się liczba przestępstw z 6,96% na 5,86%, w miastach gubernialnych liczba przestępstw pozostała prawie ta sama (w 1-szém 5-leciu 2,91%, w 2-giém 2,99%), w pozostałych miastach nawet się zmniejszyła (z 24,46% na 16,08%).

Liczba osób *umiejących czytać* i *pisać* wynosić ma w Królestwie Polskiém nie mniéj jak 20% ogólnéj ludności, tymczasem pomiędzy przestępcami stanowią te osoby tylko 15%, z któréj to liczby na osoby z wyższém wykształceniem przypada 2%. W Cesarstwie Rossyjskiém, w którém liczba umiejących czytać i pisać jest mniejszą, udział tych ostatnich w przestępstwach jest daleko znaczniejszy (28,6% liczby ogólnéj za 1873 r.). Ta różnica pomiędzy Królestwem i Cesarstwem okaże się jeszcze widoczniejszą, kiedy weźmiemy liczbę osób z elementarném wykształceniem pomiędzy osądzonymi. Tak, stanowili umiejący czytać i pisać w odsetkach z liczby osądzonych:

	W 41 gub. Cesarstwa	w Kr. Polskiém.
Za kradzieże	24,1%	8,38%
„ poboje i grabieże .	23,6%	8,12%
„ podpalenie	32,4%	4,16%
„ zabójstwa	36,7%	9,23%
„ uszkodzenia na zdrowiu	32,6%	12,27%

Więcéj niż przecięciową była kryminalność umiejących czytać i pisać w kr. Polskiém dla wypadków oszustwa (25%), krzywoprzysięztwa (24,2%), potwarzy (24,07%), jak również dla przestępstw przeciwko własności skarbowéj (28,28%), i dla wypadków samowolności (17,43%). Porównywając oba 5-lecia całego okresu (1865—74) skłonność do przestępstw osób, które otrzymały elementarne wykształcenie znacznie się zmniejszyła (z 14,27% na 11,90%) i to zmniejszenie widoczne dla wszystkich prawie kategoryi przestępstw, za wyłączeniem: oszustwa, krzywoprzysięztwa i podpalenia.

Osoby *powtórnie dopuszczające się przestępstw (recydywiści)* stanowiły w 10-letniém przecięciu 11,62% ogólnéj liczby. Największy był ich udział w przestępstwach z celem korzyści materyalnéj, jakiemi są: kradzieże (26,69%), rozboje i grabieże (22,39%)—przeciwnie najmniejszym był ich udział w wypadkach samowolności (5,96%), przestępstwach przeciwko moralności (5,82%) i dzieciobójstwach (4,56%). W ogólności liczba skazanych powtórnie zmniejszyła się, wynosiła bowiem w 1-szém 5-leciu 1865—69 12,57%, w 2-giém 5-leciu 1870—74 10,66%; wyjątek tylko stanowią rozboje i grabieże (powiększenie z 17,10 na 23,50%) i przestępstwa przeciwko własności skarbowéj (z 6,65% na 7,27%).

Udział *kobiet* jest różny pomiędzy obwinionymi i pomiędzy skazanymi; pomiędzy pierwszymi wynosi 22% liczby ogólnéj, pomiędzy drugimi 17,58%. Podobnie korzystny stosunek dla kobiet okazał się także i w Cesarstwie Rossyjskiém i wynosi na korzyść kobiet 1½%. Przypisać to należy większéj pobłażliwości dla kobiet, jako niosących mniejszą odpowiedzialność za swe postępki niż mężczyzni. Zresztą skłonność kobiet do przestępstw w Królestwie Polskiém prawie dwa razy większa niż w Cesarstwie Rossyjskiém, i zbliża się bardziéj do stosunków w państwach pozostałych Europy.

Udział kobiet najznaczniejszy w przestępstwach następujących: dzieciobójstwach (96,90%), prawie wyłącznie przez kobiety dokonywanych, podrzuceniu niemowlęcia, spędzeniu płodu, przyczynieniu śmierci z przyczyny niedozoru nad dziećmi (średnio 70%),

w przestępstwach przeciwko moralności (38,29%), podpaleniach (26,36%), zabójstwach (20,01%) i potwarzy (20,42%). Najmniejszy jest udział kobiet w rozbojach i grabieżach (8,83%).

Udział kobiet w przestępstwach zmniejszył się w ostatniém 5-leciu okresu 10-letniego, wynosił bowiem w 1-szém 5-leciu 1865—69 r. 18,35%, w 2-giém 5-leciu 1870—74 16,78%. Jednak pomimo tego zmniejszenia ogólnego, udział kobiet powiększył się w kradzieżach (z 15,49% na 16,96%), krzywoprzysięztwach (z 8,09% na 16,85%), zabójstwach (z 17,32% na 20,86%) i przestępstwach przeciwko własności skarbowéj (z 16,15% na 17,51%). Największe zmniejszenie udziału kobiet widoczne jest w przestępstwach przeciwko moralności (z 45,42% na 31,17%), w podpaleniach (z 27,66% na 25,07%) i wypadkach samowolności (z 15,52% na 12,25%).

Przypatrując się rozdziałowi przestępstw podług *miejscowości*, w Królestwie Polskiém znajdujemy, że maximum przestępstw przypada na okolice najzamożniejsze i gdzie oświata stosunkowo najwięcéj jest upowszechniona pomiędzy ludem, gdy tymczasem minimum przypada na ziemię Bialską z ludnością najuboższą i najmniéj oświeconą. Najgorzéj notuje się obwód Brzesko-Kujawski, który co do ogólnéj liczby przestępstw zajmuje 2-gie miejsce (pierwsze należy obwodowi Kalwaryjskiemu, jeżeli pominiemy Warszawę), ale w nim wszystkie prawie ważne przestępstwa przedstawiają się w większéj stosunkowo ilości, niż w którejkolwiek innéj miejscowości kraju za wyłączeniem Warszawy.

Co do pojedynczych rodzajów przestępstw, *kradzieże* z okolicznościami zwiększającemi winę najczęstsze są w obwodzie kieleckim częstszemi nawet niż w Warszawie. *Rabunków i rozbojów* liczył najwięcéj obwód Kujawski, który również pod względem ilości *oszustw* pierwsze po Warszawie zajmuje miejsce. Podobnie *zabójstwami* ponad wszystkie okolice kraju, nie wyłączając Warszawy, odznacza się obwód Kujawski i Kielecki. *Samobójstwa* bardzo częste są w obwodzie Lubelskim. *W przestępstwach przeciw obyczajom* pierwsze miejsce po Warszawie trzymają Kujawy. Pod względem *przestępstw dotyczących porządku publicznego*, obwód Kujawski jeszcze przodkuje, jeżeli pominiemy specyalne wykroczenia.

Jednak co do ruchu przestępstw w różnych miejscowościach kraju od 1865 r. zauważał p. B. że najznaczniejszy przyrost okazuje się w okolicach, z których przecięciowa liczba przestępstw okazuje się najmniejszą, podczas gdy okolice, przedstawiające się najniekorzystniéj co do średniéj liczby przestępstw z całego okresu przecięciowo, co do ruchu przestępstw okazują rezultaty najbardziéj zaspakajające.

Ważna jest nakoniec *siła repressyi* sądów karnych, przejawiająca się w liczbie stosunkowéj osób skazanych. Tak w 1874 r. na 100 osób obwinionych zostało:

skazanych na kary	27,6%
uniewinniono	5,7%
oswobodzono od odpowiedzialności dla braku dowodów prawnych	35%
zaniechano śledztwa z przyczyny śmierci, pogodzenia się stron i t. d. . . .	31,1%

Jeżeli z liczby osądzonych weźmiemy skazanych na kary główne i poprawcze, to było takich osób w 1874 r. 26,5% liczby obwinionych, w 1873 r. 29,6%; podług tego, repressya sądów byłaby mniejsza w 1874 r. niż w poprzedzającym 1873 r.

Pod względem małéj ilości skazanych do liczby ogólnéj obwinionych, Królestwo Polskie bardzo podobne do Cesarstwa Rossyjskiego, które podług *Oettingena* (1) przedstawia stosunek skazanych do obwinionych najmniejszy w Europie. W Rossyi Europejskiéj w przecięciu z 4 lat (1860—63) było skazanych 24 osób na 100 obwinionych, tymczasem w innych państwach Europy w przecięciu 10-letniém (1850—60 r.), skazanych było przez sądy przysięgłych, które stosunkowo więcéj uniewinniają osób niż sądy zwyczajne:

W Bawaryi . . .	86,2%
„ Hanowerze . .	85,9%
„ Badenie . . .	84,5%
„ Austryi	82,9%
„ Prussiech . . .	81,5%
„ Francyi	75,7%
„ Anglii	74,6%
„ Belgii	73%
„ Hiszpanii . . .	70%

Przyczyną tych różnic może być odmienność kodexów karnych i postępowania sądowego, w każdym razie jednak te różnice są znaczne.

(1) *Oettingen.* Moralstatistik, 2-te Auf. 1874, str. 488 i 460.

O KREDYCIE ROLNICZYM

napisał

JÓZEF KIRSZROT.

Kredyt rolny.

Natura kredytu rolnego.

Obok kredytu ziemskiego długoterminowego, z ziemią niejako zespalającego się, zachodzi potrzeba kredytu krótkoterminowego, ruchliwego, mającego charakter bardziéj przemysłowo-kupiecki, który w odróżnieniu od ziemskiego, nazywamy kredytem rolnym. Kredyt taki potrzebny jest dla zaopatrzenia się w fundusz na opłatę robotnika, na zasiewy, na utrzymanie i dopełnianie inwentarza żywego i martwego i t. p. Fundusze na te cele obrócone nie zlewają się z gruntem, lecz szybko się reprodukują; po dopełnieniu zbiorów, rolnik jest w możności kapitał włożony napowrót zrealizować. Kapitał ten nie unieruchamia się, nie staje się stałym, lecz reprezentuje kapitał obiegowy, i nie różni się od takiegoż kapitału kupca lub przemysłowca. Realizacya tego kapitału nie dokonywa się substancyą samych dóbr, ale ich dochodami; dla wydobycia ich nie potrzeba uruchamiać ziemi, wyzuć się z części lub całości gruntu: peryodycznie wracające się płody ziemi, owoce pracy i kapitału, wystarczają na wydobycie nakładów, poczynionych na opłatę robotnika, zasiewy i t. p. Im bardziéj działalność rolnika zamyka się w granicach przez naturę nakreślonych, im więcéj ogranicza się darami przyrody, tém mniéj po-

trzebuje kapitału, tém mniejsze czynić musi nakłady. Jeżeli zaś rolnik nie zadawala się tém, czego matka natura mu dostarcza, jeżeli jako istota myśląca i do postępu zmierzająca, chce rozszerzyć zakres swojéj działalności, powiększyć siłę przyrody przez pracę własną; wówczas musi uzbroić się w kapitał, który mu dostarczy środków, narzędzi pracy.

Jeżeli rolnik nie posiada własnego kapitału obrotowego, wówczas przyjść mu powinien w pomoc kredyt. Przy zaciąganiu pożyczki na kapitał obrotowy, nie ma tego niebezpieczeństwa co przy pożyczce na kupno ziemi, spłatę spółsukcessorów, melioracye gruntowe i t. p. Jest to bowiem tylko zaliczenie na dochody, spodziewane z przemysłu rolnego w ciągu roku. Pożyczki też takie często nazywane bywają właściwém mianem zaliczeń.

Nie ma tu obawy, żeby dochody nie wystarczyły na zaspokojenie tych zaliczeń. Niejednokrotnie była mowa o tém, iż dochód z ziemi, czyli tak zwana renta gruntowa jest nizka i rolnik nie jest w możności zwrócenia zapożyczonego kapitału rentą, i że to jest powodem powstania ziemskich instytucyi kredytowych, umarzających długi w przeciągu długiego peryodu lat. Nakłady zaś, o których obecnie mówimy, nie mają bynajmniéj na celu powiększenia dochodu z gruntu, ale obracane bywają do przemysłu rolnego. Przemysł zaś rolny przynosi większe lub mniejsze dochody w miarę natężenia pracy, nauki i wysokości kapitału. Nie ma więc żadnego powodu przypuszczać, żeby dochód z przemysłu rolnego, nie z ziemi, był mniejszy od dochodu z innego przemysłu, i aby tém samém nie mógł korzystać z kredytu w takim stopniu, jak każdy inny przemysł.

Naturalnie, że kapitał zapożyczony na przemysł rolny, nieuumiejętnie użyty, korzyści téj nie daje, przeciwnie przynosi rolnikowi szkodę, obniża ziemię, przyczynia się do powiększenia długu na własności ciążącego. Ale winą nie jest tu przemysł, lecz przemysłowiec.

Dla kapitalisty również nie ma obawy co do zrealizowania kapitałów, powierzonych rolnikom do celów obiegowych.

Ziemia bowiem nie stanowi w rolnictwie jedynéj wartości, na któréj kredyt zabezpieczony być może. Obok niéj znajdują się w rolnictwie inne jeszcze wartości, a mianowicie: inwentarze żywe i martwe, wszelkiego rodzaju zbiory i płody, które reprezentują znaczne bogactwo i przedstawiają wielką pewność dla powierzonych rolnictwu kapitałów.

Wiadomości statystyczne wykazują w kraju naszym w roku 1870 ilość inwentarza żywego jak następuje:

Krów	1,193,002	sztuk
Wołów roboczych	640,088	„
Wołów nieroboczych	118,675	„
Jałowic	44,668	„
Cieląt	235,170	„
Owiec	4,180,122	„
Koni	753,421	„
Nierogacizny	1,104,415	„

Zbiory w roku 1873 wynosiły:

Zboża jarego	11,388,000	czetw.
Zboża jesiennego , ...	9,633,000	„
Kartofli	20,304,000	„
Siana zebrano w r. 1870 . .	60,746,000	pudów (1).

Cyfry te przedstawiają kolosalną wartość, która może być oddaną przez rolnictwo w zastaw i służyć za podstawę bezpieczeństwa dla kredytu rolnego.

Jeżeli pomimo tego bogactwa, rolnictwo nie zdołało wyjednać sobie kredytu dla potrzeb swego przemysłu, to winą tego jest w znacznéj części prawodawstwo krajowe, jak to niżéj zobaczymy.

Obok różnic wyżéj wytkniętych, pomiędzy kredytem ziemskim a rolnym zachodzących, należy wspomnieć o tém, iż kredyt ziemski przychodzi w pomoc własności ziemskiéj, zaś kredyt rolny przemysłowi rolnemu. Dopóki właściciel ziemi sam ją uprawia, różnica ta nie jest tak widoczną. Ale weźmy stosunek dzierżawy, u nas nie bardzo częste, ale w innych krajach powszechne mający zastosowanie. Właścicielem jest kto inny, a przemysłowcem rolnym kto inny. Z kredytu ziemskiego korzysta wyłącznie tylko właściciel, gospodarującemu zaś na roli kredyt ten żadnéj zgoła pomocy nie daje. Kredyt służy tu temu kto używa, nie zaś temu kto pracuje. Natomiast kredyt rolny uwzględnia wyłącznie potrzeby pracującego na roli, — właściciel jest dla niego obojętny.

Zobaczmy teraz jak to u nas kredyt rolny się praktykuje.

W kraju naszym udzielający kredyta rolne są zwykle jednocześnie kupcami zbożowymi, i pożyczki udzielają w formie zaliczeń

(1) Witold Załęski. Stan gospodarstwa wiejskiego i produkcyi rolniczéj w Królestwie Polskiém. Biblioteka Warszawska, Kwiecień 1875.

na kupno zboża. Czynią oni to w dwojakim celu, raz dla zapewnienia sobie zboża, będącego przedmiotem ich handlu, drugi raz dla uniknienia zarzutów lichwy, prawo bowiem w swojéj niekonsekwencyi zabrania pobierać wysokie procenta, lecz pozwala kupować za nizką cenę.

Rolnik sprzedający wówczas kiedy musi, nie może oczekiwać na ceny; sprzedaje kiedy go potrzeba do tego nagli, bez względu na to, iż w krótkim czasie ceny podnieść się mogą. Pożyczka byłaby w takim razie ratunkiem; nie mogąc jéj dostać musi sprzedać. Słyszymy wprawdzie zarzuty, iż rolnik nie powinien łączyć w swéj osobie charakteru kupca, iż nie jego zadaniem jest spekulować na ceny. Zarzuty to jednak niesłuszne. Jakkolwiek uznajemy w zupełności doniosłe znaczenie podziału pracy, jednakże zasady téj doktrynersko nie pojmujemy. Przy całéj właściwości odgraniczeń różnych zajęć ludzkich, odgraniczenia te nie są jednak przepaściami, chęć przekroczenia których prowadziłaby do niechybnéj zguby. W stosunkach ludzkich nieustannie z sobą nawzajem kombinujących się, nie ma takich przepaści i dlatego jakkolwiek przyznajemy, iż spekulacya nie zgadza się z naturą zajęć rolnika, jednak za tém nie idzie, żeby rolnik sprzedawał produkcyą swoję bezzwłocznie po zebraniu jéj z pola, albo co gorzéj jeszcze przed zbiorem, wówczas kiedy są widoki korzystnego spieniężenia jéj w niedalekiéj przyszłości. Do pewnego stopnia spekulantem być musi każdy producent. Jest to właściwie nie spekulacya, ale rachuba.

Kupujący krescencyą na kilka miesięcy przed jéj zbiorem naznaczają albo cenę, która na wszelki wypadek sowicie pokrywa procent od udzielonego zaliczenia; albo też zawierają tranzakcyą téj treści, iż zapłacą wedle ceny, jaka praktykować się będzie w chwili sprzedaży, z potrąceniem mniéj więcéj 30 kopiejek na korcu. Jeżeli np. rolnik sprzedaje 100 korcy pszenicy lub żyta z obowiązkiem dostawienia za pół roku od daty otrzymanego zaliczenia, które wynosi dajmy na to 300 rubli; to przy potrąceniu 30 kop. na korcu, zaliczenie to kosztuje go 20%; często oprócz obowiązku sprzedania zboża niżéj ceny targowéj, rolnik przyjmuje nadto zobowiązanie płacenia procentu od otrzymanego zaliczenia, procent przeto w powyższym przykładzie wynosi 25 — 26% na rok.

Kontrakt, którego przykład tu przytoczyliśmy, nie należy jednak do najgorszych, przeciwnie zdarza się dość często w miastach większych jak np. Włocławku lub Płocku; w mniejszych miastach

kredyt jest nierównie droższy i warunki nałożone przez wierzyciela bardziéj uciążliwe.

Smutne też są następstwa tego kredytu. Rolnicy nie są w stanie przez dłuższy szereg lat zobowiązaniom tak uciążliwym zadość uczynić, wierzyciele uciekają się tedy do środków prawnych, przedewszystkiém zapisują ostrzeżenia na dobrach, następnie czy to w skutku procesu, czy też w skutku dobrowolnego układu ostrzeżenie to powiększone kosztami procesu i procentami, zamienione zostaje na czysty wpis, i w ten sposób dług zaciągnięty na potrzeby gospodarstwa, na bieżące wydatki, zamienia się na dług ziemski, obciążający grunt, zmniejszający mienie właściciela dóbr. Przeglądając wykazy hypoteczne dóbr ziemskich, przekonywamy się, iż znaczna część długów ma swe źródło w powyżéj opisanym stosunku. Długi takie są najczęściéj przyczyną ruiny i wywłaszczenia w drodze subhastacyi; jako zwykle nizko na szacunku mieszczące się, nie mogą być zastąpione pożyczkami, zaciągniętemi u kapitalistów szukających lokacyi z umiarkowanym procentem; właściciele zaś tych summ, nieprzyzwyczajeni do kontentowania się umiarkowanym procentem, domagają się zwrotu kapitału lub zapłaty wysokich procentów; póki właściciel znajduje jeszcze jakieś źródła, póty płaci nadmierne procenta celem odroczenia katastrofy wywłaszczenia,—długo jednak takich ofiar właściciel ponosić nie jest w stanie, skutkiem czego wywłaszczenie staje się nieuniknioném. Od niedawnego czasu potworzyły się w Warszawie, Toruniu i niektórych innych miejscowościach domy komissowe, które zajmują się sprzedawaniem ziemiopłodów i na rachunek takowych udzielają zaliczek. Warunki, na jakich domy te udzielają kredytu, są daleko dogodniejsze od tych, jakie kupcy małomiasteczkowi dyktują; w każdym wszakże razie i kredyt z tych domów czerpany, po zsummowaniu procentu, komisowego i t. p. nie kosztuje rolnika taniéj od 12% na rok.

Z kredytu rolnego, w rzeczywistém tego wyrazu znaczeniu, korzystają u nas rolnicy plantujący buraki dla fabryk cukru. Zakłady te udzielają zaliczenia na buraki w summie 20— 25 rubli na morg, a że produkcya buraczana z jednego morga wynosi około 100 rubli, przeto zaliczenia wynoszą $1/4$ — $1/5$ części dostarczyć się mającéj wartości. Kredyt ten ma i tę zaletę, iż udzielany bywa na termin odpowiednio długi, kontrakta zawierają się bowiem zwykle około Nowego Roku, a dostawa buraków następuje w Październiku, rolnik korzysta przeto z zaliczenia mniéj więcéj 9 miesięcy. Warunki tego kredytu bywają tém korzystniejsze, im okolica jaka więcéj obfituje w cukrownie, konkurujące pomiędzy sobą o buraki.

Zastaw.

Jak podstawą kredytu ziemskiego jest hypoteka, tak podstawą kredytu rolnego powinien być zastaw. O ile jednak wydoskonalona w naszém prawie jest hypoteka, o tyle niedokładnym jest zastaw.

Dążnością gospodarstwa społecznego, jest jak największe uruchomienie wartości, nadanie jak największéj massie kapitałów charakteru obiegowego, własności ruchu, możności przechodzenia z rąk do rąk. Nie można się wprawdzie zgodzić z Cieszkowskim, iż kredyt jest niczém inném, tylko zamianą kapitałów nieruchomych i uwięzionych na kapitały ruchome i obiegowe; ale w każdym razie przyznać trzeba, że uruchomienie kapitałów tworzy w wielu razach kredyt, jaki bez tego uruchomienia byłby niemożliwy. Kredyt ziemski nie mógłby nigdy dojść do tego stopnia rozwoju, na jakim go dziś widzimy, gdyby instytucye kredytu ziemskiego, za pośrednictwem listów zastawnych, nie uruchomiły wartości znajdującéj się w ziemi.

Kodex francuzki redagowany w czasie, kiedy nauka gospodarstwa społecznego znajdowała się jeszcze w kolebce, nietylko nie postępuje w kierunku przez tęż naukę wskazanym, ale działa w duchu wprost przeciwnym. Zamiast starać się o uruchomienie wartości, zamienia rzeczy z natury swéj ruchome w nieruchomość; nietylko to, co przeniesione być może, ale nawet to, co samo biegać i latać umie, czemu natura dała możność ruchu, przywiązuje żelaznym łańcuchem do ziemi, na nieruchomość, skamieniałość skazuje.

Oto są przepisy kodexu:

Art. 517. Majątki są nieruchome albo z natury, albo z przeznaczenia, albo z przedmiotu, do którego się odnoszą.

Art. 520. Zbiory na pniu i owoce na drzewach jeszcze niezebrane, są nieruchomością.

Art. 521. W lasach urządzonych nizkopiennych i wysokopiennych cięcia roczne zwyczajne stają się ruchomością jedynie w miarę jak drzewa są ścięte.

Art. 524. Przedmioty, przez właściciela gruntu na tymże umieszczone do użytku i zagospodarowania takowego, są nieruchomością z przeznaczenia.

I tak są nieruchomemi z przeznaczenia, gdy umieszczone są do użytku i zagospodarowania gruntu:
Zwierzęta przywiązane do uprawy.
Narzędzia rolnicze.
Nasiona dane dzierżawcom lub osadnikom.
Gołębie w gołębnikach.
Ule z pszczołami.
Ryby w stawach.
Prassy, kotły, alembiki, kadzie i beczki.
Narzędzia potrzebne do ciągnienia korzyści z kości, papierni i innych fabryk.
Słoma i nawozy.
Są także nieruchomością z przeznaczenia wszelkie przedmioty ruchome, jakie właściciel przywiązał stale i nazawsze do gruntu.

Takie to są pęta, którenni kodex rolnictwo krępuje!

Prawodawca nie miał bynajmniéj na celu szkodzenia przez to rolnictwu, przeciwnie chciał on tym sposobem przyjść mu w pomoc, rozciągnąć nad niém opiekę, ale uczynił to niezgodnie z zasadami ekonomicznemi, a przez to przepisy powyższe wydawają skutki wprost przeciwne zamierzonym.

Autorowie kodexu nie chcieli pozbawić rolnika środków i narzędzi służących do uprawy roli, i dlatego zaliczyli wszystkie powyższe ruchomości do nieruchomości, a to w tym celu, aby w razie exekucyi, przedmioty te nie mogły być zajęte jako ruchomość i szybko sprzedane, ale żeby do nich zastosować długotrwałą i uciążliwą egzekucyą, jaka jest przepisana dla nieruchomości.

Autorowie kodexu nie przeprowadzili jednak zasady téj tak konsekwentnie, jak późniejsze przepisy w kraju naszym wydane, a mianowicie rozporządzenie Ministra Sprawiedliwości w dniu 30 Kwietnia 1810, a przez Komissyą Sprawiedliwości w dniu 12 Grudnia 1812 r. ponowione, nakazuje komornikom sądowym, aby przy egzekucyach ściśle przestrzegali przepisów art. 524 k. c. fr. i pomiędzy ruchomościami a nieruchomościami, jak największą czynili różnicę.

Jeszcze daléj zaszło obszerne postanowienie Księcia Namiestnika z dnia 8 Lipca 1823 r., które stanowczo zabrania zajęcia płodów na pniu, rozszerza pojęcie nieruchomości z przeznaczenia, dolicza do nich *wszystko, co służy do robienia wódki i piwa*, naczynia do mielenia, żelaztwo i drzewo do naprawy potrzebne, a nakoniec stanowi, że wszelkie tak nazwane nieruchomości z przeznaczenia, pomiędzy którenni nie zapomina o niezbędnych do uprawy roli,

gołębiach, kaczkach, pszczołach i t. d. mogą być zajmowane jedynie łącznie z samą posiadłością wiejską i razem z nieruchomością na sprzedaż wystawione.

Źle to jednak pojęty interes rolnictwa. Jednym z najważniejszych warunków kredytu, będącego tak ważnym czynnikiem w każdym przemyśle, a niemniéj w rolnictwie, jest pewność zwrotu wypożyczonego kapitału w umówionym terminie; wierzyciel może sam mieć zobowiązania, które spełnić musi przy pomocy kapitału wypożyczonego, i tak może się ciągnąć długi łańcuch wzajemnych zobowiązań. Jeżeli prawo nie zapewnia wierzycielowi możności szybkiego odebrania swéj należności, jeżeli mu daje do ręki niedołężne środki egzekucyjne, za pomocą których dopiero po kilku latach do pieniędzy swoich dojść może, to o kredycie mowy być nie może. Kapitalista woli w takim razie powierzyć swoje fundusze kupcowi lub fabrykantowi, albo kupić za nie obligacye rządowe lub akcye kolei żelaznych aniżeli oddać je rolnikowi. A jeżeli rolnik otrzymuje kredyt, to musi przy obliczeniu procentu płacić i za ową przewidywaną w razie subhastacyi kilkoletnią zwłokę i za znaczne koszta sądowe, jakie ta egzekucya za sobą pociąga.

Lepiéjby prawodawca rolnictwu się przysłużył, gdyby zamiast unieruchomienia ruchomości w gospodarstwie rolném potrzebnych w widokach zastosowania do nich uciążliwéj egzekucyi, uwolnił i tak nazwane nieruchomości z natury, od długotrwałéj i kosztownéj procedury subhastacyjnéj (1).

Instytucye kredytu ziemskiego nie rozpoczynają swych operacyi przed pozyskaniem przywileju uwalniającego je od uciekania się w razie potrzeby do egzekucyi subhastacyjnéj,—instytucye kredytu rolnego powinny się starać, ażeby w stosunkach z niemi ruchomościom wrócony został charakter, jaki im natura nadała, ażeby to, co jest ruchomością, nie zostało gwałtem mianem nieruchomości ochrzczone.

Bez zmiany definicyi prawa w przedmiocie ruchomości i nieruchomości, niepodobna prawie pomyśleć o kredycie rolnym, tru-

---

(1) W trakcie pisania niniejszéj pracy, przepisami przechodniemi do Ustaw Sądowych mających obowiązywać w Królestwie Polskiém, procedura subhastacyjna uległa znacznemu skróceniu przez postanowienie, iż wszelkie spory subhastacyjne ulegają ostatecznemu rozpoznaniu w dwóch tylko instancyach i do senatu nie kwalifikują się. Nowa procedura cywilna zapowiada krótsze postępowanie subhastacyjne, aniżeli dotychczasowe.

dno znaleźć jakiś przedmiot ruchomy, któryby mógł służyć jako zastaw dla kredytu rolnego.

Cięcia w lasach są wybornym materyałem na zastaw ruchomy; dziś właściciel lasu potrzebując pieniędzy, wycina i sprzedaje drzewo; gdyby zaś mógł las w zastaw oddać, niejeden las byłby od zagłady uchroniony.

Dla wierzyciela las zastawiony daje wyborną pewność, lasu bowiem nie można łatwo i potajemnie usunąć.

Kodex nadając drzewom w lasach nieściętym charakter nieruchomości, zaś drzewom ściętym charakter ruchomości, daje niejako zachętę do niegospodarczego obchodzenia się z lasami.

Tak samo rzecz się ma ze zbożem na pniu. Właściciel ma prawo je sprzedać, ale nie może go zastawiać. Skutek jest ten, że właściciel ziemski mając przed i w czasie zbiorów największe wydatki, musi często sprzedawać zboże na pniu za bezcen; o ileżby to korzystniéj było, gdyby mógł zaciągnąć pożyczkę, dając w zastaw zboże na pniu!

Wychodząc nawet ze stanowiska wyżéj wspomnianéj protekcyi rolnictwa, uruchomienie cięć w lasach, albo zboża na pniu, nie miałoby żadnych złych następstw dla rolnictwa, las bowiem ani zboże na pniu nie są narzędziem, służącém do uprawy roli, ale przeciwnie owocem téj uprawy.

Nie groziłoby również rolnictwu żadne niebezpieczeństwo i w tym wypadku, gdyby uruchomione zostały narzędzia rolnicze i inwentarze żywe.

Prawo obawia się, aby przez uruchomienie narzędzi, inwentarzy, nawozów i t. p. gospodarstwo nie utraciło ich w skutku egzekucyi. Lecz z téj saméj przyczyny, dla któréj prawo stara się uchronić te przedmioty od utraty, potrzeba starać się o ich wzrost. Jeżeli prawo nie pozwoli na egzekucyą tych przedmiotów, to kto dostarczy funduszu na ich zakupienie?

Jeżeli wierzyciel, który pożyczył rolnikowi funduszu na zakupienie inwentarza, odbierze ten inwentarz po pewnym czasie w skutku niezapłacenia jego należności, jaką przez to wyrządzi rolnictwu szkodę? Czyż rolnictwo nie mniéj traci przez obawę odebrania niewypłacalnym rolnikom wypożyczonego im inwentarza lub machiny aniżeli przez zupełny brak tego inwentarza lub w skutku nieistnienia kredytu?

Egzekucya bezwątpienia nie pozbawi rolnictwa tylu narzędzi rolniczych, inwentarzy, nawozów i t. p., ile ich kredyt przysporzy.

Niedość wrócić ruchomościom to, co jest ruchome, trzeba, jeszcze zmienić kardynalne zasady prawa o zastawie ruchomym,

bez téj bowiem zmiany kredyt rolny nie będzie mógł się rozwinąć, bez względu na to, czy pojęcie o ruchomościach będzie miało szersze lub ściślejsze znaczenie.

Art. 2076 kodexu cywilnego francuzkiego stanowi, że przywiléj na zastawie ruchomym służy tylko o tyle, o ile zastaw ten był i pozostawał w posiadaniu wierzyciela, lub osoby trzeciéj, na którą się strony zgodziły.

Zastaw w tych warunkach może być korzystnym, o ile przedmiotem zastawu są papiery wartościowe, kosztowności, towary, jest zaś szkodliwy i niewygodny, o ile ma za przedmiot ruchomości rolne.

Widzieliśmy wyżéj, że rolnik może dać na zastaw drzewa w lesie, zboże na pniu, inwentarz żywy, machiny rolnicze i t. p. Pierwsze, jako do gruntu przywiązane, nie mogą przejść w posiadanie wierzyciela, drugich rolnik pozbawić się nie może, bo one są narzędziem jego produkcyi. W ten sposób zastaw dla rolnika nie istnieje, gdyż on nie może stosować się do art. 2076 k. c. fr., a prawo nie zna zastawu ruchomego, pozostającego w ręku dłużnika.

Jak wyżéj w przepisach o ruchomościach prawo bierze w opiekę dłużnika, tak tu w prawie o zastawie opiekuje się wierzycielem. Prawo obawia się, ażeby zastaw, mający stanowić bezpieczeństwo dla wierzyciela, pozostawiony w ręku dłużnika, nie został przez niego sprzedany, powtórnie zastawiony lub w jakikolwiek sposób usunięty.

Co jednak przychodzi z tego bezpieczeństwa, kiedy ono zastaw uniemożebnia? — prawo poświęciło tu widocznie cel dla środka.

Prawo może znaleźć inny środek zabezpieczenia zastawu, bez pozbawienia go dłużnika, a środkiem tym byłoby naznaczenie surowéj kary kryminalnéj za sprzedaż i usuwanie zastawu lub powtórne zastawienie, a nadto ustanowienie dozoru nad zastawionym przedmiotem, przyjęcie poręczenia sąsiadów, nie za wypłacalność dłużnika, ale za całość zastawu i t. p.

Najskuteczniejszym wszakże środkiem byłoby urządzenie pewnego rodzaju ksiąg hypotecznych dla ruchomości, do których zapisywanoby wszelkie przywileje na tychże ruchomościach przysługujące. Takie księgi umieszczone czy to w dzisiejszych archiwach hypotecznych, czy też w Sądach Pokoju lub urzędach gminnych, byłyby ważną kontrollą dla zastawów, pozostawianych w posiadaniu dłużnika, i uczyniłyby zastąwy jawnemi dla osób trzecich chcących wchodzić w stosunki z zastawnikiem.

Drugim warunkiem koniecznym dla ważności zastawu jest

wedle prawa francuzkiego (art. 2074) akt urzędowy t. j. notaryalny, lub akt z podpisem prywatnym, należycie zaregestrowany, obejmujący summę dłużną i naturę zastawu. Ponieważ u nas nie istnieje formalność zaregestrowania, o któréj kodex francuzki w art. 2074 mówi, nie pozostaje więc nic innego, tylko akt urzędowy. Instytucye zaś kredytowe nie mogą się bawić przy każdéj swéj czynności w akta notaryalne, ale muszą operacye swoje szybko i tanim kosztem wykonywać.

Bank Handlowy, Dyskontowy i Warszawski Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, uwolniły się od téj formalności przez rozporządzenie, zawarte w ich ustawach, iż przyjmowane zastawy zapisują się do osobnéj w tym celu sporządzonéj księgi sznurowéj, które to zapisanie będzie miało tę samą moc i ważność co zaregestrowanie, o którém mowa w art. 2074 k. c. fr.

Oto wzór dla zmian, koniecznych w interesie kredytu i rozwoju rolnych instytucyi kredytowych.

W ten sam sposób, jak wymienione wyżéj instytucye usunęły art. 2074 k. c. fr. można wprowadzić do ustaw i inne zmiany, jakie za konieczne uznane będą.

Instytucya kredytu rolnego, któraby otrzymała przywilej udzielania pożyczek na zastaw ruchomości rolnych z pozostawieniem ich w posiadaniu dłużnika, musiałaby owe księgi sznurowe, mające zastąpić zaregestrowanie, uczynić dostępnemi dla każdego interesowanego tak, ażeby one mogły być w każdéj chwili przeglądane. Księga w ten sposób urządzona, zastąpiłaby w części przynajmniéj dla osób pozostających w stosunkach z bankiem rolnym owe księgi hypoteczne dla ruchomości, o potrzebie których wyżéj wzmiankowaliśmy.

Każdy chcący wejść w stosunki z klientem banku, mógłby się łatwo przekonać, czy zboże, inwentarz i t. d. są zastawione w banku lub nie, i wedle tego interesa swe urządzać.

Bank zaś nie miałby potrzeby przekonywania się, czy przedmiot, który ma być jemu w zastaw oddany, jest już komu innemu zastawiony, gdyż przywiléj na ruchomość bez posiadania jéj, służyłby tylko samemu bankowi, względem wszystkich innych zaś prawo zostałoby w swéj mocy; bank mógłby więc bez żadnéj obawy udzielić pożyczki na te ruchomości, któreby się znajdowały w posiadanie dłużnika.

Prawda, że takie wyróżnienie banku rolnego, byłoby w ścisłém pojmowaniu sprawiedliwości niewłaściwém, ale z drugiéj strony ustawa banku nie może zmieniać ogólnego prawa, a winna

starać się o wyjednanie dla swoich stosunków wszelkich możliwych ułatwień i dogodności (1).

Należy nam w tém miejscu zapoznać się jeszcze z procedurą używaną przez Bank Polski przy udzielaniu pożyczek na machiny rolnicze.

Dłużnik zeznaje przed regentem akt urzędowy, w którym przyznaje, iż otrzymał pożyczkę na kupno machin i narzędzi rolniczych, zabezpiecza takową na całym swoim majątku, a w szczególności na nabytych machinach, oddaje też machiny Bankowi w zastaw, dozwalając mu objąć i wykonać takowy za pośrednictwem osoby przez siebie wyznaczonéj; zastaw ten nie tamuje wszakże dłużnikowi możności użytkowania z machiny.

Obok tego, ze względu iż machiny i narzędzia z chwilą sprowadzenia ich do dóbr i ustawienia, stają się nieruchomością z przeznaczenia, takowe zapisują się do Działu I wykazu hypotecznego dóbr, a w Dziale III objawia się prawo zastawu.

Po załatwieniu tych czynności notaryalnych i hypotecznych, właściwy wójt gminy obejmuje imieniem Banku machiny w zastawne swe posiadanie, pozostawiając je jednak właścicielowi do jego użytku.

W powyższéj procedurze Banku Polskiego widzimy zupełne pomieszanie pojęć prawnych. Trzeba się bowiem na jedno zgodzić: machiny i narzędzia rolnicze są albo ruchomościami, albo nieruchomościami. Jedném i drugiém współcześnie być nie mogą. Jeżeli są nieruchomością, to one stanowią nierozdzielną całość z dobrami, stanowią bezpieczeństwo dla wszystkich wierzycieli hypotecznych i specyalny przywilej na nich Bankowi żadną miarą służyć nie może. ,,Hypoteka, powiada prawo hypoteczne, jest niepodzielna, utrzymuje się w całości na wszystkich nieruchomościach zobowiązaniu uległych, na każdéj z nich i na wszelkiéj ich części" (art. 47 prawa z r. 1818).

Jak wybudowawszy dom na moim gruncie powiększam faktem tym bezpieczeństwo wierzycieli moich na gruncie ubezpieczonych, a ci, którzy mi dostarczyli funduszu na wystawienie domu, nie mają pierwszeństwa hypotecznego przed dawniejszymi mymi wierzycielami na gruncie zahypotekowanymi, tak samo wprowadziwszy do dóbr machiny i narzędzia rolnicze (jeżeli takowe przyjmujemy za nie-

---

(1) Pogląd powyższy na prawo zastawu rozwijaliśmy już kiedyś w Ekonomiście; dla związku jednak i całości prrzedmiotu w tém miejscu go ponawiamy.

ruchomości), to powiększam bezpieczeństwo wierzycieli dóbr i jeżeli szacunek dóbr łącznie z wartością machin nie pokryje wszystkich wierzycieli, figurujących na dobrach przed datą ustawienia machin, to pożyczka przez Bank na kupno machin udzielona, zrealizowaną być nie może.

Bank jednak tego sobie nie życzy, i bardzo słusznie—dlatego też posiłkuje się formalnościami, jakie przepisane są dla zastawu ruchomego, a mianowicie obejmuje w zastawne swe posiadanie za pośrednictwem wójta gminy.

Pomijamy tę okoliczność, iż pozostawianie zastawu w ręku dłużnika połączone jest wobec obowiązującego prawa z niebezpieczeństwem, prawu bowiem nie zależy na objęciu w posiadanie, ale na faktycznêm posiadaniu zastawu przez wierzyciela. „Przywilej służy tylko o tyle, o ile zastaw oddany był *i pozostawał* w posiadaniu wierzyciela,“ stanowi art. 2076 k. c. fr.

Chcemy tylko zwrócić uwagę na to, iż z postępowania Banku Polskiego okazuje się, iż uważa machiny i narzędzia rolnicze jako ruchomość, i przez objęcie ich w posiadanie chce sobie zapewnić na nich specyalny przywilej i pierwszeństwo przed wszystkimi wierzycielami. Dlaczego jednak Bank staje sam z sobą w sprzeczności i ruchome te przedmioty wnosi do hypoteki? Dlaczego zapewniwszy sobie przywilej przez objęcie przedmiotu w zastáwne posiadanie, pozbywa się, przywileju tego, przez oddanie go na rzecz wszystkich wierzycieli hypotecznych, którzy w porządku hypotecznym mają prawo do tego wszystkiego, co w Dziale I wykazu hypotecznego figuruje jako część składowa dóbr?

Kredyt rolny osobisty.

Jakkolwiek kredyt rolny powinien przeważnie opierać się na zastawie, nie można jednak zupełnie wyłączyć odpowiedzialności osobistéj. Powtarzamy, iż w stosunkach ludzkich nie ma stanowczych odgraniczeń, jedne z drugiemi bezustannie się wiążą i łączą. Jak kredyt kupiecki, będący z natury swéj czysto osobistym, posiłkuje się niekiedy zastawem, tak i kredyt rolny, chociaż za główną swą podstawę ma zastaw, nie może się wyrzec osobistéj odpowiedzialności.

Zastaw znajduje główne swoje zastosowanie przy pożyczkach, t. j. tam, gdzie produkt już istnieje i może wierzycielowi być od-

dany jako przedmiot zabezpieczenia, odpowiedzialność zaś osobista ma zastosowanie przy zaliczeniach, a mianowicie wówczas, kiedy produkt jeszcze nie istnieje, ale jest dopiero spodziewany.

Jakkolwiek istota kredytu osobistego nie polega na przymusie, mogącym być wykonanym na osobie dłużnika w razie niewykonania zobowiązania, lecz jedynie na zaufaniu czysto moralném, darowaném dłużnikowi i nie opartém na żadnéj rękojmi materyalnéj, to jednak w pojęciach ogółu, kredyt osobisty wiąże się ściśle z przymusem osobistym. A ponieważ prawo reguluje przymus osobisty do handlujących, rolnicy zaś rygorowi przymusu osobistego nie podlegają, przeto kredyt osobisty rolników bardzo na tém cierpi. O ile to prawda, przekonywa postępowanie Banku Polskiego, który udziela rolnikom kredytu krótko-terminowego nieinaczéj, jak za poprzedniém wpisaniem się ich do zgromadzeń kupieckich, lub wykupieniem patentu na prowadzenie handlu, przekonywa daléj Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, które chcąc rozciągnąć swą działalność do rolnictwa, uważało za konieczne wyjednać dla siebie przywiléj dochodzenia swych wierzytelności na mocy prawa handlowego i wexlowego, bez względu na sposób zatrudnienia dłużników. Nie sam wszakże wzgląd na przymus osobisty jest przyczyną wyższości, pod względem prawnym, kredytu kupca nad rolnika; przyczynia się do tego i odmienna procedura procesowa dla spraw handlowych i cywilnych, z których pierwsza jest szybka i energiczna, druga zaś długotrwała i ciężka.

Usunięcie przeto różnic w prawie wexlowém pomiędzy rolnikiem a kupcem, byłoby ważnym postępem dla osobistego kredytu rolnego. Różnica ta w Niemczech zatartą została. „Zdolność wexlową posiada każdy, kto zobowiązania prawnie zaciągać może,“ stanowi art. 1 niemieckiego prawa wexlowego.

Kredyt osobisty nie opierając się na żadnéj podstawie materyalnéj, szuka innych środków zabezpieczenia: najważniejszym z nich jest mnogość podpisów na wexlu i solidarna odpowiedzialność podpisujących.

Handel przy swojéj naturze ruchliwéj, nie pozwala na pozostawienie kapitału długo w jedném miejscu. Wierzyciel, który wczoraj oddał towar i otrzymał za niego wexel, dziś jest sam w potrzebie czynienia zakupu, oddaje więc otrzymany wczoraj wexel swemu wierzycielowi, który go może jutro daléj oddać. Kupiec lub bankier przyjmujący w miejsce gotowizny wexel, nie zna często wystawcy wexlu, a ztąd nie przyjmuje go inaczéj, jak za solidarném poręczeniem ze strony osoby ustępującéj wexel, za pun-

ktualną zapłatę przez dłużnika. Tu tedy zachodzi nowa różnica pomiędzy wexlem kupieckim a dokumentem zwyczajnym, czyli tak zwaną kartą ręczną: ustępujący zwyczajny dokument nie jest odpowiedzialny za wypłacalność dłużnika, ustępujący zaś wexel (żyrant, indossant) przyjmuje solidarną z dłużnikiem odpowiedzialność; każdy na wexlu podpisany, w jakimkolwiekbądź charakterze, czy to jako wystawca, czy jako akceptant, czy też nakoniec jako indossant, jest solidarnie odpowiedzialny za wypłatę wexlu.

Z tego wynika, że im więcéj na wexlu podpisów, tém lepszy wexel.

Kierując się tą zasadą, wszystkie instytucye bankowe przyjęły za prawidło, przyjmowanie do dyskonta takich tylko wexli, które mają dwa lub więcéj podpisów.

Dla kupca, który, jak widzieliśmy, nie trzyma długo wexlu w ręku i który przez sam indoss staje się solidarnie za wypłatę wexlu odpowiedzialnym, nie trudno przedstawić bankowi do dyskonta wexlu, opatrzonego kilku podpisami; dla rolnika zaś, który nie ma tak rozgałęzionych stosunków, i którego cessya nie pociąga za sobą skutków odpowiedzialności, przedstawienie odpowiedniego aktywum do dyskonta, jest niepodobne.

W tém położeniu rzeczy nie ma dla rolników innego środka, tylko wzajemne za sobą poręczenie. Dziś A. ręczy za B., jutro B. odpłaca się taką samą usługą A. Wprawdzie instytucye kredytowe na tego rodzaju manipulacye niechętném patrzą okiem, nazywając takie wexle wexlami fabrykowanemi, sztucznemi, i przekładają wexel będący produktem rzeczywistéj operacyi handlowéj; jednakże nie odmawiają gościnności i dokumentom poręczanym, byleby podpisy były dobre.

Ażeby jednak ten system poręczenia mógł prawdziwe oddać usługi, ażeby ogarniał szerokie sfery, a nie ograniczał się na odosobnionych faktach, nie można go zostawić w dzisiejszym stanie przypadkowego łączenia się dwóch jednostek w celach wzajemnego za sobą poręczania, ale należy ująć w pewny organizm, w pewną racyonalną całość.

Organizm ten pojmujemy w sposób następujący: Rolnicy danéj miejscowości łączą się w kółko, ustanawiają zdolność kredytową każdego członka do koła tego należącego, i do ustanowionego w ten sposób dla każdego kredytu, solidarnie lub do pewnéj wysokości za sobą poręczają. Jako reprezentantów wybierają ze swego koła kilka osób, przodujących intelligencyą i majątkiem, i ci stanowią firmę spółki. Każdy z przyjmujących udział w kółku, ma prawo przynosić do zarządu swój wexel w granicach przy-

znanego mu kredytu, ten kładzie swój indoss i dyskontuje go w któréjkolwiek z większych instytucyi kredytowych. Funduszu zakładowego kółka takie nie potrzebują, bo same kredytu nie udzielają, zadaniem ich jest jedynie danie poręczenia, żyra.

Z postępem czasu połączenie tych kółek mogłoby powołać do życia własną instytucyą centralną, która czy to za pomocą akcyi, czy też na zasadzie wzajemności, mogłaby zaopatrzyć się we własny kapitał dla potrzeb rolnictwa.

Nie widzielibyśmy nic szkodliwego w tém, gdyby zamiast procedury wyżéj przez nas wskazanéj, obraną została droga wprost przeciwna, a mianowicie, gdyby zamiast utworzenia z początku kółek miejscowych, a następnie zneutralizowania ich, zaczęto od instytucyi centralnéj, którąby wzięła inicyatywę w utworzeniu prowincyonalnych kółek dyskontujących. Przy braku przedsiębierczości naszéj ludności prowincyonalnéj, możeby nawet ta druga droga prędzéj do celu doprowadziła.

BULGARYA I BULGAROWIE.

Zarys historyczno-etnograficzny

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.

CZĘŚĆ DRUGA.

Teraźniejszość Bulgaryi.

Liczba ludności.—Stosunek do Serbo-Chorwatów.—Fizyognomia ludu.—Ubiór.—Zadrugi. Urządzenie domu.—Podział majątku.—Domy po miastach. Kobiety bulgarskie.—Zajęcia Bulgarów.—Duchowieństwo.—Charakter narodowy.—Zdolności i oświata.—Język.—Pieśni i taniec. — Szczątki wyobrażeń pogańskich. — Religia Bulgarów. — Pomakowie i Pawlikianie.

V.

Etnografia.—Bulgarowie.

Pomimo panowania Turków Osmańskich, pomimo roszczeń i pychy Greków, jedni tylko Bulgarowie ziemie Bulgaryi naddunajskiéj, Macedonii i większéj części Tracyi swojemi nazywać mogą. Liczebnie przewyższają oni nietylko każdą narodowość w granicach Turcyi europejskiéj, ale nawet oniemal wszystkie razem wzięte. Ilości Bulgarów, przy braku danych statystycznych, trudno dokładnie oznaczyć; oni sami podają cyfrę swą na 6 do 7 milionów. Kanitz uważa liczbę tę za przesadzoną i umniejsza ją do 5 milionów. Bądź co bądź, jest to cyfra bardzo poważna, która na szali stosunków etnograficznych w Turcyi kiedyś nie byle jako zaważy. Bulgarowie należą do gałęzi południowo-słowiańskiéj i najbliżéj spokrewnieni są z Serbo-Chorwatami i Słoweńcami; odmienne wszakże warunki polityczne i przeszłość dziejowa wyrobiły tak znaczne między temi narodami różnice, że marzenia niektórych ideologów o przyłączeniu narodowém i literackiém Bulgarów do

Serbo-Chorwatów najmniejszych widoków prawdopodobieństwa nie przedstawiają. Znany adres Bulgarów do ministra serbskiego Marinowicza doskonale wyjaśnia, że ci bynajmniéj ani zlania się z Serbami, ani ich duchownego protektoratu wcale sobie nie życzą. Najczyściéj lud bulgarski zachował się w zachodnich Bałkanach, gdzie mieszka ścisłą massą, bez najmniejszéj obcéj domieszki. Ludność ta najlepiéj typ narodowy przedstawia.

Pod względem fizyognomii zewnętrznéj—Bulgar ma wszystkie cechy, znamionujące w nim typ słowiański i wielce się od innych narodowości odróżnia: średniego wzrostu, muskularny, ma twarz owalną, rysy twarzy nieco grube, ale kształtne i foremne. Na twarzy owéj przebija się spokój, dobroć, powaga, wytrwałość, a często nawet niezwykła intelligencya. Włosy mają częściéj jasną niż ciemną barwę, czém Bulgarowie różnią się od Greków zwykle ciemnych brunetów, brew po nad małém nieco okiem bywa gęsta — wystające nieco kości policzkowe, zdają się dotąd jeszcze świadczyć o znacznéj w przeszłości przymieszce krwi mongolskich przybyszów. Kobiety średniego wzrostu, w młodszych latach bywają bardzo ładne, prawie piękne — zwłaszcza w niektórych okolicach; wyszedłszy jednak za mąż, tracą prędko urodę; ciężka praca fizyczna szybko wdzięk jeden po drugim zrywa z tego wieńca, jakiemi szczodrobliwa przyroda je zdobi.

Ubiór ludu ma niejakie podobieństwo do ubrania Słowaków lub Chorwatów w okolicach Zagrzebia. Wieśniak nosi na głowie *czubarę*, czapkę z jasnego lub ciemnego baranka, okrągłą lub w formie kołpaka. Włosy niekiedy splatają się w warkocz, a u starszych Bulgarów czasami znajdujemy podobnie jak u Turków głowę ogoloną i tylko czub włosów na wierzchu. Na ciele Bulgar nosi koszulę z szerokiemi rękawami, na piersiach i ramionach wyszywaną kolorowemi nitkami, na podobieństwo ukraińskich soroczek, spodnie szerokie, latem płócienne, zimą z białego sukna, które pod kolanami czerwoną podwiązką albo rzemieniami przywiązuje, biodra ściąga pasem czerwonym, przy którym zwykle nóż składany wisi. Na wierzch wdziewają Bulgarowie kaftan z szamerowaniem, albo długą po kolana kapotę sukienną — w zimie noszą baranie kożuchy albo grube sukmany. Na nogi Bulgar kładzie buty sznurowane albo *papucie* tureckie. W ubiorze tym w różnych okolicach rozmaite zachodzą zmiany; miejscami poprzejmowali Bulgarowie te lub owe szczegóły tureckiego stroju. I tak, w okręgu Filippopolskim (1) noszą długie i szerokie szarawary, czarny kontusz,

(1) Karawelow R. W. 3. str. 390.

biały pas i po narodowemu baranią czapkę, albo też z turecka fez, czalmę czarną lub innéj barwy, byle tylko nie zielonéj, białéj lub jasnoczerwonéj, bo kolory owe wyłącznie dla prawowiernych mosleminów są zachowane. U górali *(planinców)*, jak np. u tak zwanych *Szopów* w okolicach Witosza i Ryl — planiny czyściéj zachował się ubiór narodowy aniżeli u mieszkańców dolin, zwanych *polcami* lub *polskimi* (od *pole*); ci ostatni lubują się w szerokich szarawarach, rozciętych rękawach i fezach na głowie. Po miastach moda turecka z fezem zamiast czubary przeważa—oświeceńsi w ostatnich czasach po zachodniemu nosić się zaczęli.

U kobiet panuje niesłychana rozmaitość ubiorów; prawie w każdéj okolicy odrębny kostium możesz zobaczyć. Bujny włos na głowie splatają Bulgarki w warkocze, nierzadko farbują go na inny kolor i zdobią kwiatami, monetą i wstążkami. Koszule zawsze śnieżnéj białości, mają na piersiach, ramionach i łopatkach pstre, wzorzyste wyszywanie; na wierzchu noszą spódnicę z wełnianego samodziału, w mnóstwo fałd ułożoną, fartuch obrąbiony frędzlami bardzo często dokoła spódniczkę okrywa. Nieraz długi fartuch bez spódnicy spoczywa wprost na długiéj po kostki koszuli. Biodra ściąga pas z pięknie wyrobioną klamrą metalową albo z perłowéj macicy. Kobiety bulgarskie kochają się w ozdobach, misternie robionych, w kolczykach, naramiennikach, pierścieniach—na szyjach zawieszają sznury pereł lub monety złote albo srebrne, na sznurek nawleczone. Piękny kostium Bulgarek na przedmieściu Filippopola opisuje Karawelow (1); kobiety tameczne ubierają się w *sukmanę* wełnianą, obszywaną czworograniastemi kawałkami żółtego, czerwonego i niebieskiego sukna, kontusz czerwony, niebieski lub latem biały pozostawia pierś odkrytą, jedynie cieniutką koszulką przysłonioną, pas bywa żółtego lub złotego koloru ze srebrną blachą; głowę pokrywa chusteczka żółta, biała lub niebieska, a rozpuszczone włosy spływają na plecy. W ogóle obowiązek zamężnéj kobiecie nakazuje pokrywać głowę, gdy tymczasem dziewica całe bogactwo bujnych włosów oczom widza roztacza. W miastach panuje rozmaitość szat; narodowy strój i turecki, łączą się i mieszają z europejską modą w dziwacznéj często plątaninie. Europejskich strojów Bulgarom dostarcza Wiedeń, będący dla wszystkich południowych Słowian tém, czém dla naszych dam nadsekwańska mody stolica.

---

(1) Loco cit. str. 391.

Niwelujące rządy tureckie zatarły całkiem u Bulgarów różnice stanowe. Arystokratyczny ustrój dawnéj Bulgaryi zniknął bez śladu; dziś są tylko różnice majątkowe, ale i te nie dają w obcowaniu towarzyskiém żadnych praw do pierwszeństwa. Poważania doznają jedynie starcy lub zasłużeni mężowie. Lud staro-słowiańskim obyczajem, który u wszystkich południowych Słowian w zupełności się zachował, żyje w *zadrugach* tak, jak ich ojcowie w prasłowiańskiéj dobie. Majątek rodziny należy do wszystkich jéj członków—mieszkają oni i pracują razem pod zwierzchnictwem wybranego przez siebie *dieda* lub *stareszczy*. *Died* wyznacza robotę, utrzymuje kassę, płaci podatki i ma w ogóle pieczę nad całą zadrugą. W ważnych razach, szczególniéj w przypadku niezgód i sporów wewnętrznych, naczelnik zadrugi powołuje na naradę starszych członków i sprawa większością głosów się rozstrzyga. Przy pracowitości i zabiegłości wieśniaków bulgarskich, w domach ich pełno życia i ruchu, co rażąco przy głuchéj ciszy siedzib muzułmańskich odbija. W środku podwórza, otoczonego wysokim, plecionéj roboty płotem, stoi zwykle wytworniéj zbudowany dom *stareszczy* —w okół otaczają go mniejsze domki żonatych synów oraz zabudowania gospodarskie, spichlerze, obory i t. d. W domu starosty znajduje się izba obszerna (nazywana *prust*) z ogniskiem, koło którego cała rodzina się gromadzi. Druga izba, zwana *podstriesznik* służy do spania i dzieli się na małe komory — z tyłu domu znajduje się *zadnik*, schowanie na żywność. Pomiędzy ścianami bywają małe komórki bez okien *(skriwatisztie, jama)*, gdzie w niebezpiecznych czasach chowają się droższe przedmioty. Jeśli dom jest bogatszy, znajdziesz tam kilka pokojów, umyślnie dla gości pozostawionych. Okna w domach wiejskich małe, w zimie pęcherzem lub papierem zaklejane—szkło bowiem w Turcyi rzadko w oknach się ukazuje, chyba po miastach w większych domach lub w bogatszych klasztorach. Dachy kryte są dachówką albo po prostu słomą lub trzciną, z przodu domu wysuwa się daleko naprzód, tworząc rodzaj ganku, tak zwany *sejwan* albo *chajte*, gdzie na ubitéj i podniesionéj nasypem ziemi w lecie jadają, czekają na gości, a nawet spią nieraz. Spichlerze *(koliby)* zwykle stoją osobno; pod domem albo osobno jest piwnica w ziemi, a w niéj chowa się wino i jarzyny na zimę przygotowane — zowie się ona *zimnik*, *izba* albo *ponca*. Cały ten obręb domu zawiera jedność spoistą, złączoną węzłami tradycyi, obyczaju i wzajemnéj miłości rodzinnéj—stosunki bowiem między rodzicami i dziećmi, braćmi i siostrami przejęte są tém ciepłem wewnętrznem, które tylko u Słowian dzisiaj w peł-

nej mierze się zachowało. Niewszędzie jednak znajdzie tak dostatnie zagrody; bywają wsie z domkami z trzciny, krytemi słomą. Pasterze po górach żyją w nędznych szałasach, a gdzie niegdzie spotykali podróżni jamy w ziemi wykopane, przykryte dachami z gałęzi i ziemi ubitéj z ogromnemi, plecionemi z prątków kominami—takie mieszkania ludzkie znalazł między innymi Kanitz we wsi Wasilówce, a w nich wieśniaków, co powrócili rozczarowani z Krymu, ale już nie trafili do dawnych chat swoich, bo w nich rząd turecki kolonistów tatarskich osadził (1). Po miastach zadrugi zniknęły, po większych wsiach także wychodzą ze zwyczaju, natomiast praktykuje się tam dość oryginalna zasada podziału ojczystego majątku. Dom zwykle najmłodszemu dostaje się synowi, starsi biorą pieniądze i rzeczy, pomiędzy innemi naczynia miedziane, które stanowią główne bogactwo bulgarskiego domu. Pozostały przy zagrodzie brat najmłodszy, ma obowiązek utrzymywania owdowiałéj matki i wyposażenia siostr—te bowiem przy działach nic nie dostają; przy tym ostatnim obowiązku, otrzymuje i naczynia miedziane. Polem, łąkami i bydłem dzielą się porówno. Owe działy odbywają się zgodnie i spokojnie, i bardzo rzadko zdarza się, żeby kady potrzebował wtrącać się w sprawę spadkową (2).

Domy po miastach zwykle kryją się za wysokiemi glinianemi murami, które je całkiem przed oczyma przechodniów zakrywają—mury te, ciągnące się do nieskończoności, stanowią uliczki krzywe, wązkie, niebrukowane, albo z brukiem najniegodziwszym pod słońcem. Gdy podróżny przejeżdża przez cyrkuł chrześciański—na tętent koński wybiegają przed bramę zaciekawione kobiety i dzieci—w dzielnicach mahometańskich żywa dusza się nie pokaże, wyglądają też one niby miasta wymarłe. W środku miast, gdzie bogatsza ludność zamieszkuje, domy stoją frontem do ulicy, piętrowe z bramą po środku, ze sklepami po obu stronach bramy. Tylko górne piętro bywa zamieszkane—na dole są zwykle prócz sklepów, składy, śpiżarnie i t. d. Wnętrze bulgarskich domów po miastach i zamożniejszych wsiach świadczy dobrze o zamiłowaniu porządku i wygód. Sprzęty noszą na sobie cechę oryentalną — pokój gościnny zasłany jest kobiercami, na około trzech ścian ciągną się poduszki, a w kątach coś w rodzaju sof dla gości przeznaczonych. Przy ścianie u wchodu stoi kilka szaf

(1) Kanitz, str. 197.
(2) Karawelow, str. 398 i 9.

drewnianych, w nich chowają się naczynia, bielizna i t. p. rzeczy. Jedna z tych szaf stanowi zwykle ołtarzyk domowy, zamykany przed okiem niepoświęconych, w niéj znajduje się kilka obrazów, barbarzyńsko w bizantyjskim guście malowanych, krzyż i lampa wisząca. W kącie stoi kufer, mocno okuty w żelazo, z pieniędzmi i drogocennemi przedmiotami. Do jedzenia używa się niziutki stół przenośny, a właściwie okrągła deska na maleńkich podporkach kilkocalowych—stół taki nazywają z turecka *sofrą*. Przy sofrze Turcy, Arbanasowie i Rumuni siadają na ziemi, Bulgarowie zaś używają małych stołeczków, dwa razy jednak wyższych od safry. Że w wielu domach bogatéj intelligencyi znajdziesz europejskie umeblowanie, o tém nikt nie wątpi; co większa, razem z wiedeńskiemi meblami utorowały sobie drogę i fortepiany, a niejedna *kokona* bulgarska, częściéj jednak Greczynka popisuje się brząkaniem lichych sztuczek salonowych.

Od zewnętrznego urządzenia domu przejdźmy teraz do stosunków pomiędzy członkami rodzin, owe domy zamieszkających.

Stosunek kobiety do mężczyzn ma w Bulgaryi czysto wschodni charakter. W przeciwieństwie do zachodnich obyczajów, niewiasta wszędzie oddaje pierwszeństwo mężczyźnie, okazuje mu poważanie na każdym kroku: ustępuje z drogi i czeka, póki nie przejdzie, w obecności mężczyzn nie śmie usiąść, chyba że ci dadzą jéj wyraźny *izum* (pozwolenie), nie śmie wyjść do gości, chociaż pojawienie się obcych w ścianach domowych niesłychaną w pięknéj płci budzi ciekawość, i przez wszelkie możliwe szpary przyglądają się obcym niewieście oczy, a uszy chciwie każde słowo pochwytują. Kanitz sądzi jednak, że położenie kobiety bulgarskiéj jest znacznie lepszém, aniżeli w Serbii i Czarnogórzu (1). Powiada także, iż przy miękkim charakterze Bulgarów często po stronie kobiet znajdował większą energię, więcéj stanowczego usposobienia. W zbiorze pieśni braci Miladinowców (Zagrzeb 1851) znaleźliśmy ciekawą pieśń o dziewicy Syrmie, którą, przy wyborze wodza *czety* hajduckiéj okazawszy najwięcéj siły i zręczności, została *wojwodką* i przywodziła siedmdziesięciu hajdukom. W przypisku wydawca powiada, że „Syrma urodziła się we wsi Tresancy i przebrana po męzku jako wódz bandy hajduków obchodziła okolice Babintropu, Stogowa, Barburu i Karczina. Płeć jéj dopiero późniéj hajducy poznali... Wyszła za mąż za Bulgara Mcaka w Kruszewie. Widzieliśmy ją w Prilenie w 80 roku życia

(1) Str. 49.

i sama o swéj młodości nam opowiadała; przy ubraniu nosiła broń zatkniętą, w domu u niéj nad łóżkiem wisiały szable, strzelby i t. p. Pod względem pracy obie płcie stoją na stopniu równouprawnienia, bo i jedna i druga zarówno pracy są oddane. Czynność Bulgarki godna podziwienia, całe gospodarstwo domowe na jéj głowie spoczywa—gotuje obiad, przędzie kądziel, wyrabia płótno, sukno na szaty dla siebie, męża i dzieci, i w polu pomaga mężowi nawet w najcięższych robotach; w dodatku otoczona zawsze gromadą dzieci, bo w Bulgaryi małżeństwa są bardzo płodne, a bezdzietność poczytuje się za najsmutniejszą klęskę, jaka może dotknąć kobietę. I niezamężne dziewczęta nie lenią się wcale; zdrowe, silne, zręczne, nie szczędzą rąk, i przyśpiewując sobie, pracują wytrwale w polu, nawet w tak ciężkich robotach, jaką jest np. w dolinie Marycy zbieranie ryżu. Piosnka ludowa tak charakteryzuje dziewczęta bulgarskie:

Nad wszystko mi drogie są bulgarskie dziewy;
Cały dzień żną żyto na piekącém słońcu,
Cały dzień na nogach od rana do nocy
Znoszą garście zboża i wiążą je w snopy,
W stogi układają, jak słowik śpiewają,
Jako jaskółeczki szczebiotają słodko.
Gdy nadejdzie wieczór, wracają do domu,
Jak kuropatewki drobno podskakują,
A są bieluteńkie jako księga biała (1),
Czerwone na twarzy jak ochrydzkie jabłka.

Młodzież ceni wielce żwawe i dzielne robotnice, i niejedna dziewoja zyskała sobie serce i rękę młodzieńca, dlatego że zachwyciła go swoją wytrwałością i zręczną biegłością w pracy, jako w innéj piosnce ludowéj:

Żęła Mara (2) żółte proso,
A jechały młode pany,
I paniczyk jeden młody
Tak pozdrawiał piękną Marę:
„No, żąć chodźmy na wyścigi,
Jeśli ja wyścignę ciebie,

(1) Wyrazem tym południowi Słowianie często list oznaczają.
(2) Marya.

Dasz mi swój naszyjnik złoty (1).
Jeśli zaś ty mnie wyścigniesz,
Ja dam ci bystrego konia."
Mara mu odpowiedziała:
„Jeśli ja wyścignę ciebie,
Nie chcę ja bystrego konia,
Ale ciebie chcę, junaku."
Dalejże żąć na wyścigi,—
Żęła, żęła biała Mara,
I junaka wyścignęła,
Za to junaka dostała (2).

W pracy i zręczności Bulgarowie o wiele przewyższają Turków, Serbów i Rumunów—jest to najpracowitsza ludność Półwyspu. Główne ich zajęcie stanowi rolnictwo, hodowla bydła; po miastach zaś rzemiosła i kupiectwo. Wierny swemu słowiańskiemu charakterowi Bulgar jest pilnym rolnikiem, ale produkuje mało co więcéj, nad własną potrzebę. Dziwić się temu nie można—w Turcyi gospodarstwo wiejskie ma do walczenia z licznemi przeszkody, a żadnéj zachęty, żadnych ułatwień nie doznaje. Niemałe podatki ciążą na biednym rolniku; głośny tyle *haracz*, pogłówne, dziś na skutek wspomnionego już nacisku zmienił nazwę i zowie się obecnie *wykupném od wojska* (askeri bedeliah), za to dwa razy tyle co dawny *haracz* wynosi—daléj *dziesięcina* (aszar, desetnina) ze wszech płodów polnych: owoców, jarzyn i owiec; *intizam* podatek od umów handlowych, podatki, niektóre bardzo znaczne od wina, tytuniu, pszczół, jedwabiu i trzody chlewnéj. Podatki rząd wydzierżawia Grekom, Ormianom lub Żydom, godnym następcom celników biblijnych—ci przy wybieraniu danin dopuszczają się wielu bezprawi, samowoli i gwałtów, co prowadzi nieraz do ruiny uboższych rolników, a prawie corocznie rozruchy i zamieszki wywołuje. Ostatnie *irade* sułtańskie obiecuje administracyjny system wybierania podatków—pytanie jednak, czy ten rzeczywiście zaradzi złemu?

---

(1) W oryginale: *dżerdan kowani*, t. j. naszyjnik z monet ułożony.

(2) Obie piosnki wzięte są ze zbioru braci Miladinowców, wydanego w Zagrzebiu r. 1861. Poezya bulgarska, podobnie jak cała południowo-słowiańska używa wiersza trochaicznego bez rymów. Nie staraliśmy się parafrazować tych dwu piosenek rymami, bo nam szło nie o wdzięk formy, ale o wierne oddanie treści.

Trudność wywozu bynajmniéj nie zachęca do zwiększenia produkcyi rolnéj. Nie ma może nigdzie na świecie gorszych dróg nad tureckie; w kraju tym niepodobna inaczéj podróżować jak pieszo i konno, a przewóz towaru odbywa się z niesłychaną trudnością. Rzadko gdzie niegdzie bite drogi (*drum*) budowane są raczéj w strategicznych aniżeli handlowych celach. Przy braku dobrych dróg handlowych nawet sieć kolei żelaznych, które w ostatnich latach zostały pobudowane, nie przynosi handlowi takich usług, jakich spodziewano się powszechnie.

Na małą produkcyjność ziemi wpływa także bardzo zacofany sposób uprawy i gospodarstwa. Wieśniak orze ziemię maleńkim pługiem, zaprzęgając do niego nieraz po trzy pary wołów i bawołów—pług taki obsługuje kilkoro ludzi; jeden prowadzi pług, inni uwijają się koło bydląt, pobudzając je do pracy krzykami i wrzaskiem. Przeszedłszy raz jeden niwę takim pługiem, który ledwie jako tako ziemię podziobać zdołał, rzucają ziarno; rzadko nawożą ziemię i bronują—zresztą do téj ostatniéj roboty używają odwiecznéj brony, z prętów skleconéj byle jako. Młocka odbywa się również w przedpotopowy sposób — na zebrane zboże wypędzają konie i woły i te ciągną pień, nabijany krzemieniami, który ziarno wygniata, a zarazem słomę na sieczkę rozcina. Płody rolnicze zwożą się z pól na dwukołowych wózkach o wielkich, graniastych, nieokutych i nienasmarowanych kołach. Rozumie się, że przy takich warunkach zachodzi ogromna strata sił i rezultat w małéj tylko części wyłożoną pracę nagradza.

Bułgarowie wielkiéj sławy używają jako ogrodnicy—starannie hodują drzewa owocowe, umieją chodzić koło winnic, jedwabnictwa—nadto Bulgarki lubują się w kwiatach, a ogródki z kwiatami prawie przy każdym domu zobaczysz. W mieście rzemieślnik bulgarski słynie ze zręczności, zwłaszcza misterne i piękne są ich wyroby ze skóry i pasamanterye. Także obudzają podziw dywany, delikatne tkaniny, roboty snycerskie, wyroby ze srebra i żelaza, dobrze bardzo o zdolnościach technicznych owego rzemieślnika świadczące. W handlowym świecie Bulgarowie poważne zajmują stanowisko; kupcy u nich stanowią intelligencyą narodową.

Liczne bardzo u Bulgarów jest duchowieństwo, zwłaszcza zakonne, *kaludżerowie i kaludżerice*, to jest mnisi i mniszki. W wąwozach Bałkanu, Rhodopu i w ogóle w górskich okolicach, klasztory gęsto rozsiane—niektóre z nich po kilkudziesięciu zakonników mieszczą w swych murach. Najsławniejszym jest klasztor św. Jana Rylskiego, w malowniczéj dolinie w Rylskich górach położony. W klasztorze mieszka przeszło stu zakonników i nowicyuszów.

W cerkwi z pięciu kopułami dość obszernéj, leży ciało św. Jana Rylskiego, przeniesione tutaj z Tèrnowa r. 1469. Mnóstwo pątników pielgrzymuje do tego miejsca świętego—a na 19 Października, dzień św. Jana, zbiera się zwykle do 10 tysięcy ludzi, których klasztor często po kilka tygodni podejmuje u siebie, zadawalając się dobrowolnemi, zwykle niehojnemi ofiarami. Monaster utrzymuje się właściwie z darów od bogatych i pobożnych kupców bulgarskich. W klasztorze Rylskim był przed kilkunastu laty igumenem, żyjący tam dotąd, ojciec Neofit, niezmordowany pracownik na niwie literatury narodowéj, tłómacz Ewangelii i autor wielkiego słownika bulgarskiego.

Na zachód od Ryl-planiny w zachodniéj Macedonii znajduje się bardzo dużo monasterów, więcéj jeszcze niż pod Bałkanami. W okolicach np. miasta Skopii, w tak nazwanéj Czarnéj Górze liczą do 14 klasztorów, a w okręgu Bitolskim do 70. W téj okolicy szczególniéj doznają poważania trzy klasztory, założone przez uczniów Jana Rylskiego, świętych Dymitra, Gabryela i Prochora. Pod Bałkanami o milę od Tèrnowa na prawym brzegu Jantry leży monaster *Sweta Troica*, mający do 50 kaludżerów, a mimo to w okolicach miasta w pasie jednogodzinnéj drogi są jeszcze trzy inne klasztory, a po drodze do Eleny, o sześć godzin odległéj napotyka się pięć innych. Większa część klasztorów są to tylko ubogie domki z małemi cerkiewkami bez kopół — w domku takim mieszka kilku kaludżerów lub prostych popów, niemających parafii; żyją oni dość wygodnie, a godność igumena uważa się za korzystną, gdy za nią płaciło się *władyce* niezgorszą sumkę. Są i takie klasztory, w których ledwie jeden lub dwu ludzi się trzyma, walcząc z nędzą i niedostatkiem. Kaludżerowie, z wyjątkiem mnichów rylskich, ubierają się tak samo, jak i świeccy popi, w niebieskie kurtki, szerokie modre szarawary, wielkie pasy, białe pończochy i pantofle; zamożniejsi duchowni zarzucają na to długą czarną suknią z szerokiemi rękawami, z przodu niezapinaną. Większość duchownych sutanny owéj nie nosi, a od świeckich odróżnia się jedynie kołpakiem na głowie prostym lub też szerszym u góry aniżeli u dołu; kołpaka tego pop i kaludżer nawet w pokoju nie zdejmują. I pod względem wewnętrznym duchowieństwo nie odróżnia się tak wielce od reszty ludu — tak samo jak i on chodzi około roli i tak samo jest ciemném i niewykształconém, gdyż przy braku seminaryów duchownych alfę i omegę mądrości popiéj stanowi umiejętność czytania ksiąg liturgicznych.

Z tego, cośmy dotąd mówili, czytelnik widzi jasno, że naród bulgarski w charakterze swoim wiele cennych przymiotów posia-

da. Pracowity, zabiegły, praktyczny i trzeźwy w wiekowéj niewoli swojéj wyrobił w sobie wytrwałość niesłychaną, wytrzymałość na wszystkie ciosy i klęski, jakie sypały się i sypią na ów lud nieszczęśliwy. Cierpliwość w znoszeniu ucisku i niesprawiedliwości, a nawet przebiegłość przy lawirowaniu pomiędzy różnemi niebezpieczeństwami i przeszkodami; ostrożność, prawie uniżoność w postępowaniu względem Turków; dawały niejednokrotnie pochop do pomawiania ich o zupełne w niewoli muzułmańskiéj znikczemnienie. Posądzano także Bulgarów o tchórzowstwo z powodu, że ruchy wojenne przeciwko Turcyi i własne powstania popierali słabo—ale ruchy te mało przedstawiały widoków powodzenia, a doświadczenie nasuwało im ciągle myśl o strasznym późniéj odwecie. Że w charakterze bulgarskim tkwi pewna miękkość, pragnienie spokoju, troska o dobrobyt materyalny, niedozwalająca lekkomyślnie stawiać wszystkiego na kartę, nie ma najmniejszéj wątpliwości; ale odwagę, skłonność do poświęceń z życia i majątku dopiero ogólniejszy jakiś rokosz chrześcian na półwyspie może wystawić na próbę i w rzeczywistém okazać świetle. Junaków, nie gorszych od serbskich i bośniackich, spotykamy i w dziejach, i w podaniach ludu; hajducy, co się włóczą po Bałkanach, nieraz bohaterskich dokazują czynów, a heroiczne męztwo powstańczych legionów, a zwłaszcza z powstania 1867 r., na zupełne uznanie zasługuje. Niewątpliwie główne znamiona charakteru bulgarskiego stanowią dobroć, łagodność serca i dążenie do dobrobytu drogą pracy wytrwałéj, oszczędności i trzeźwości. Jak wszystkie ludy słowiańskie, gościnność poczytują Bulgarowie za święty obowiązek, gościa podejmują z uprzejmą twarzą, częstują winem i najlepszemi potrawami — ale z drugiéj strony nietylko chętnie przyjmują dary od swych gości, ale wyczekują ich nawet, a niekiedy zdarza się, że gdy gość zamierza odejść, nie obdarzywszy gospodarzy, ci sami wymagania swe głośno objawiają.

Że Bulgarowie są narodem nadzwyczaj pojętnym, zdolnym do języków, do techniki, rzemiosł i przemysłu, o tém nie ma najmniejszéj wątpliwości, chociaż Grecy i Turkofilowie niejednokrotnie wystawiali ich przed Europą jako naród upadły, barbarzyński i tępy od przyrody. Niestety, brakuje im jednéj bardzo ważnéj rzeczy, bez któréj zdolności ich wrodzone są jedynie zaklętym skarbem, z jakiego użytku zrobić nie można,—brakuje im oświaty. Ciężki to grzech i wieczna sromota na Fanaryotach leżąca, że przez tyle lat wszystkiemi siłami lud bulgarski od źródeł wiedzy i nauki odpychali. Poznawszy z doświadczenia, że hellenizm ścieka po

massach słowiańskich niby woda po marmurze, nie mogąc zgreczyć Bulgarów, postanowili w ciemnocie ducha ich na wieki wieków pogrzebać. „Na co wam lepsze szkoły?“ mówił w Niszu biskup tameczny; „czy chcecie, by dzieci wasze kacerzami zostawały? Zbierajmy lepiéj pieniądze na budowę kościołów. Wielkie, przestronne świątynie, czci Bożéj poświęcone, są najlepszemi szkołami.“ Oświatę w duchu narodowym słowiańskim biskupi greccy wiązali z herezyą, bo czuli dobrze, iż każde wzmocnienie świadomości narodowéj roszczeniom ich i nadużyciom stanowczy cios zadaje. Straszna to była i zacięta walka o szkoły ludowe; z ustanowieniem egzarchatu, prawie w każdéj okolicy trzeba było wypierać fanaryockiego *daskała* (nauczyciela), co rózgą i pięścią słowiańskim pacholętom wszczepiał nowogreczyznę, w oczach jego spadkobierczynią najpiękniejszéj pod słońcem cywilizacyi klassycznéj. Dziś gminy bulgarskie z zapałem własnemi siłami zakładają szkółki narodowe, chociaż niedostateczność środków materyalnych i brak odpowiednio wykształconych nauczycieli silnie rozwój oświaty tamuje. Dla zaradzenia choć w drobnéj części owéj potrzebie, ze składek prywatnych założono w roku 1868 w Filippopolu dwie szkoły średnie, męzką i żeńską, sposobiące nauczycieli i nauczycielki elementarne. Wszelako na tém polu pozostaje bardzo a bardzo wiele do zrobienia. Pragnienie nauki w zadziwiający objawia się sposób; dzieci biegną ochoczo do szkoły; pilnie uczą się czytać, pisać, rachować i katechizmu, a w miastach po większych szkółkach trochę grammatyki (bulgarskiéj i cerkiewno-słowiańskiéj), historyi, geografii, a wreszcie języków greckiego i tureckiego, i na tém kończy się cała oświata narodowa. Średnich zakładów bulgarskich, a témbardziéj wyższych nie ma—młodzież więc żądna wyższéj nauki, musi koniecznie szukać jéj po za granicami Ottomańskiéj monarchii. Po uniwersytetach w Rossyi, w Kijowie, Charkowie, Moskwie, Petersburgu, po akademiach duchownych uczyło się niemało młodzieży bulgarskiéj, doznając pomocy i poparcia; ale wielu tych młodzieńców przepada dla kraju, nie myśląc wcale do ojczystéj ziemi, pod nienawistnych Turków panowanie powracać. Przed ośmiu, dziesięciu laty spotykałeś młodych Bulgarów w Pradze Czeskiéj — między nimi był i Stojanow, który drobnemi artykulikami publiczność czeską ze swoimi rodakami zaznajamiał. Studentów bulgarskich spotkasz i w Wiedniu, gdzie nawet trochę książek bulgarskich wydrukowano; prawdopodobnie i nowozałożony uniwersytet zagrzebski przyciągającą swą siłę i w tym kierunku objawi.

Pomiędzy zdolnościami, danemi Bulgarom, niepoślednie miej-

sce zajmuje ich łatwość w przyswajaniu sobie obcych języków. W Turcyi są oni czystymi polyglottami — prawie wszyscy, wyjąwszy prostactwa wiejskiego, mówią po turecku i lubią się z tém popisywać — nadto umieją po serbsku, grecku, albańsku, rumuńsku, nieraz jedna osoba wszystkie te języki razem wzięte posiada. Jeszcze więcéj polyglottyzmu objawia się u Bulgarów bessarabskich. Zdolność owa dziwnie odbija przy innych ludach Ottomańskiéj monarchii. Grek uczy się po turecku z trudnością — innemi zaś językami pogardza. Podobnąż dumę okazują i Albańczycy, to też rząd zwykle urzędników z pomiędzy nich samych mianuje. Sami Turcy, chociaż urzędują na ziemiach bulgarskich, nie rozumieją miejscowego języka, a jeśli nawet umieją go, to przez dumę nie mówią z mieszkańcami inaczéj jedno przez dragomana. Młoda Turcya lubi popisywać się francuzczyzną i liche paplanie nadsekwańską mową w połączeniu z kostiumem zachodniego kroju jest często jedyną oznaką cywilizacyi europejskiéj w téj za arcyliberalną okrzyczanéj partyi.

Łatwość przyswajania sobie obcych języków w połączeniu ze skwapliwością w ich używaniu, niesłychanie szkodliwie na własny język Bulgarów oddziałała. W dzisiejszéj skażonéj mowie nowobulgarskiéj, trudno dopatrzyć tego świetnego, bogatego w formy języka, na który od dawna księgi święte przełożono.

Nie możemy się tu wdawać w szczegółowe cechy języka nowobulgarskiego — powiemy tylko, że utracił przypadkowanie, zastąpiwszy je niezręcznie przyjmkiem *na,* że pozbył się trybu bezokolicznego, i na przekór duchowi słowiańskiéj mowy zeszpecił się wprowadzeniem przedimka, który na podobieństwo rumuńskiego na końcu rzeczowników przyczepia. Mnóstwo słów tureckich, greckich, albańskich, rumuńskich i t. d. dusi żywioł rodzimy, a piszący w tym języku widzą jedyną możność rozwoju w cofnięciu go o ile można najdaléj w tył i zbliżeniu do mowy Metodego, Klemensa i całéj plejady starosłowiańskich pisarzy.

Gdzie się nie rozwinęła książkowa, sztuczna oświata, tam musiała zachować się w całéj świeżości pierwotna, przyrodzona poezya ludowa i wiara w te fantastyczne postaci, które dawniéj istotę pogańskiéj religii stanowiły i po upadku bogów przecisnęły się po za kordon katechizmowych nauk, wszedłszy w pakt z nowemi pojęciami tak, że umysł ludowy dawnym wyobrażeniom i obyczajom pogańskim znaczne miejsce pomiędzy chrześciańskiemi wierzeniami zostawił. Bulgar, podobnie jak wszyscy Słowianie,

zwłaszcza południowi, namiętnie lubi śpiew i taniec, i święcie wierzy w byt istot nadprzyrodzonych, kołaczących się między niebem i ziemią na strach lub pociechę ludzką. Narodowym tańcem bulgarskim jest *choro*, poniekąd z serbo-chorwackiém *kolo* spokrewnione. *Choro* tańczy się na świeżém powietrzu — chłopcy i dziewczęta tworzą jeden łańcuch, trzymając się z sobą w taki sposób, że każdy kładzie rękę prawą za pas obok stojącéj osobie. Przy dźwiękach gęśli, skrzypiec lub fletu, albo też przy samym śpiewie dziewcząt łańcuch ów to wolniéj, to prędzéj w rozmaite wije się figury — dwa jego końce to zbliżają się do siebie, to oddalają. Jeśli *choro* idzie ze śpiewem, poczyna go *chorowodka*, śpiewając wiersz odpowiedniéj pieśni, który potém całe koło powtarza. W tańcu biorą udział i żonaci ludzie ze swemi połowicami, a nawet i starsza generacya, gdy się rozochoci, żwawo staje obok młodzieży, by sobie młodsze przypomnieć latka.

Poezya ludowa bulgarska niemniéj jest bogatą jak u Serbów i podobnie jak tam dwa są główne jéj gatunki: *junacke* i *żeńske* pieśni. W junackich pieśniach rzadko występują osoby z czasów niepodległości państwa, daleko częściéj hajducy, awanturnicy późniejsi, a nawet bohaterowie świeżych powstań. Pomiędzy temi postaciami błąka się i zagadkowy królewicz Marko, ów typ południowo-słowiańskiego junaka, silny, śmiały, popędliwy, a czasami nawet przebiegły i okrutny. Pieśni najczęściéj dają się słyszéć w ustach kobiet (Miladinowcom w Strugu jedno dziewczę sto pięćdziesiąt pieśni, najwięcéj junackich dostarczyło) — a także poezyą tę uprawiają ślepi żebracy (*proseci*). Znawca i zbieracz melodyi południowo-słowiańskich Franciszek Koch powiada o melodyach bulgarskich, że są one posępne, starodawne, oryginalne, wzniosłe i pod względem muzykalnym nadzwyczaj cenne (1). W tych melodyach Koch dopatruje wielkiego wpływu muzyki kościelnéj i sądzi, że większa część melodyi bulgarskich ma starogrecki styl, który musiał być pokrewnym najdawniejszemu śpiewowi słowiańskiemu (2). Z instrumentów muzycznych zasługuję na uwagę *bugarija* (*tambura*) rodzaj lutni o sześciu, ośmiu lub więcéj strunach metalowych, w które bije się pałeczką. Sądzę, iż instrument ów przyjęto od Turków, ale Koch uważa go za szczerosłowiański,

---

(1) Narodna glasba Jugoslavena, w Wieńcu (Zagreb 1869) str. 447.

(2) Tamże, str. 462.

i mniema, że razem z guslami z dawien dawna u Słowian był w użyciu (1). Używają także fletu i kobzy.

Przy poetyczném usposobieniu Bulgarów, jak w ogóle wszystkich ludów słowiańskich, przy nizkim stanie cywilizacyi i małym wpływie oświaty książkowéj na życie, musiały koniecznie starodawne zabobony i obrzędowość pogańska zachować się w takiém bogactwie szczegółów, jak mało u którego z pobratymczych ludów. Bulgar w wyobraźni swéj całą przyrodę zaludnia mnóstwem nadziemskich istot, po lasach i górach harcują *samowile*; (rusałki u północnych Słowian, *wile* u Serbów), przybierając przeróżne postaci, a najczęściéj ukazując się junakom jako piękne dziewczęta i za miłość śmiertelnym płacąc pocałunkiem. Po lasach między potworami, smokami, mówiącemi wężami i t. d., siedzi nieraz wilkołak, ponura metamorfoza człowieka w wilka, a z grobów o północy wstają upiory, aby ssać krew żyjących. Nie ma wsi, gdzieby nie mówiono o jakiéj *wesztericy* (czarodziejce), szkodliwéj za życia, złowrogiéj po śmierci. W świętach dorocznych, w rodzinnych obrzędach, przy chrzcinach, weselach, pogrzebach główną rolę grają pozostałości ceremoniału pogańskiego, pociągnięte słabo chrześciańskim pokostem.

Z powyższego się okazuje, że Bulgarowie z małym bardzo wyjątkiem należą do kościoła wschodniego. Wyjątek ów stanowią prócz nielicznych wsi w okolicach Swistowa, pozostałych przy unii, kilkadziesiąt tysięcy (do 60,000) katolików, nazywanych Pawlikianami, Paulicyanami, oraz poturczeńcy, noszący imię Pomaków. Jedni i drudzy wyszli z dawnych bogomilów, którzy zyskawszy pod jarzmem tureckiém swobodę religijną i bezpieczeństwo ze strony prześladowców, pod wpływem wewnętrznych niezgód sami wiarę swoją porzucać zaczęli, już to przyłączając się do wyznawców wschodniego kościoła, już znowu islam przyjmując. Z wewnętrznego upadku bogomilizmu, a zarazem z wahania się heretyków co do połączenia z prześladowcami swymi, skorzystali mnisi katoliccy i znaczną część ich na katolicyzm nawrócili. Pawlikianie mieszkają w okolicach Filippopola, a zatém w tém miejscu, gdzie najprzód przyjęła się doktryna dualizmu. Dotąd pamiętają jeszcze, iż *w starowreme* wyznawali jakąś inną wiarę i doznawali od Greków prześladowania. Pod względem obyczaju narodowego okazują oni wielki konserwa-

---

(1) Tamże, str. 495.

tyzm za nic w świecie najmniejszéj nie dopuszczą zmiany ani w ubiorze, ani w zwyczajach ojczystych, nadto są nadzwyczaj zabobonni, wierzą w duchy, wiedźmy—a stare kobiety odgrywają u nich wielką rolę, rozdając ludowi leki cudowne, talizmany i t. d. Nad szkołami ich i duchowieństwem głównie rozpościera opiekę swą zakon Jezuitów.

Pomakowie mieszkają na północ Bałkanów w okręgu Łoweckim oraz na górach Dospackich —liczą ich do 300,000. Główne zajęcie Pomaków stanowi rolnictwo i hodowla bydła — przytém wchodzą chętnie do służby wojennéj, mianowicie służą w *sejmenach* t. j. straży, pilnującéj *ward* (po turecku *beklemich*) strażnic, jakich pełno po drogach i przejściach górskich. Zbisurmanieni Bulgarowie zachowali wiele chrześciańskich zwyczajów; dzieciom dają chrześciańskie imiona Panczo, Nedielko i t. d. Matka Pomaka lub wdowa na grobie nieboszczyka zapala świecę woskową, niektóre święta wschodniego kościoła obchodzą się u nich na równi z ramazanem i bajramem, a w czasie wielkiego postu żaden poturczeniec na mięso się nie złakomi. Pomakowie pamiętają dobrze, iż przodkowie ich byli niegdyś *kaurami*—a w pieśniach Pomaków występują bohaterowie narodowi, bitwy z Turkami i nienawiść do Osmanlisów wypowiada się z całą otwartością. Karawelow podaje jednę pieśń nader pod tym względem ciekawą, z któréj wyjmujemy charakterystyczny ustęp:

Spotkali się Turcy z Pomakami,
Z Pomakami, przytém z Bulgarami;
Turcy rąbią, a Pomacy kolą,
Krwią obleli niwy i pastwiska,
Krew pociekła, niby źródło z góry,
Trupy leżą, jak snopy na niwie.
Wtém zawołał junak Panczo-oglu (1)
„Słuchaj-no ty, carski sadrazamie!
Nie urodzon Pomak od Turczynki,
Nie wychowan w jedwabiu, ni w puchu,
Nie karmiony tłuszczem, słodyczami,

(1) To jest syn Pancza Pawła;—oglu, słowo tureckie, znaczy syn, dodaje się do imienia ojca i służy Pomakom zwyczajem południowo-słowiańskim za rodzaj nazwiska.

Lecz urodzon od grubéj Bulgarki,
Wychowany pod dębem wysokim,
Wykarmiony chlebem z kukurydzy.“ —
Podniósł szablę i zarąbał Turka.

Na Pomakach kończymy ten mozaikowy obraz dzisiejszego stanu Bulgarów — obraz niedokładny, może w szczegółach niejasny, ale w każdym razie staraliśmy się kamyczki do niego gromadzić z najnowszych, a dostępnych nam źródeł. Z czasem, gdy wzrośnie liczba podróży przez specyalistów odbywanych, gdy sami Bulgarowie opracowywać będą etnograficzną i obyczajową stronę własnego narodu, gdy wreszcie pojedyncze monografie nie będą się kryły w chaosie małoznanych zbiorów i artykułów peryodycznych,—skreślenie dokładnego obrazu etnograficznego Bulgarów o wiele łatwiejszém się stanie.

DZIEJE OŚWIATY LUDOWÉJ

ODCZYT JÓZEFA GRAJNERTA

MIANY W SKRÓCENIU DNIA 19 MARCA 1876 R. W WARSZAWIE NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

I.

Przed 18-stu jeszcze wiekami z wysokości Palestyny rozległy się niezmierzonéj dobroci słowa: Słońce Ojca Niebieskiego wschodzi zarówno dla złych i dobrych, dla wielkich i małych. I czemuż słowa te symbolizujące tak wzniośle wszelkie dary boże, a w szczególe i dostępną dla wszystkich światłość duchową, martwą są dotąd literą na większéj części globu ziemskiego? Odpowiedź łatwa. Wielkie idee i prawdy, acz proste w zasadzie, lecz wymagające odpowiedniéj uprawy ducha ludzkiego, urzeczywistniają się nieprędko i niełatwo. Całe lasy ciernistych zawad i przeszkód przełamać wpierw trzeba i zwalić kamiennéj ociężałości rutynę, nim dłonie herkulesowéj pracy idee te i prawdy, poczęte w słowach, obleką w życie, nim te słowa staną się ciałem.

Dziś nie ma już społeczeństwa liczącego się do wielkiéj rodziny ucywilizowanych narodów, któreby nie uznawało w zasadzie, że główną podstawą wielkości, wzrostu, potęgi i pomyślności ludów i państwa jest oświata ogółu, przeniknięcie jéj promieni do najniższych warstw społecznych. Tysiące jednak lat upłynęły, zanim ród ludzki przyszedł do przekonania, że wiedza i nauka, ani użyteczną dla wszystkich, ani też prawdziwie postępową być nie może, dopóki pozostaje przywilejem i tajemnicą jakiéj korporacyi albo pewnego w społeczeństwie stanu. Wzniosłe to przekonanie jest dopiero zdobyczą obecnego stulecia, w którém ustaliło się rozległe pojęcie człowieka, społeczeństwa i państwa,—w którém zwiastuni dobra i prawdy głoszą: że pomyślność ogólna zależy w ostat-

niéj instancyi od tego wychowania i ukształcenia, jakiego społeczeństwo dostarcza swemu pokoleniu młodemu,—i w którém w obliczu świata całego Juliusz Simon proroczo mówi: „Naród, mający najlepszè szkoły, jest najpierwszym narodem; jeżeli nim dziś nie jest, będzie nim jutro.“

U progu jednak tych wszechludzkością tchnących pojęć, pod koniec wieku zeszłego, strasznie się zawahał świat uczony w ocenieniu owoców nauki i oświaty. Zdawało się, że ludzkość błędnemi poszła tory, że kultura ówczesna sztucznemi się tylko blaskami pokryła, odwodząc zarazem ludzi od pierwobytnéj przyrody, od szczęścia, które w pierwotnéj ich spoczywało niewinności. Znaleźli się myśliciele zwątpiali, pragnący jednak ogólnego dobra, jak J. J. Rousseau, którzy całą winę przewrotów społecznych, klęsk i opłakanego stanu warstw niższych narodu, składali na sztucznie wyrobioną oświatę, na nauki i sztuki, zdające się raczéj psuć niż oczyszczać i uzacniać obyczaje. Lecz poglądy takie były wynikiem niejasnego kierunku ówczesnych umysłów, były oznaką nieustalonych jeszcze dostatecznie, że tak powiem, wszelkich sprężyn cywilizacyjnych, które dopiero wiążąc się z sobą harmonijnie i wspomagając się wzajem, mogą dzieło oświaty mistrzowskiém uczynić.

Dość jest bowiem rzucić okiem w dzieje przeszłości, żeby się przekonać, iż w ogóle oświata ściśle się wiąże z pochodem i ulepszeniem się całéj ludzkości. Gdy najprzód panowała siła fizyczna wraz z wojną będącą jéj objawem, całe massy narodów rosły w ciemnocie, zaniedbaniu, w niewolników się zamieniały, — a jeżeli troska o tychże dobro materyalne nie przyszła nawet na myśl wyższym warstwom ludności, czyż można się było spodziewać by najmniejszego zakłopotania się ich o rozwój duchowy tych upośledzonych mass, krórym odmawiano nawet nazwy człowieka? Prawo silniejszego z całym orszakiem żądz i namiętności zwierzęcych, będąc na on czas jedyną dźwignią społeczną, nie przypuszczało wartości jednostek,—a społeczeństwo i państwo jeśli powstały, to się węzłem przemocy spajały jedynie. Wszelka też niegodziwość była uprawnioną, jeżeli tylko społeczeństwo mogło z niéj korzyść osiągnąć. „Biada zwyciężonym!“ było hasłem barbarzyńskich, kastowych społeczeństw.

Mimo to jednak wiedza w ludzkości istniała; szła ona prądem owych rzek podziemnych, które w swym biegu zmuszone zawałami drożnemi skryć się pod ziemią, wypływają znowu w innéṁ miejscu, wciąż naprzód, na świat boży już jako szersze, potężniejsze i czystsze. Dwiema głównemi postępowała ona w ludzkości

drogami: słowem ustném i słowem pisaném. Nauka w czasach pierwotnych z pokolenia na pokolenie tylko drogą podania przechodzić mogła. Ustne te drogi oświaty, zasilane tradycyą i doświadczeniem, wprawdzie są nader szerokie, ale też i nader powolne, bo ograniczone zazwyczaj do ciasnych kółek bezpośredniego działania. Nierównie chyżéj postąpiła oświata słowem pisaném, za którego sprawą wiedzę zdobytą nietylko przechowywać, lecz i rozkrzewiać łatwiéj.

Przeminęły jednak całe epoki, nim ród ludzki przyszedł do sposobu, jasnego i szybkiego wyrażania swych objawów uczuć i myśli, za pomocą pisanego słowa; zdobycze bowiem moralne muszą iść w parze ze zdobyczami środków materyalnych.

Co więcéj, ta wiedza i nauka spoczywając przeważnie w posiadaniu kasty kapłanów, nawet między nimi rozdzielała się tylko w pewnéj mierze. Kto chciał stanąć u ołtarza ówczesnéj wiedzy, musiał przejść straszne, tajemnicze próby i doświadczenia. Dość tylko wspomnieć o tajemniczych podziemiach u Staro-Persów, o podziemnych świątyniach kapłanów egipskich i wreszcie o gradacyjnych takichże przybytkach Tajemnic Eleuzyńskich u pierwotnych ludów Grecyi.

Gdy już utworzyło się państwo, jak u Greków, przybierające kształty więcéj ludzkie, natenczas wyżsi umysłem przedstawiciele społeczeństwa pojęli, że istotna wielkość i potęga państwa zależy nietyle od siły orężnéj, ile od rozwinięcia i mocy ducha ludności, od skarbów umysłowych obywateli, bez których i skarby materyalne są niemożliwe. Wspaniałe też widoki dla oświaty odsłonili dopiero mieszkańcy Hellady, zniewoleni pięknem niebem, otaczającą ich przyrodą i fizyczném położeniem krainy, do wypowiedzenia zachwytu w sztuce i złożenia skarbów w nieśmiertelnych objawach ducha swojego. Cywilizacya grecka prowadzi człowieka do uznania, że główna różnica pomiędzy ludźmi zawisła nie na urządzeniu kastowém, zasadzającém się na zewnętrznym fakcie urodzenia, ale na stopniu rozwinięcia, którego dostąpi oddzielna osobistość. Tylko bowiem Grek ukształceniem odróżniał się od barbarzyńca, wolny od niewolnika, Ateńczyk od drugiego Greka. Rozwój grecki nosi na sobie piętno ludzkości w tym stopniu, jakiego nie napotykamy u narodów azyatyckich, i który stanowi główną różnicę kultury europejskiéj od azyatyckiéj. Cel wychowania i ukształcenia zasadza się tam na zgodnym z sobą rozwoju zewnętrznych i wewnętrznych sił i zdolności człowieka, na harmonii jego fizycznéj i duchowéj istoty, na pięknie. Lecz w Grecyi oddzielna osobistość istnieje dla państwa i niém się pochłania; we-

dług poglądów greckich wszyscy obywatele składają jednę rodzinę, ztąd téż wszystkie dzieci należą tam do państwa, które powinno wyłącznie się troszczyć o ich wychowanie i wykształcenie. Poglądy te urzeczywistniają się u jednych ludów greckich silniéj, u drugich słabiéj; najjaskrawiéj zaś ujawniają się wśród plemion doryckich, mianowicie w Sparcie i na Krecie. Pogląd, że człowiek jest obywatelem istniejącym tylko dla państwa, u plemion tych doszedł do granic ostatecznych, tak że pojedyncza osobistość z wyjątkiem stosunków domowych nie miała prawie swobody rozporządzania sobą: żyła i rozwijała się tylko w państwie i dla państwa. Ztąd też i kształcenie młodego pokolenia musiało otrzymać odpowiedni charakter i kierunek, a prawo państwowe było zarazem prawem przepisującém sposób wychowania i kształcenia narodu, na wyłączną korzyść państwową. Całą usilność kierowano głównie ku temu, aby dzieci wzrastały na silnych, zdrowych i zdolnych do boju z wrogami członków społeczeństwa. Prawodawca spartański, Likurg, zostawiwszy względy moralności na dalszym planie, uprawniał i zniewalał nawet, w widokach państwowych, na pokalanie świętości rodziny i małżeństwa. Rada starców wydawała zawczasu wyrok, czy narodzone dziecię należy rozwijać daléj, lub też jako słabe i wątłe rzucić w otchłanie rzeki. Ocalonych od śmierci synów w 7-ym roku życia odrywano od łona macierzyńskiego i do lat 30 wychowywano publicznie, wspólnie, jednakowo, machinalnie, na zasadach jednak zupełnéj równości obywatelskiéj. Wychowanie to surowe, zaprawiało młodzież do prostoty obyczajów, posłuszeństwa prawu, przyuczało do wszelkich niewygód, wyrabiało charakter męzki i wszelkie przymioty nieustraszonego wojownika; lecz niezdolne było wyrobić samodzielnie kroczących i doskonalących się istot. Słowem, w wychowywaniu młodzieży spartańskiéj zwracano głównie uwagę na rozwój dwóch sił człowieka: fizycznéj i estetycznéj; wewnętrzna, umysłowa strona, zasadzając się tylko na jakiém takiém czytaniu, leżała odłogiem. Likurg pragnąc jedynie mieć nieustraszonych żołnierzy, w walce z azyatyckimi wrogami, wypędził z miast wszelkie nauki. Gimnastyka jedynie, jako utrzymująca zdrowie i rozwijająca siłę cielesną tak w chłopcach jak i w dziewczętach, oraz muzyka równoważąca ducha z ciałem i łagodząca surowe objawy tamtéj, zajmowały wielce poczestne miejsce w kształceniu Spartan. Muzyka nie stanowiła, jak dzisiaj, wyłącznego zajęcia pojedynczego człowieka, lecz w całéj Grecyi ściśle się łączyła, tak jak i taniec, z życiem narodu, z jego bytem społecznym i religijnemi uroczystościami; obowiązkiem jéj przy-

tém było obudzać odwagę i miłość ojczyzny. Tak więc muzyką i gimnastyką jako obowiązkowemi przedmiotami nauki zajmowało się państwo, a dwa te zajęcia wraz z poezyą i poniekąd prawem, były głównemi źródłami oświaty.

W Atenach wszakże i w ogóle u ludów jońskiego pochodzenia, wychowanie młodzieży przyjęło łagodniejsze, więcéj postępowe kształty; osobistość i jednostkowa swoboda człowieka dostąpiły tam większego rozwoju; ztąd też wychowanie w Atenach nie było tak wyłącznie wspólném i uniformowém jak w Sparcie. Powoli téż u Ateńczyków, mianowicie od czasu Sokratesa, duch otrzymał stanowczą przewagę nad ciałem; rozwijały się tu już nie zacieśnione, ateńskie tylko, ale i ogólnie ludzkie idee; Ateny stały się źródłem wiedzy i szkołą dla całéj ludzkości. Młodzież tamtejsza, któréj dozwolono kształcić się w domach rodzicielskich, od 18-go roku życia swego przyjmowała udział w sprawach publicznych, jako już samodzielne i od rodziców niezależne istoty. Obok tego, Ateńczyk prawem był zmuszony do wychowywania swych dzieci niepełnoletnich; ojciec, który nie nauczył syna jakiegobądź rzemiosła, tracił prawo być utrzymywanym w starości przez niego. Nawzajem dzieci, pod karą surową, obowiązane były posłuszeństwo i szacunek okazywać rodzicom. W ogóle stosunek dzieci do rodziców wedle praw Solona, zasadzał się po większéj części na wdzięczności dzieci za otrzymywane dobrodziejstwa od ich życiodawców. Pierwiastek zatém moralny większego dostąpił tu uznania; szanowano więcéj obyczaje niż w Sparcie; prawa przestrzegały przyzwoitości na igrzyskach publicznych. Oprócz względów utrzymania w harmonii rozwoju fizycznego i estetycznego, a także poniekąd i siły myślenia, téj głównéj zasady greckiéj w ogóle oświaty, Ateńczycy jeszcze pod przymusem nakazali naukę czytania i pisania ze wzorów Homera, Ezopa i innych poetów. O ile też świadomość ojczystéj literatury była rozpowszechnioną w narodzie, można wnieść z téj już okoliczności, iż żołnierze ateńscy wzięci do niewoli w czasie wojny peloponezkiéj w Sycylii, przez to tylko ocalili życie swoje, że powtarzali biegle swym panom utwory Eurypidesa.

Prócz tego w Atenach życie urozmaicone więcéj, i nietak jednostajny rozwój wychowania jak w Sparcie, przytém liczniejsze potrzeby, wszystko to dało popęd do różnorodniejszych zajęć wymagających wyłącznego przygotowania i oddzielnych nauczycieli, specyalistów. W skutku tego wyrobiło się tam pojęcie o sztukach wyzwolonych i niewolniczych; pierwszemi zajmowały się bogate,

drugiemi niższe warstwy społeczne. W ogóle zaś hańba spadała na tego w Atenach, kto nie umiał żadnéj professyi lub kunsztu (1).

Lecz prawodawstwo ateńskie nietylko od rodziców wymagało odpowiedniego wychowania i kształcenia dzieci; troszczyło się także o sieroty, stanowiąc dla nich opiekunów, mających nadzór nietylko nad ich majątkiem, ale zajmujących się jednocześnie też ich ukształceniem; dzieci zaś poległych w boju obywateli kosztem państwa wychowywano, w czém wszystkiém widzieć już można zaród filantropijnych ochron i przytułków, tak pomyślnie się rozwijających w bliższych nam czasach. W Atenach też nauczycieli w ogóle stanowiła władza rządowa i wyznaczała nawet po szkołach godziny nauki. Jak szanowano te przybytki wiedzy, dość wspomnieć, że śmiercią był karany każdy obcy, gdy wszedł do szkoły, w któréj się jeszcze znajdowały dzieci. Sprosne zresztą nałogi wymagały takiego zbytku surowości.

Co się zaś tycze wychowania dziewcząt, to prawodawstwo ateńskie nie zwracało na nie żadnéj uwagi nawet pod względem fizycznego rozwoju jak w Sparcie; rolę kobiety ateńskiéj ograniczono do domowych zajęć; kobieta u Greków była na to stworzona, żeby jedynie zdrowe rodziła dzieci. Pomimo jednak wadliwości w kształceniu dzieci ateńskich, widzimy, że nietylko oświata państwa, lecz i jednostek była celem wychowania; pojedyncza osobistość, dojrzewając tu w życiu samodzielniejszém i swobodniejszém, łatwiéj się naginała do wpływu czasu, różnorodnych stosunków i potrzeb, łatwiéj téż ulegała reformom w dziele wychowania. Ważniejsze z nich spełniły się pod działaniem filozofów: demokratycznego Sokratesa, a potém Platona. Sokrates wykłada nową siłę w człowieku—sumienie; wykazuje wewnętrzną wartość człowieka wyższą, niż jest fizyczna; ztąd też młode pokolenie pod wpływem téj nauki, zapotrzebowało większéj już samodzielności, swobody i niezależności. Od czasu też Sokratesa przedmioty nauki się mnożą odpowiednio do jednostkowych dążności; już też prawo Solona, wymagające tylko od obywateli umiejętnego czytania, ostać się nie może; bogatsi poświęcają się odtąd muzyce, filozofii, etyce, matematyce, gimnastyce, konnéj i biegłéj rydwanowéj jeździe, a nawet i myśliwstwu; niższe zaś warstwy ludowe oddają się handlowi, rzemiosłom pośledniejszym i rolnictwu.

---

(1) Ob Antoniego Okolskiego: „O Stosunku Państwa do Oświaty Ludowéj." Petersburg 1872 r.

Pisma Platona jeszcze więcéj sprzyjały rozwojowi osobistości człowieka, a szczególniéj duchowéj jego strony. Wkrótce po nim, za Alexandra Macedońskiego, przejawia się nawet dążenie rozprzestrzenienia zdobyczy umysłowego rozwoju za pomocą nauk, i na inne narody, a zarazem zniweczenia w ten sposób różnicy między barbarzyńcami a Grekami. Lecz idealny Platon nie przypuszczał jeszcze pierwiastku ogólnéj ludzkości, a choć dopuszcza równość praw kobiety z mężczyzną, czyni to tylko w klassie ucywilizowanéj. Społeczeństwo bowiem greckie, wyrozumowawszy konieczną potrzebę rozlania światła na wszystkie warstwy narodu używające praw obywatelskich, nie umiało się jeszcze wznieść ponad powszechny wówczas poziom człowieczeństwa we względzie miłości i miłosierdzia. Twórca idealnego państwa Platon, ubóstwiwszy cnoty mądrości, sprawiedliwości, męztwa, pobożności, zamieszkawszy duchem w idei absolutnego dobra, zapomniał o praktycznéj stronie ziemskiego życia, którą starał się podnieść Arystoteles; przepisawszy zaś każdemu stanowi państwa cnoty właściwe, każe kupcom panować nad sobą, a rzemieślnikom cnotę uległości wyznawać.

W ogóle rzeczy biorąc, słoneczny obraz cywilizacyjnéj działalności Greków, przyćmiewa jeszcze rażąca chmura, a chmurą tą jest niewola, pokazująca się zresztą wszędy, gdzie świat klassyczny kwiatami posiał swą drogę. Swobody oświaty używali tylko właściwi obywatele greccy, mianowicie ateńscy, których liczba w czasach najświetniejszych dochodziła w Rzeczypospolitéj Ateńskiéj do 70,000, podczas gdy 110,000 niewolników, 60,000 meteków czyli cudzoziemców i mnóstwo osadników po wyspach, zupełnie praw obywatelskich było pozbawionych. Niewolnicy stanowili jedynie rzecz w ręku panów, a cudzoziemcy spotykali na każdym kroku szyderstwo i upokorzenie. Słowem, instytucye greckie wydały wielu Leonidasów, Epaminondasów, lecz jednym się tylko poszczyciły Sokratesem; nie wydali też Grecy ani jednego Franklina, Lankastra, Pestalozzego, lub Konarskiego, Kopczyńskiego, Staszica, bo też zaiste jeszcze nie był czas po temu.

Ludzkość jednak z trzema wielkiemi organami swemi: nauk, sztuk pięknych i przemysłu, zatrzymać się nie mogła w pochodzie ku lepszemu. Zabrawszy, co znalazła najistotniejszego u egejskich wybrzeży, poszła szukać nad Tybrem nowych zdobyczy. Rzymianie, jakkolwiek poszli daléj na drodze oświaty, nie spełnili jeszcze jéj zadania. Zgadzając się z Grekami co do pierwotnéj zasady, iż człowiek istnieje jedynie dla państwa i że powinien się odpowiednio do tego celu kształcić, nie przyznawali jeszcze samo-

dzielnego rozwoju jednostki; Rzymianin też, tak urobiony, w tłumie tylko obudzał podziw świata swą walecznością; pojedynczo ruszać się nie umiał. W skutku jednak usposobienia narodowego, obyczajów i szerszych już poglądów na świat i człowieka, Rzymianie w dążeniach cywilizacyjnych stali się więcéj praktycznymi niż idealni Grecy. Praktyczna ta strona ujawniając się w naukach utylitarnych, rozwijających rozum, rozsądek, unieśmiertelniła się w ich prawodawstwach, przed któremi uklękli potém tacy barbarzyńscy władcy, jak Teodoryk albo Alaryk, — a choć bez filozofii Greków ani na krok postąpić nie mogli, przecież przewyższyli ich szacunkiem kobiet, ich cnót, węzła małżeńskiego i przyznaniem prawa wychowywania dzieci matronom swoim. Ztąd téż wychowanie u nich stało się więcéj zadaniem rodziców i rodziny niż państwa. Matka, kierując nietylko zabawami, ale i poważnemi zajęciami dzieci do lat 15-u, starała się rozwinąć w nich zasady moralne i przygotować do specyalnych zajęć. Zapytana Kornelia matka Tyberyusza i Kaja Gracha, przez przyjaciółki: jakie ma do pokazania im najcenniejsze klejnoty w domu? odpowiedziała, wskazując oknem na dzieci swoje, bawiące się w ogrodzie: „Oto są najdroższe moje klejnoty." A takich Kornelii więcéj było w czasach potęgi Rzymu.

Wynalazłszy alfabet pisany, ze skróconemi nazwami głosek, Rzymianie wielką przysługę uczynili rozwojowi oświaty; do czasów Augusta stanowiła ona głównie zadanie prywatne; po nim staje się więcéj społeczną, publiczną sprawą. W pierwszym z tych peryodów młodzieniec po latach 17-u podlegający obowiązkowi służby wojskowéj, mógł być branym przez ojca na zebrania publiczne, nawet do senatu, aby się tam przysłuchiwał rozmowom starszych obywateli. Kształcenie jego, łącząc się zrazu ściśle z wychowaniem, zasadzało się na rozwinięciu w nim prostoty, wstrzemięźliwości, umiarkowania i innych tym podobnych cnót niezbędnych dla militarnego państwa.

Dla właściwego zaś kształcenia istniały w Rzymie szkoły, do których uczęszczały już i dziewczęta; ale zakłady te miały pomieszczenie nędzne; uczniowie w szałasach, na publicznych placach pobierali nauki, a czasami i na rozstajnych drogach, *in triviis*, z czego powstała nazwa trzech trywialnych nauk, stanowiących ogólną wychowania zasadę, mianowicie: gramatyki, retoryki i dyalektyki, tak jak szkoły *quadrivium* zasadzały się w wiekach średnich na arytmetyce, geometryi, astrologii i muzyce. Po wojnach punickich weszła w zwyczaj stała opłata szkolna za pobieranie nauk. Rzymianie, ucząc z gorliwością polityki i w ogóle nauk

praktycznych, służących do spełniania powinności obywatelskich z korzyścią dla państwa, wielką wagę przywiązywali do nauk matematycznych, których też wspaniałemi pomnikami dotąd przetrwały jeszcze wielkie łuki tryumfalne, drogi bite, akwedukty, odłamy cyrków, mosty lub termy. Nie w mniejszéj cenie mieli historyą ojczystą, mitologią, poezyą i obce języki. Było to jednak zasadnicze kształcenie tylko klass wyższych w społeczeństwie; dzieci warstw niższych pozostawały prawie bez żadnego ukształcenia; pozostawiono im jedynie gimnastykę tak jak i niewolnikom, z których atletyczni do zabawy tłumów powstawali gladyatorowie. Zresztą Grecy, upadłszy politycznie, nie przestawali być nauczycielami Rzymian prawie wyłącznie aż do Cycerona i następnych po nim retorów, poczynających, mianowicie od Juliusza Cezara, miejscowym przemawiać językiem.

W peryodzie drugim oświaty rzymskiéj, za Cezarów, Juliusz Cezar udzielił już godności obywatela rzymskiego nietylko lekarzom, dotąd wyłącznie będącym niewolnikami, ale w ogóle wszystkim uczącym sztuk wyzwolonych. Następnie cesarze urządzili biblioteki publiczne; szkoły, nauczyciele i nauki stały się przedmiotem troskliwości państwa, a municypia miejskie kosztem swoim utrzymywały nauczycieli. W początkach V-go wieku otwarto w Rzymie i Konstantynopolu zakłady szkolne, w moc dekretów Teodozyusza II-go i Walentyniana III-go, odpowiadające poniekąd naszym uniwersytetom. Rzemiosła jednak i handel długo uważano za poniżające; w czasach Konstantyna W-go jeszcze na zajmujących się cząstkową sprzedażą lub przemysłem, spoglądano jak na bezecnych; córki ich stawiano na równi z niewolnicami.

W ogóle zasadniczą myślą starożytnego świata było przekonanie, że człowiek nie istnieje w społeczeństwie przedewszystkiém dla siebie samego i swoich dzieci, ale dla państwa, że państwowe życie stanowi najwyższą działalność człowieka—że dobro państwa nieporównanie jest wyższe od pomyślności szczegółowéj osobistości. Ciasny ten pogląd zacieśniał się jeszcze więcéj dla tych, którzy nie byli dziećmi osób wolnych, żyjących w pełnem, obywatelskiém prawie. Nieposiadający praw pełnych osadnicy, chłopi lub niewolnicy, nie zasługiwali wówczas na względy społeczeństwa i państwa, a liczba ich coraz więcéj wzrastała, była ogromna. Ztąd też massy społeczeństwa rzymskiego rosły w ciemnocie, przeznaczone tylko do pracy fizycznéj, pozbawione nawet godności ludzkiéj, uważane na równi z innemi rzeczami; niewolników, używanych do posług domowych i rzemiosł, piętnowano rozpalonem żelazem—była to ich legitymacyjna karta.

Ukształcenie tych mass sponiewieranych, w mniemaniu Rzymian, stanowiło zamach na sam byt państwa, na istnienie klass wyższych. Żywić i karmić motłoch, w rozpaczy swéj czasami groźny, było jedném z głównych zadań rzymskich imperatorów; a chociaż ograniczony przemysł i obfitość pieniędzy podnosiły wartość pracy do ceny wygórowanéj, mimo to parobek, albo wyrobnik tamtejszy, zaledwie mógł całodzienną pracą zarobić na żywność grubą i niezdrową. Rzecz to niepomiernéj wagi była w narodzie, którego ³/₄ żyć musiało tylko chlebem, serem i rybami—pić wodę zaprawioną octem, wtenczas gdy taki Witeliusz trwonił miliony na swój stół jedynie.

Rzemiosła tylko, za ostatnich czasów rzymskich, praw względniejszych dostąpiły, gdy już przemysł rękodzielniczy przeniesiono od niewolników do ludzi wolnych. Wówczas rzemieślnicy jednoczą się w cechy w każdém mieście; lecz przyjętych w grona takowe, piętnowano, cechowano, na znak, że im nie wolno już nigdy z cechu wystąpić. Rolniczy jednak i wyrobniczy stan do ostatka podnieść się nie mógł; osadników przywiązanych do ziemi sprzedawano razem z ziemią. Właściciele gruntów naciskani niezmiernie wygorówanemi podatkami, wyrzekali się praw swoich i zmieniali się dobrowolnie w niewolników: nie brali ich już bowiem wtedy pretorowie—poborcy—na najstraszniejsze tortury dla wydobycia podatku, którego zapłacić nie mogli.

II.

Lecz zasady takie, poniżające ludzkość, utrzymać się nazawsze nie mogły. I oto na ostatnich krańcach Cesarstwa Rzymskiego, w maleńkiéj krainie Judei, rozległ się głos Oczekiwanego przez narody, który zwiastuje: że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Boga, że wszyscy oni są braćmi. „A ktobykolwiek — mówi serdecznie—dał się napić jednemu z *najmniejszych* kubek zimnéj wody, zaprawdę! nie straci ten zapłaty swojéj.“ Wówczas na ruinach starego, pogańskiego świata, począł się wznosić świat nowy chrześciański; natenczas też poczęła się sypać w ruinę różnica między wolnym a niewolnikiem; wtenczas niewolnik mógł pomyśleć o oświacie, wtenczas bowiem wszyscy ludzie nabyli równego prawa do ukształcenia. Bozki mistrz ludzkości przyniosłszy reformę moralną, nie polityczną, poucza wzniośle: „iż nie przyszedł na to, aby mu

służono, lecz aby sam służył.“ Cóż to za wzór dla wszystkich mistrzów młodocianych uczniów w tém prostém, a pełném znaczenia stanowisku nauczyciela do uczącego się, dla którego dobra tamten winien nieść służby swoje! Odradzając społeczność, Chrystus nauczał, że jedynie przez *odrodzenie obyczajów* przyjść można do ulepszenia powszechnego; w czém znowu wielka spoczywa przestroga tak dla jednostek jak i dla narodów. Przyznając też każdemu człowiekowi sumienie jednostkowe, wkłada na każdego obowiązek doskonalenia siebie. Od téj wielkiéj epoki nowych idei i pojęć, musiał świat spojrzeć inaczéj na wychowanie i kształcenie dzieci; bo aczkolwiek Chrystus nie stworzył nowego jakiegoś systemu kształcenia ludzi, ani też szkoły w jéj właściwém znaczeniu; w nauce przecież Jego kryły się zasady, które i teraz jeszcze stanowią kamień węgielny nowego społeczeństwa. Mówiąc, że wszyscy ludzie są bożymi synami, że królestwo Jego nie jest z tego świata, nakazując ludziom być tak doskonałymi jak ich Ojciec w niebiesiech, dał jasną wskazówkę, iż każdy człowiek mieć powinien *cel własny*, o którego dopięcie troszczyć się powinien, i stworzył tém samém z niego samodzielną istotę. Zwracając się zawsze ze szczególną miłością do dzieci, żąda od rodziców ciągłéj troskliwości o ich wychowanie i mówi, że powinni uważać dziateczki swoje za dar niebieski. Wygłaszając podobne zasady, Chrystus dokonał przewrotu, stanowiącego epokę, nietylko we względzie ogólnie ludzkiéj swobody, ale i w sprawie wychowania i kształcenia człowieka, któremu poleca odpowiednio się rozwijać, doskonalić, aby został prawdziwym synem doskonałego Boga.

I zasady te przetrwały dotąd. Nie skruszył ich topór północnych mieszkańców puszcz, burzących Kapitol cezarów, nie zgładziła paląca ziemię stopa Attyli, nie zdruzgotały napady materyalizmu grubego.

Główne zadanie według zasad nowéj wiary stało się udziałem rodziny, podniesionéj teraz do stopnia wysokiego znaczenia w obliczu sakramentalnego małżeństwa. Ojciec rządzić się miał teraz w rodzinie nie srogością rzymską, ale miłością; główna zaś działalność wychowawcza jednoczyła się w sercu matczyném; Matka Chrystusowa stała się dla niéj ideałem chrześciańskiéj matki. Idąc tym wzorem, wzbudziły podziw nawet pogańskiego świata takie niewiasty święte, jak Monika matka Augustyna, Nonna matka Grzegorza Nazyanzeńskiego, lub Antuza matka Chryzostoma.

Lecz chrystyanizm stanąwszy teraz na czele cywilizacyi, nieprędko przeniknął w społeczność upadłych ludów rzymskich,

zgangrenowanych zepsuciem. Barbarzyńcy, zwyciężywszy Rzymian, do własnych wad przyłączyli wady zwyciężonych, ich występki, rozpustę, oszustwa, podłość i wszeteczność plugawą. Pogaństwo przekazało w opłakanym spadku niedorzeczne przesądy, zabobony; pozostała więc wiara w czary, wróżby, uroki. Wówczas cywilizacyjne dzieło kościoła zachęca do życia pobożnego, uczciwego, do zakładania klasztorów, pobudza do wstrzemięźliwości, żalu za grzechy, do pokuty. Ztąd też powstają trudne na pozór do zrozumienia sprzeczności: ten sam lud, który z tradycyi popuszcza cugle rozpuście i wszelkim nadużyciom, płacze nad grobami męczenników, wzywa pomocy Świętych i wierzy w cuda dobroci Bożéj.

Kościół chrześciański przyjąwszy wspaniałą rolę poprawienia moralności w ludach, w samych zaraz początkach swego istnienia zajął się zakładaniem tu i owdzie szkółek z czysto religijnym kierunkiem dla wzrastającego pokolenia, by je utrzymać w czystości nauki Chrystusa, i w których możnaby przygotowywać dzieci pogan do przyjęcia téj nauki. Pierwsza z tych *szkól* tak zwanych *katechumenów* powstała w Edessie, założona przez Protogenesa w końcu II stulecia. W III-cim wieku zjawiają się już te szkoły po wielu miastach Cesarstwa Rzymskiego. Uczono w nich, oprócz zasad chrześciaństwa, czytania, pisania i śpiewu kościelnego. Obok nich istniały jeszcze i szkoły pogańskie z więcéj świeckim kierunkiem, do których nawet i chrześciańscy rodzice nie obawiali się posyłać dzieci. Powstały też zaraz w początkach chrześciaństwa i *wyższe* zakłady naukowe katechetów, w których sposobiono uczniów na nauczycieli i do walki duchownéj z pogaństwem, oraz w celu rozszerzania chrześciaństwa. Najpierwszą z tych szkół założono w Alexandryi około 181 roku po nar. Chr., która pod kierunkiem Orygenesa doszła w III wieku do najświetniejszego stanu i w któréj uczniowie utwierdzali się nietylko w teologii, ale i w głównych naukach starożytności. Ta i inne podobne jéj szkoły zniknęły w V-tym wieku, żeby powstać znowu w nowym kształcie fakultetów teologicznych.

Tymczasem też poczęły się zjawiać i inne chrześciańskie *zakłady szkolne*, jako wytwór ascetyzmu ówczesnego, i zostające w ścisłym związku z *klasztorami* i życiem zakonników, których liczba, przeciwdziałająca zmateryalizowanym do ostateczności społeczeństwom ówczesnym, była tak wielką, iż w saméj Afryce do 100,000 zakonników się znajdowało. Każdy klasztor zakładał u siebie szkołę dla przygotowywania duchownych; uczono w nich darmo, a mogły też i świeckie osoby w nich się kształcić. Najważ-

niejsze zasługi w dziele ówczesnéj kultury Europy zachodniéj, wyświadczył zakon Benedyktynów, który dostarczył 24 papieży, a w epoce soboru Konstancyeńskiego przeszło 15,000 klasztorów posiadał. Św. Benedykt z Nursyi założyciel tego zgromadzenia, około 520 r. powstałego, nakazał zakonnikom ustawiczną, tak ręczną jako też umysłową pracę obok ćwiczeń religijnych; było to w czasach, kiedy próżnowanie uważano za chlubę, a pracę za nikczemność. Zakon ten zasłużył na potrójną sławę: nawrócenia Zachodniéj Europy (licząc w to Anglią i Szkocyą) na wiarę chrześciańską, wykarczowania lasów i zamiany ich na grunta uprawne tudzież rozniecenia na nowo, po dzikich wędrówkach ludów, światła i literatury. Zwabieni rękojmią bezpieczeństwa rzemieślnicy i chłopi zbiegali się pod ochronę murów klasztornych i wkrótce około tychże tworzyły się osady, miasteczka, często podnoszące się do stopnia miasta.

Jednocześnie gdy po miastach powstawały szkoły *biskupie* dla przygotowywania księży, a w części i dla osób świeckich żądających wyższego ukształcenia,— pojawiają się także i *szkoły parafialne*. Sobór z roku 529 uchwalił, aby proboszcze parafialni przyjmowali do swych szkółek młodzież i przygotowywali ją do spełniania urzędów duchownych.

Lecz we wszystkich tych szkołach kierunek był jednostronny, wyłącznie religijny; całe wykształcenie umysłowe tonęło w ideach klasztornych. O ile starożytność klassyczna, kształcąca młodzież dla celów świata ziemskiego wyłącznie, ani słyszeć nie chciała o życiu zaziemskiém, o tyle chrześciaństwo ówczesne najgłówniéj się troszczyło o pozyskanie królestwa niebieskiego, od chodząc często w swéj religijnéj żarliwości od zaleconéj przez Chrystusa prośby mającéj na widoku szczęście ludzkości i na ziemi, w słowach: „przyjdź Królestwo Twoje.“ Ztąd też nauka religii i teologii stała się jedyną podstawą kształcenia w nowe te-czasy. Chrześciaństwo z pogardą odwracało wzrok od starożytnéj kultury, w czém jednoczyli się i cesarze rzymscy, którzy przyjąwszy chrześciaństwo, w zapale nowych idei burzyli i wytępiali wszystko, co miało związek z antycznym światem pogańskim, choćby zabytki jego były jak najszlachetniejsze. Ztąd poszło, że choć po szkołach i uczono na klassycznych autorach, przecież więcéj baczono na wyuczenie się z nich gramatyki i retoryki, niż na zbadanie ich istoty rzeczy i rozwój dalszy prawd przez nich opracowanych. Dlatego też oświata w IV i V wieku znajdowała się w całkiem niepożądanym stanie.

Stosunek ten chrześciastwa do oświaty stał się ogólnym kierunkiem rozwoju umysłowego przez cały ciąg wieków średnich. I nie mogło też być inaczéj. Kościół wraz z duchowieństwem stawszy się wspólnym nauczycielem i wychowawcą średniowiecznych narodów, uprawiał umysły ludów dla celów, którym sam służył; ascetyzm wynikły z potrzeby chwili, oraz ustawiczna troska ludów o własne bezpieczeństwo — były głównemi dźwigniami ówczesnych społeczeństw. Kościół zaradzał najpierwszym i najgwałtowniejszym na razie potrzebom: krzewiąc światło nowéj wiary, łagodził obyczaje, potępiał niewolę i zachęcał zwycięzców do ludzkiego obchodzenia się ze zwyciężonymi w tych czasach ogólnych rozbojów. Duchowieństwo, składające się ze wszystkich stanów, bez różnicy człowieka wolnego od niewolnika, równe okazywało usługi upadłym Rzymianom jak i barbarzyńcom i w ogóle sprawie cywilizacyi, jakkolwiek nie wpływało na różnostronniejszy rozwój umysłowy kształcących się pokoleń.

Nastały w V wieku jeszcze gorsze czasy dla starożytnych zabytków oświaty. Upadła ona prawie całkiem w epoce *wędrówek* i napadów barbarzyńskich ludów. Pod razami ich ostatecznie runęło zgrzybiałe, pozbawione siły żywotnéj Cesarstwo Rzymskie. „Zdawało się, jak powiada Wohlfarth, że Niebo się wtedy uwzięło na zniszczenie wszelkiéj kultury; zdawało się wówczas, jakoby wszystkie moce piekielne spiknęły się przeciwko naukom i sztukom, jakoby Opatrzność postanowiła wygładzić nawet zarodki przyszłéj cywilizacyi.“ Mogłaż więc pod owe czasy zrodzić się myśl o rozwoju umysłowym w ogóle, a cóż dopiero w warstwach pogardzonéj ludności, kiedy nawet istniejące podówczas szkoły całkiem upadły? Mimo to jednak wstrząśnięcie to straszne jak każda burza, przyniosło ważne korzyści z innego względu dla oświaty. W miejsce przeżytych narodów zjawiły się świeże jako przedstawiciele nowéj kultury: powstały nowe państwa, nowe obyczaje, zrodziły się nowe potrzeby, nowe prawa. Przewrót ten wycisnął piętno swe i na wychowaniu, które teraz stało się wyłącznie chrześciańskiém, a jedynym przedstawicielem oświaty, wzmożonym teraz, zjawia się kościół, który ją ma ocalić od ogólnéj zagłady i przechować dla przyszłych pokoleń. Nowe, barbarzyńskie ludy stają się jego wyznawcami i potęgę jego wzmacniają. Wszędy, gdzie chrześciaństwo przyjęte, kościół zakłada szkoły dla przygotowania księży i ukrzepienia ludów w nowéj religii. Św. Patrycy, apostoł pogańskiéj dotąd Irlandyi, zakłada w r. 412 klasztory, a przy nich szkoły, gdzie wykładane są nauki czytania i pisania, obok przygotowań do życia zakonnego. Nie-

długo potem św. Kolumban posiał słowo Ewangelii w Szkocyi; zakon Benedyktynów zakłada klasztory w Anglii, Francyi, a przy klasztorach szkoły stają się nowém centrum oświaty.

Kościół swojemi prawami, dobrodziejstwami, przyczynia się w owe czasy wielce do zmniejszenia cierpień, do polepszenia społecznego i domowego życia. Za barbarzyńców cierpienia te dręczyły wielkie massy narodu rozsianego po wsiach i miastach jako osadnicy, chłopi i niewolnicy. Czynszowników sprzedawano jeszcze wraz z gruntami, na których żyli, i w ogóle klassa plebejska u swych panów jako rzecz się jeszcze uważała. Pan za rany lub obelgi swego niewolnika pobierał wynagrodzenie jak za drzewo ścięte lub bydlę zabite. Kodexa barbarzyńskie stanowiły kary za zabicie niewolnika równające się zapłacie za lepsze bydlę. Bito ich i zabijano, lecz już nie dręczono karami wyrafinowanemi, torturami, jak za rzymskich pretorów.

Powoli jednak zmieniać się poczęły rzeczy i w tym kierunku; Longobardowie odjęli panom prawo życia i śmierci nad niewolnikami, wyjąwszy wypadki określone ustawą. Przytém kościół ustawicznie za nimi przemawiał. Wizygoci nawet, pod wpływem chrześciaństwa, stanowią, że i niewolnik stworzony jest na obraz Boga. Kościoły coraz lepiéj uposażane przez monarchów i społeczeństwo, dawały tym nieszczęśliwym grunta za opłatą czynszów; naśladowano to powoli wszędzie. Nie zniknęła też zupełnie bez śladu i cywilizacya klassycznego świata. Społeczność rzymska rozprzężona, potém ożyła, będąc zwyciężoną, pokonaną, i utorowała sobie drogę, poprawiając i przekształcając zwycięzców; zatrzymała w pewnych miejscach instytucye municypalne, wszędy zaś pamiątkę dawnego przewodnictwa, przechowała literaturę, którą przyjęli jéj zdobywcy; od niéj też wzięli język do pisania praw swoich, jako nieświadomi pisania.

Bez względu jednak na cywilizacyjne działania sług chrześciaństwa, ogół oświaty ówczesnéj w nędznym zostawał stanie. Szkółki klasztorne i inne, w obliczu milionów rosnących w ciemnocie i pogardzie, były tylko, że tak powiem, oazami w średniowiecznéj pustyni; szkółki te zresztą prawie wyłącznie kierowały uczniów na przyszłych księży. Sami nawet duchowni tak nizkie posiadali wykształcenie, iż sobór w r. 747 wydał polecenie, żeby księża przy chrzcie św. byli w stanie przynajmniéj zmówić Ojczenasz i Skład Apostolski.

Taki stan ogólnéj ciemnoty istnieje po koniec VIII stulecia. Na tle ciemném tych czasów, światłem gwiazd pierwszorzędnéj wielkości błysnęli: Karol W. cesarz i Alfred W. król angielski.

Działalność Karola W. stała się pomnikiem dziejowym w rzeczach oświaty. Sam nieuczony, kochał nauki, a czując, że rozbite ówczesne społeczeństwa potrzebują wyrazistszego kierunku, zapragnął ściągnąć pod władzę państwa oderwane od niéj pierwiastki. Wielce religijny, wydaje w przymierzu z kościołem rozporządzenia obowiązujące zarówno tak zwycięzców jak i zwyciężonych. Czując niemniéj, iż oświata w narodzie rozwinąć się nie może, jeżeli podawaną nie będzie ludowi w języku ojczystym, wpłynął Karol na sobór moguncki, iż tenże dozwolił uczyć lud pacierza w ojczystym języku; spowodował też uchwałę soboru w Tours polecającą wygłaszać kazania w mowie ojczystéj; przytém zakłada szkoły wprawdzie nie ludowe jeszcze, i wskrzesza zaniechane nauki klassycznéj przeszłości. Obok tego stanowi kary na zabobony niedorzeczne albo nieludzkie; ukraca przywłaszczenia panów i ucisk ich wywierany nad ludem. Ścieśnił też dowolność handlu niewolnikami, i postanowił, że żaden niewolnik nie może być karany inaczéj jak tylko na mocy prawa, już wtedy złagodzonego. Surowy dla Saxonów i Słowian ze względów religijnych i politycznych nie pozostawia jednak żadnego ze stanów społecznych bez opieki prawa; osusza bagna, wytrzebia lasy, buduje wioski, obudza przemysł i rękodzieła, a w każdym ze swych pałaców gromadzi rzemieślników wszelkiego rodzaju. Słowem, w osobie monarchy skupia wszystkie siły narodu, dla kierowania niemi według widoków cywilizacyi.

Działalność taka Karola W-go zapuściła zarody szerszéj oświaty, która też od téj epoki na zachodzie Europy poczyna zwolna zdobywać grunt sobie przyjazny, i rozwijać się wraz ze szkołami elementarnemi założonemi w IX wieku we Francyi i Niemczech. Za tego monarchy pojawił się pierwszy katechizm w języku, że tak powiem, romantycznym, bo miejscowym; kształtują się oraz oddzielne, wyraźnie zarysowane narodowości osiadłe na gruzach Cesarstwa Rzymskiego; dopiero też po zgonie Karola W-go można już było mówić o Francuzach, Niemcach, Włochach, Słowianach.

Równie szlachetny wpływ na ludzkość i oświatę wywiera Alfred W. w Anglii. Podobnież przekonany mocno o ważności kształcenia narodu, sam poeta i pisarz, troszczy się poważnie o umysłowy jego rozwój. Zatwierdza szkoły, buduje lub dźwiga z upadku klasztory z uczelniami dla osób świeckich; każe wykładać nauki świeckie i klassyków greckich, poleca uczyć dzieci wolnych obywateli przynajmniéj, czytania, pisania i śpiewu. Lecz epoka, która po tym krzewicielu światła nastała, przedstawia najopłakańszy

obraz w Europie zachodniéj. Nastała noc rażąca, w długie lata, po zniknięciu tych dwóch świetnych meteorów; rzadko kto z panujących lub duchownych mógł się poszczycić umiejętnością pisania; zdaje się, że wszystkie okoliczności sprzysięgły się na to, by wytępić całkiem zarody oświaty. Powstały wtedy system feudalizmu, choć zaprowadzał jaki taki porządek w stosunkach społecznych znajdujących się dotąd w ustawicznem wrzeniu, nie mógł jednak skutecznie oddziałać na rozwój umysłowy i oświatę narodów. Upadać też poczęły i szkoły pozakładane przez duchowieństwo parafialne; wzajemna nienawiść książąt i panów lennych, napady, zabory i ustawiczne wojny sprawiły, że nawet kościoły i klasztory nie mogły być teraz bezpiecznem schronieniem dla uciemiężonego ludu. Lenni władcy spoglądali obojętnie na jego niedolę; nakładanie nowych ciężarów na niego było im na rękę; tém mniéj zatém mogła ich obchodzić sprawa umysłowego wzmożenia ludu. Do jedynych pod owe czasy szkół biskupich, uczęszczały tylko dzieci szlacheckiego pochodzenia.

Nielepszy też był wtedy stosunek kościoła do oświaty ludowéj. Dążenia hierarchiczne, których system za Grzegorza VII-go doszedł do stopnia zupełnego wydoskonalenia, dążenia do zapanowania duchowego i moralnego nad światem i jego czynnikami, odwróciły baczność kościoła całkiem od potrzeb rozleglejszéj oświaty; zaniedbano sztuki i nauki klassyczne, a z ich upadkiem nastała epoka upadku i działalności benedyktyńskich klasztorów. Jedynie tylko u Arabów w Azyi i Hiszpanii kwitnęły nauki, sztuki rolnictwo, handel i przemysł; winniśmy im wynalazek algebry i zachowanie w te pomroczne, średniowieczne czasy, dalszego ciągu starożytnéj, klassycznéj oświaty. Przytém Koran obowiązywał każdego chłopca do czytania, a ztąd i szkoły niższe zakładane być musiały w Hiszpanii świeżo zdobytéj.

Wpływ działalności Arabów na kulturę europejską jeszcze się więcéj uwydatnił w czasach wojen krzyżowych, które koniec XI-go i początek XII wieku oświeciły zorzą nowéj epoki, pomyślniejszéj dla sprawy oświaty, tém więcéj gdy połączymy z niemi powstałe wkrótce uniwersytety i odrodzenie się nauk klassycznych

Wojny krzyżowe oddziaławszy z jednéj strony szkodliwie na rolnictwo, nauki, sztuki, oraz charakter ówczesnych społeczeństw, pobudzając je do fanatyzmu religijnego i zdziczenia obyczajów,— z drugiéj atoli strony przyczyniły się do wzmożenia idei państwowych, obudzenia handlu i silniejszego wytworzenia stanu miejskiego. Wtedy i dola niewolników znośniejszą się stała: wszyscy bowiem garnący się pod chorągiew krzyżową stawali się tém sa-

mém wolnymi lub doznawali usamowolnienia od panów. Przytém Wschód i Zachód przez 200 lat zwodzący boje, udzielały sobie wzajem poglądów, zwyczajów, potrzeb i środków zaradczych. Europa zaznajomiła się z pomnikami dawnéj kultury, która się schroniła w granicach Wschodniego Rzymskiego imperyum. Kościół rzuciwszy Europę w zapasy religijne z Azyą, w skutkach powiódł narody Zachodu na drogi cywilizacyi wyższéj, nowego rozwoju. Od téj epoki nabrały nowego życia europejskie narody, poczęły się odradzać nauki, przemysł i sztuki.

Wzrost miast i stanu miejskiego stał się teraz ważnym czynnikiem w rozszerzaniu na ogół światła i nauki, dostępnych dotąd wyższym jedynie warstwom społecznym. Rzecz naturalna, iż pomyślano najprzód o zakładaniu wyższych zakładów naukowych, uniwersytetów, albowiem dążenie do oświaty objawić się musiało wcześniéj w klassach wyższych narodu. Pierwsza wszechnica powstała w Bolonii w 1158 roku z 4-ma fakultetami; na prawach uniwersyteckich wcześniéj jeszcze założono (w końcu XI w.) szkołę medycyny w Salernie, a w 1200 roku zakwitła także szkoła teologii w Paryżu, która z czasem nabrała europejskiego znaczenia. W końcu XIII stulecia powstają i inne wszechnice i w różnych krajach Europy, zawsze za sprawą panujących lub świeckich i duchownych książąt, lecz za oddzielném pozwoleniem papieży, którzy zarazem obmyślali środki utrzymania dla tychże zakładów. Ztąd też kierunek uniwersytetów średniowiecznych przeważnie był religijnym, kościelnym.

Wpływ uniwersytetów na oświatę idzie w parze z oddziaływaniem nauk klassycznych odrodzonych po wojnach krzyżowych. Dante pierwszy dał w 13 wieku popęd we Włoszech do klassycznego kierunku, następnie Boccacio i Petrarka. Zdziczała średniowieczna społeczność znalazła w skarbach świata klassycznego zachętę do nauk; światło duchowe z Włoch rozszerzać się poczęło i na resztę Europy. Węzeł religijny Rzymu z Europą pomagał temu rozwojowi; znaleźli się naśladowcy włoskich klassyków po różnych krajach, a między innemi i w Polsce. W walce z filozofią scholastyczną średnich wieków, tak szkodzącéj rozwojowi umysłowemu, kierunek klassyczny wyszedł zwycięzko, odkrywszy Europie nowy, nieznany świat duchowy, i chorągiew tryumfu swego wszędy z godnością utrzymał dotąd, dopóki nie pokusił się zabić skarbów duchowych rodzimej przyrody w narodach.

Mówiąc o faktach, pod wpływem których rozwijała się oświata w średnich wiekach, należy nam jeszcze wspomnieć o du-

chu téjże oświaty i warstwach ludności, wśród któréj się rozprzestrzeniała.

Stan rycerski doszedłszy po wojnach krzyżowych, a przedewszystkiém w XIV wieku do najwyższego rozwoju, odgrywał podówczas wraz z kościołem najważniejszą rolę polityczną. Przyjąwszy charakter zasadzający się na rozwijaniu uczuć moralnych, rycerstwo powodowało się szacunkiem kobiet, miłością ich, wiernością swemu suzerenowi, walecznością; przymioty zaś te nabywało w skutku wychowania i kształcenia, mającego wyraz poetyczny, idealny. Początkowe nauki chłopię rycerskie pobierało na zamku u kapelana, który je uczył religii, czytania, a czasem i innych nauk świeckich. Dalsze wychowanie kończył młodzian rycerski w świecie, na zamkach panów. Kształcenie wszelako rycerstwa, nie zwracało uwagi na umysłowy rozwój człowieka, było ono więcéj idealném niż utylitarném, — charakterem zaś świeckim w pewnéj mierze stanowiło kontrast, reakcyą względem wychowywania z wyłącznie religijnym kierunkiem, którego kościół po swych szkołach uczniom dostarczał. Rzecz oczywista, że i tu świecko-idealne a w każdym razie powierzchowne wykształcenie rycerskie, nie mogło oddziaływać dodatnio na lud prosty, którego położenie społeczne całkiem inne miało zadanie i potrzeby niżeli u klass panujących.

Podobnież jak stan rycerski, mieszczaństwo poszczycić się nie mogło zadawalającym stopniem wykształcenia. Jednakże wzmożenie się tego stanu po wojnach o grób święty, z tego względu okazało się ważném, że mieszczanie śmieléj już mogli i w mury miejskie dawać wstęp oświacie. Miasta dążące do wyrobienia sobie bezpieczeństwa, przemysłu, handlu i nabycia wyższéj pomyślności, musiały nadać swemu rozwojowi charakter więcéj praktyczny, kierunek realny, więcéj zastosowany do narosłych teraz potrzeb społecznych. Miasta też pierwsze przy współdziałaniu władzy świeckiéj, poczęły urządzać szkoły już nie wyłącznie z religijnym, kościelnym kierunkiem, jak to miało miejsce w zakładach naukowych przez duchowieństwo utrzymywanych. Pierwszy przykład tych *szkół miejskich* spotykamy roku 1154 w Londynie; zaród kierunku świeckiego w wykładzie nauk rozwija się następnie, choć powoli, we Francyi, Niemczech i Włoszech, gdzie poczęto także zakładać szkoły miejskie.

Lecz szkoły takie były jeszcze nader rzadkie w stosunku do ludności; nauczyciele wypadkowo tylko mogli być dobrymi, nie kształciły ich bowiem jeszcze odpowiednie seminarya; pomieszcze-

nie uczniów i wewnętrzne urządzenie mniéj niż niedostateczne, a kierunek wyłącznie religijny i te szkoły owładnął pod sterem nauczycieli tylko z duchownego stanu. Pierwsi nauczyciele świeccy zjawiają sie we Włoszech dopiero w XIV wieku; wykłady jednak nauk wszędy jeszcze odbywały się w języku łacińskim, nieprzystępnym ludowi, a że w szkołach istniejących pod sterem duchowieństwa, episkopalnych, wymagalną była opłata, przeto i z tego już powodu były one niedostępne dla warstw ludowych, ubogich. Zdarzało się także, że nauczyciele wraz z pomocnikami swymi i uczniami nie znajdując tu i owdzie po miastach odpowiednich środków utrzymania, lub też z powodu niezadowolenia ludności, przenosić się musieli z miejsca na miejsce dla urządzania szkółek dorywczych; w niedostatku, tacy *scholares vagantes* wypraszali sobie jałmużnę, a gdy i téj brakło, rozbijali nieraz w głodzie po drogach podróżnych, by zdobyć trochę grosza na kupienie chleba.

W takim stanie rzeczy szkoły miejskie nie mogły dostąpić wyższego stopnia rozwoju. Nauki pisania bardzo skąpo udzielano po szkołach; pismo stanowiło sztukę przynoszącą znakomite dochody. Za przepisanie staranne Biblii można było wieś pod owe czasy dostać; znane też jest prawo angielskie ze średniowiecznych czasów, które skazanemu na śmierć winowajcy ocalało życie, jeśli się pokazało, że tenże pisać umiał. W szkołach jednak miejskich zwracano więcéj uwagi na naukę pisania i rachunków; ludność też miejska, zwłaszcza niemiecka, poczęła powoli i z wielkim trudem zakładać tak nazwane niemieckie szkoły pisania *düdesche scryfescolen*, w których dzieci uczyły się czytać i pisać wyłącznie po niemiecku. Były to pierwsze, skromne jeszcze próbki szkoły elementarnéj; lecz i te szkółki w obliczu wyłącznych praw nauczania przez duchowieństwo, mogły tylko potajemnie istnieć. Wprawdzie zaznaczyć można próbkę urządzenia szkół początkowych w uchwale synodu w Beziers z r. 1246, w moc któréj wszystkie dzieci od lat 7-miu powinny były uczęszczać do kościoła co niedziela dla nauki słowa Bożego; wprawdzie tegoż roku biskup w Chichester w Anglii, Ryszard, zażądał na synodzie założenia szkółek z wykładowym językiem ojczystym; lecz zamiary te wykonane nie były.

Cele ówczesnego społeczeństwa nie mogły się jeszcze w oświacie ogólnéj, a tém-ci mniéj w ludowéj zarysować wydatniéj; egoizm klass wyższych, działalność wszechwładnego duchowieństwa skierowana na drogi wyłącznie religijno-kościelne, duch podbojów i wzajemnych napaści — były najgłówniejszemi sprężynami wido-

ków owoczesnych. Wśród nich słabo się tylko mogły przejawiać potrzeby nauki rozleglejszéj, przemysłu i handlu.

W istniejących szkołach średniowiecznych, wyjąwszy kilku uniwersytetów, nauczyciele byli nieukami, przesądnymi, niepojmującymi swego zadania. W szkołach tych przedewszystkiém zwracano uwagę na naukę muzyki; bez jéj posiadania nie można było zostać księdzem; geografią zajmowali się tylko Arabowie w Hiszpanii; historyą stanowiły legendy, kroniki i życiorysy Świętych; nauki przyrodzone poczytywano w skutku panującego przesądu za wytwór diabła, a każdy zajmujący się niemi ulegał niebezpieczeństwu posądzenia o czary i wspólnictwo z siłą nieczystą. Słowem, wieki średnie, wedle słów Wohlfartha, dają nam wzorek, jaką być nie powinna oświata.

Pominąć jednak tego długotrwałego ustępu w dziejach ludzkości nie można, jeśli pragniemy wystawić przyczyny i skutki faktów popychających świat ku lepszemu, ku postępowi; żadna bowiem z chwil dziejowych nie mija bez pozostawienia ważnego materyału na przyszłość. Wieki też średnie stanowią dla oświaty zapasy *in crudo*. Skarbów umysłowości zaklętych, pilnował Boruta dziejowy, którego głowa była przesądem, serce zbiorowiskiem różnorodnych uczuć, począwszy od najszlachetniejszych aż do najpoziomszych, a kończynami organizmu — siła brutalna. Nadszedł czas, i tchnienie spotęgowanéj wiary, w przymierzu ze światłem wszem świecącego słońca — miłości, zwaliło w proch ducha zaklętych skarbów. Ludzkość poczęła z nich pełnemi dłoniami czerpać.

Klasztory, i w ogóle duchowieństwo i kościół — zachowały nam w skarbcu te resztki oświaty, które przekazała klassyczna przeszłość; w nim nagromadziły się pozostałości prac duchowych Greków i Rzymian wśród ogólnego kataklizmu spowodowanego upadkiem państwa Romy; spadkowe te ziarna działacze duchowni posieli na glebie barbarzyńskich, lecz nowych i żywotniejszych ludów.

W ogóle duchowni wieków średnich położyli niemałe zasługi dla nauk, filozofii, medycyny i sztuk, już to swemi pracami mozolnemi, już też pomysłami i gromadzeniem materyałów dla późniejszéj wiedzy; z drugiéj zaś strony, jako przeważnie zajęci celami religijno-kościelnemi, wprost nie mogli wpływać na wielostronniejszy rozwój i przeniknięcie światła do mass.

Lecz nietylko kościół zajęty trzymaniem w karbach i gorliwém umoralnianiem rozhukanéj ludności, ale i państwo w średnich wiekach nie zwracało uwagi na rozwój oświaty; pojedyncze, wznio-

słe działania nie mogły wywrzeć pożądanego w téj mierze skutku. Państwo jeszcze w zakres swéj obowiązkowéj działalności nie brało wtedy troski o oświatę narodu, pozostawiając duchowieństwu pieczę i kierunek nad szkołami w ogóle.

Do przeszkód niedozwalających w średnich wiekach oświacie ludowéj zapuścić głębszych korzeni w społeczeństwie, należy dodać brak środków kształcenia i pomocy naukowéj. Rękopisma nadzwyczaj drogie, często starczyć musiały w jednym egzemplarzu na całą szkołę. Dopiero wynalazek druku, przyprawiwszy skrzydła duchowi ludzkiemu, obniżywszy drogość książek, dał możność rozszerzenia oświaty. Zniknęły odtąd przestrzenie i przedziały czasu dla myśli ludzkiéj. Lecz nie zniknęły jeszcze nader ważne przeszkody inne: lud prosty statecznie w poniżeniu zostawał; patrzały jeszcze nań z pogardą klassy wyższe, a przemoc żywiołu militarnego i ustawiczne wojny na zdziczenie obyczajów wpływały. Któż-bo mógł pomyśleć o kształceniu mass pod owe czasy, gdy wielu królów nawet, a między nimi i ów Karol Wielki, gdy ów opiekun poetów i sam poeta Fryderyk Barbarossa, gdy daléj Filip Śmiały król francuzki, lub Jan król czeski — podpisać całkiem nie umieli swych nazwisk? Wszakże w wieku Dantego mnóstwo panów za cały podpis krzyżyki jedynie na dokumentach kładło, i tak wciąż do końca XIV stulecia spotykamy wzmianki, że ten lub ów nie podpisał się, bo „jako szlachcic pisać nie umie?“

Ważne odkrycia, wypadki dziejowe i wynalazki, przedewszystkiém sztuka drukarska, odrodzenie nauk klassycznych, jak niemniéj wszystkie zjawiska nowego ducha, wywarły ogromne dla społeczności skutki. Nastąpiło też wkrótce starcie przekonań religijnych i nowych dążeń, które wstrząsnęło umysłami całéj Europy. Reformacya, pragnąc jak najwięcéj zapaśników przygotować do walki z katolickim kościołem, zwróciła się w języku krajowym, zrozumiałym, do mass ludowych, wyrabiając umysły dla swych przekonań i celów. Z drugiéj strony wzmogła się też działalność duchowieństwa katolickiego w celu odparcia natarczywości protestujących, pociągająca społeczeństwa i państwa do wspólnéj obrony; zajęło się ono gorliwiéj wychowaniem młodego pokolenia we własnym kierunku. Z obu stron wreszcie wychodzą na świat Biblie i inne książki teologiczne tłómaczone już w narodowych językach. Ze zjawieniem się téj epoki w XVI wieku, język ojczysty staje się zasadą, choć jeszcze nie w zupełném urzeczywistnieniu, dla wykładów szkolnych; pojęto przecie, że naród, że lud bez uprawy przyrodzonego mu języka rozwinąć się umysłowo na żaden sposób nie może. Mnożą się odtąd szkoły miejskie i w części *wiejskie*; poczęto się domagać

reformy w nauczaniu; obok kierunku duchownego wchodzą żywioły świeckie w obszerniejszém znaczeniu. Społeczeństwo i państwo poczytywać zaczyna swym obowiązkiem zakładanie szkół i obmyślanie im środków utrzymania. Odtąd też, w wieku XVI, doznają wstępu do szkółek i dziewczęta, całkiem zaniedbane w starożytności, a w średnich wiekach tylko ze stanów wyższych tu i owdzie pobierające jaką taką naukę po klasztorach żeńskich.

Lecz do istotnego postępu szkół było jeszcze daleko; w średnich i wyższych, zwyczajem dawnym, przeważają jeszcze nauki klassyczne ze szkodą rodzimego języka; w niższych, brakowało odpowiednich nauczycieli; a w czasach krwawéj 30-letniéj wojny niszczącéj miasta, wsie i szkoły, postanowienia rządowe dotyczące urządzania szkółek z wykładem katechizmu w języku ludowym, w środkowéj Europie upadły, i znowu w XVIII stuleciu zatamowany został postęp oświaty przedewszystkiém ludowéj. Do ostatnich prawie lat wieku zeszłego prześladowano też jeszcze lud prosty za mniemane czary, pod powagą procedury sądowéj, używano jeszcze tortur i męczarń mniéj lub więcéj po wszystkich krajach z tém przekonaniem karzących sędziów, iż czynią dobrze.

Zakon Jezuitów w pierwszéj połowie XVI wieku powołany do obrony kościoła katolickiego od reformatorów, za oręż ku temu wybrał głównie nauki, i objął w swój zarząd szkoły, które też Jezuici urządzali swobodniéj, niż to się działo w dawnych, surowych szkołach klasztornych. Mieli też pewny wzgląd na potrzeby świeckiéj nauki, na hygienę, moralność. Lecz główną baczność i w tych szkołach zwracano na kierunek religijno-klassyczny i kosmopolityczny, z pominięciem uczuć bliższych, i zaniedbaniem nauk koniecznych w życiu człowieka. W obliczu takiego programu odrzucono całkiem w szkołach język ojczysty; chodziło głównie o to, aby w czasach rozbudzonych waśni religijnych i indyferentyzmu religijnego, jak najwięcéj przysparzać jedynie gorliwych sług kościoła. Przymiotami jednak stosunkowo postępowemi w saméj pedagogice i prowadzeniu zewnętrzném uczniów, szkoły jezuickie, szczególniéj w początkach istnienia swego, górowały nad protestanckiemi tak, że jak świadczy wspominany już nieraz Wohlfarth, urządzenie ich wpłynęło i na polepszenie szkół w protestanckiéj Europie. Następnie po uciszeniu namiętności religijno-politycznych 30-letniéj wojny, szkoły te całkiem upadły, a zakon, jak wiadomo, chybił powołaniu swemu i został przez bullę papiezką zniesiony.

Po zapanowaniu pokoju w 1649 r. wszystko, co stanowi żywotność społeczną, trzeba było budować na nowo i zająć się prze-

dewszystkiém przywróceniém zburzonego porządku i ładu społecznego. Otoż, w Niemczech władze państwowe stanowią komissye nadzorcze nad kościołem, a zarazem i nad szkołami, nad ich wykładami i stanem ekonomicznym; nadzór zaś najbliższy nad szkółkami elementarnemi powierzono proboszczom. Uchwały Wirtemberskie stanowią nawet przymusowe uczęszczanie do szkół, które jednak w smutnym się jeszcze znajdowały stanie i otwarte były jedynie w porze zimowéj, a nauki pisania nie wprowadzono jeszcze do nich. Słowem, w XVII wieku szkoły początkowe nie miały jeszcze ani jasno zakreślonego celu, ani też właściwego, samodzielnego istnienia. Dopiero pedagogom z 18-stulecia należy się zaszczyt wypracowania jasnego pojęcia o zadaniu szkoły elementarnéj.

(Dokończenie nastąpi.)

O ISTOCIE SZTUKI.

Napisał

ADAM CHMIELOWSKI.

Znakomitą większość ludzi myślących wszystkich czasów i epok, zajmowały pytania odnoszące się do sztuki. Tak się i dziś dzieje; nietylko estetycy piszą książki w téj materyi, ale każdy z ludzi oświeconych ma zwykle na swój osobisty użytek jakąś teoryą, bądź własną, bądź cudzą, i rzecz to jest całkiem naturalna, że przedmiot tak ważny, który tak wiele miejsca w życiu moralném świata zajmuje, zaciekawia umysły. Zdawałoby się pozornie, że po téj tak długiéj pracy i tak powszechnéj, powinnibyśmy już mieć skończoną i sformułowaną teoryą sztuki. Tak jednak nie jest; przeciwnie, zawikłanie pojęć na tém polu jest zapewne większe aniżeli na każdém inném. Témbardziéj praca na polu estetyki ciekawa i pożyteczna, bo sztuka wiecznie żyje, chybaby duch świata, który życie powoduje, uleciał. Sztuka jest tego ducha objawem — za taki uważały i uważają ją wszystkie podnioślejsze umysły.

„Zdaje się“ mówi p. Karol Blanc, członek Akademii Francuzkiéj (1), „że narody przeczuły, że ich sława będzie mierzona dziełami poety i architekta, rzeźbiarza i malarza, bo nie ma narodu, któryby nie szanował artystów, jako przyszłych świadków swojéj wielkości. Na pierwotnym Wschodzie i na dolinach Nilu, sztuka połączona z najwyższém kapłaństwem, była tak czczona jak wielki kapłan. W Grecyi, bajka o Prometeuszu porywającym ogień niebieski, żeby ożywić glinę, postaciowała wyraźnie podniosłe pochodzenie sztuki. Dlatego nie jest rzeczą dziwną, że najmędrszy z filo-

---

(1) Grammaire des arts. Paris 1870.

zofów, mistrz Platona, był rzeźbiarzem i że wymodelował trzy Gracye. U Hellenów poczucie religijnego szacunku było przywiązane do wspomnienia Fidyasza, i potomkowie tego wielkiego człowieka, mieli obowiązek z ojca na syna, pokazywać jako miejsce godne czci, pracownią gdzie wyrzeźbił Jowisza Olimpijskiego. Płaskorzeźba rzeźbiarza Alkamena była umieszczona w szczycie świątyni Eleusis. Miasto Pergam w Mizyi, kupiło z funduszów publicznych, pałac zrujnowany, żeby ocalić kilka murów, na których były jeszcze malowidła Apellesa, i mieszkańcy zawiesili zwłoki tego malarza sławnego w sieci ze złotych nitek.

Surowsi od Greków Rzymianie, odziedziczyli jednak od nich w części, szacunek dla artystów. Cycero opowiada, że Leliusz Fabiusz, który liczył pomiędzy swoimi tylu konsulów, i którego rodzina tyle razy tryumfowała, chciał podpisać swoje imię na malowidłach wykonanych jego ręką w świątyni Zbawienia, i dodał sobie przydomek Fabius Pictor. Nakoniec w czasach nas bliższych, najwspanialszy z niemieckich cesarzy, ten, który łączył w sobie dumę germańską i wyniosłość kastylijską, Karol piąty wymówił to głośne słowo: „Tycyan na to zasługuje, żeby mu służył Cezar.“

Jest wprawdzie w pewnéj sferze moralnéj teorya, która chce widzieć w sztuce rozrywkę umysłu, albo pożyteczną sługę nauki moralności, polityki, nareszcie religii. Nie sądzę jednak, aby było właściwie rachować się z takiemi teoryami — albo dyskutując je wkraczać w dziedzinę pojęć, z których te teorye wypływają; — za ciasny to świat.

Inaczéj jest jeżeli weźmiemy pod uwagę autora, którego przytaczałem. Uważa on takie pojęcia jak: ideał, piękno, wzniosłość— za elementa do budowy swojéj teoryi i wiele bardzo ludzi, buduje ją, nie tak dobrze, ale z tego samego materyału. Pojęcia jednak te są bardzo względne, każdy chętnie to przyzna. Niepodobna dowieść, dlaczego łańcuch gór daje widok wzniosły, ryk burzy na oceanie wzniosłą harmonią—dlaczego drzewo jest piękne, a inne brzydkie,—bo piękna w naturze we właściwém znaczeniu nie ma, ono tylko w nas samych — my je odnajdujemy i nietylko artyści z fachu.

„Ideał w nas, jest to wspomnienie poprzednio widzianéj doskonałości i nadzieja zobaczenia jéj jeszcze.“

„Sztuka nie jest naśladownictwem, ale tłómaczeniem natury, i jéj najwyższą missyą, jest objawiać piękno, którego natura posiada zarodki, rozjaśniać pomieszane, upraszczając to, co zawiłe w niéj.“

„Styl w znaczeniu ogólném jest to prawda typowa.“

„Piękno nie ma określenia jednego dla wszystkich sztuk.“

Oto są niektóre definicye pana Blanc. W nich się zawiera sens teoryi, o których mowa;—choć ciekawe same w sobie, nie są jednak wolne od pewnéj zawiłości filozoficznéj i nie każdemu dostępne, właśnie z powodu, że pojęcia użyte w téj teoryi za kamień węgielny są względne i jako takie niedosyć silną podstawę stanowią, a stosowane w praktyce nie przystają do bardzo wielu utworów sztuki pełnych zalet i uznania. Znacznie prostszą wydaje się być rzeczą przyjąć i uważać za dzieło sztuki każdy szczery i bezpośredni objaw duszy człowieka w jego dziele, czy dzieło, w którém dusza zaklęta, uważane materyalnie, będzie trwałe na tysiące lat czy razem z chwilą ulotne. Istota rzeczy zawsze jest jedna; wszakże Bóg objawia się jednakowo w drobnéj trawie i w wielości światów, tak i dusza człowieka, istota sztuki, objawia się zarówno w poemacie, jak w dobrze przedstawionéj przez aktora roli na scenie; piękna róża kwieciarki, dobrze noszona suknia, mogą mieć większe w sztuce znaczenie, aniżeli niejeden obraz i rzeźba: gustowny kląb drzew w ogrodzie więcéj wart często, niż duże gmachy z kamienia. Ani podobna zliczyć form, w których sztuka się objawia; tak ich wiele i tak rozmaite, że każdy kto człowiek, jest w pewnym sposobie artystą. Trudno przypuszczać, żeby sztuka ze swéj istoty była jakimś osobnym światem, udziałem niektórych. Gdzież miejsce dla takiego świata? Ani na ziemi, ani na niebie, najprędzéj w mózgu niektórych ludzi. Jeżeli więc sztuka wydaje się być czémś oderwaném od życia, wina to barbarzyństwa ludzi, fałszywych teoryi, nie zaś saméj sztuki. Téj nietrzeba się uczyć, trzeba tylko duszę swoję kształcić i podnosić. Wielki człowiek robi wielkie dzieło, mały człowiek i jego dzieła są drobne, bo twórczość, nie jest udziałem człowieka, chyba tylko w przenośni takby wyrazić się można. Udziałem człowieka jest siebie samego zakląć w słowo, kamień, tony—przez to jest nieśmiertelny nawet na ziemi, nie umiera, zostaje jako przyjaciel albo mistrz dla tych, co przychodzą po nim. Szereg tych przodków moralnych to bogactwo i szlachectwo ludzkości, nitka co ją łączy z Bogiem, droga do prawdy, to jedyny bezpośredni cel sztuki.

Jako antytezę sztuki prawdziwéj, wyrażającéj się przez styl czyli *indywidualność* duszy, można postawić sztukę fałszywą, udaną, wyrażoną przez manierę, sposób, sztukę nauczoną. Bywało tak i bywa, że sztuka epok całych lub indywiduów schodzi z tronu, żeby służyć nietylko myślom i rzeczom światowym, ale namiętnościom. Poniżająca to służba i złe usługi; upadły

anioł ciągnie społeczeństwa do upadku,—dosyć na dowód porównać historyą ogólną z historyą sztuki.

Styl właśnie, jest to szczerość, przyrodzony głos duszy, jéj kształt, jéj język; maniera to przedrzeźnianie stylu, to głos i język papugi, kalectwo kształtu.

Przedmiot dzieła sztuki nie ma z jéj istotą wspólności, wyjąwszy to jedynie, że zawsze od niéj zależy. Z wyboru przedmiotu można sądzić o umyśle artysty, ale nie o tém co artystę stanowi— w dziele sztuki obchodzi to co artysta czuł, nie to co myślał: czyż znawcę bardzo obchodzi tytuł symfonii, przedmiot architektury albo obrazu? zapewne obchodzi, ale z innych względów; dzieła sztuki są duchem i do ducha naszego mówią. Religia, moralność, dążenia naukowe, polityka epok i czasów, wpływają na przedmioty, które sztuka traktuje, ale przedmiot dzieła sztuki to tylko jéj zewnętrzna strona, to tylko jéj suknia.

Po tém co napisane, zaledwie potrzebuję dodawać, że sztuki pojedyncze uważane w znaczeniu ich ścisłém, zatém kiedy usuniemy pierwiastek ich mistyczny, są zdolnościami, które człowiek zdobywa za pomocą rozumu, woli, zalet organizacyi fizycznéj. Mają one niektóre prawa niezbite, są oparte na obserwacyi natury, posługują się nauką, są prawie naukami. Na zasadach tych nauk można pisać dobrze wiersze albo muzykę, malować i rzeźbić; produkcye te jednak nie są nikomu potrzebne ani pożyteczne i nie mają żadnego miejsca w sztuce prawdziwéj. Uważając rzecz odwrotnie, weźmy za przykład niektóre dzieła wieków średnich. Są pełne uroku, przez prostotę, naiwność i expressyą posuniętą do najdalszych granic, to ich styl, a jakże mało sztuki w znaczeniu ścisłém! Wielki Rafael o którym mówią, że w niektórych obrazach zobaczył niebo, nie zdołał dorównać expressyą naiwnemu Fra Angelico. Streszczam więc myśl moję: *Istotą sztuki jest dusza wyrażająca się w stylu.*

KRONIKA NAUKOWA.

Wolumetr, nowy przyrząd do badań fizyologicznych.

Przyrząd ten zbudował dr. Messo z Turynu, do celów bardzo specyalnych; w dalszym jednak ciągu badań, zakres funkcyi wolumetru bardzo się rozszerzył i zupełnie inne przybrał znaczenie. Stało się to tak niedawno, że wiadomość o tym przyrządzie nie jest jeszcze rozpowszechniona nawet w kółkach fachowych; jednakże badania za pomocą niego tak wiele obchodzą każdego człowieka, że uważamy za stosowne podać o nim wiadomość, choć to są dopiero początki jego historyi.

Z brzmienia saméj nazwy—dość niezgrabnie ukutéj, zapewne dla odróżnienia od wolumometru Regnault'a — każdy się domyśli, że aparat ten służy do mierzenia objętości. Specyalném jego przeznaczeniem jest mierzenie zmian objętości rozmaitych części ciała ludzkiego i zwierzęcego.

Zasada tego przyrządu jest nadzwyczaj prosta. W przestrzeni ściśle ograniczonéj i zamkniętéj, umieszczamy część ciała, którą badać mamy, np. kończyny. Następnie miejsce próżne wypełnia się wodą, mogącą z aparatu wypływać i wpływać do niego przez otwór znajdujący się w ściance. Jeśli nastąpi powiększenie objętości badanéj części ciała, to woda musi wypłynąć z naczynia dokładnie nią wypełnionego; jeśli objętość się zmniejszy, to naodwrót woda wpłynąć musi do naczynia. Ilość wody wpływającéj lub wypływającéj łatwo jest zmierzyć bezwzględnie lub względnie — łatwo więc otrzymać miarę powiększenia lub zmniejszenia objętości przedmiotu badanego.

Według téj zasady, można w bardzo rozmaity sposób budować wolumetr. Ponieważ dotychczasowe badania odbywały się głównie na ręce ludzkiéj, więc najdogodniejszém było urządzenie następujące:

Główną część stanowi poziomy cylinder metalowy lub szklany, tak wielki, aby mógł pomieścić w sobie ramię dorosłego człowieka. Do zamkniętego końca tego cylindra przystosowana jest rurka szklana cienkiego kalibru, mająca jeden metr długości. Przez drugi, otwarty koniec, wsuwa się ramię, a resztę otworu zamyka się kauczukiem w ten sposób, żeby krążenie krwi bez przeszkody się odbywało (w jaki mianowicie sposób—źródło, z którego czerpiemy tę wiadomość, nie podaje). Na początku doświadczenia przedmiot badany leży spokojnie, a aparat opisany znajduje się na stole. Koniec rurki zamyka się, i do cylindra pomiędzy jego ściany i ramię, wprowadza się letnią wodę, zabarwioną na kolor czerwony, przez otwór specyalnie do tego służący. Po szczelném zamknięciu tego otworu, otwiera się koniec wązkiéj rurki, przyczém nieco cieczy wchodzi do niéj; większa ilość nie może w nią wpłynąć z powodu ciśnienia atmosfery zewnętrznéj. Za pomocą bardzo prostéj manipulacyi podczas napełniania przyrządu można dowolnie regulować wysokość słupa cieczy w rurce wązkiéj. Każdy się domyśli, że wysokością słupa wody w rurce wązkiéj, mierzą się zmiany objętości przedmiotu badanego, gdyż każdemu powiększeniu lub zmniejszeniu przedmiotu w cylindrze, musi odpowiadać stosowna zmiana poziomu w rurce. Nadto znajdują się przyrządy do bezpośredniego mierzenia ilości wypartéj wody, zmian temperatury wody i do automatycznego zapisywania obserwacyi podczas nieobecności obserwatora.

Po rozpoczęciu obserwacyi, przedewszystkiém experymentatora uderzają rytmicznie powracające się małe wahania poziomu cieczy w rurce. Okazują nam one, że aparat nie puszcza bez pozostawienia śladu, nawet małych zmian objętości kończyny, pochodzących od ruchów serca, a więc wpływania i wypływania krwi z kończyny;—zjawisko, którego zresztą a priori można było domyślać się.

Inne jednak zjawiska są bardziéj interesujące, gdyż dają nam niejakie wiadomości o pewnych sprawach w ciele człowieka, niezbyt dobrze poznanych, pomimo największych wysileń najdzielniejszych umysłów. Mówimy o śnie. Wolumetr daje niejakie wskazówki w tym względzie, i kto wie czy nie wprowadzi badaczów na tór bardzo płodny w następstwa.

Wystawmy sobie, że człowiek poddany doświadczeniu, leży spokojnie, oczekując snu. Staramy się powiększyć jego senność przez usunięcie wszelkich dźwięków i światła, i skoncentrowanie tego ostatniego na apparat. Z początku widzimy tylko owe małe

wahania się słupa cieczy w rurce, pochodzące jakeśmy wspomnieli od ruchów serca. Nagle, w chwili utraty świadomości, zaśnięcia, słup wody szybko się wznosi na większą wysokość Przy następném uderzeniu pulsu, wznoszenie się jest również szybkie i wkrótce cała rurka zapełnia się wodą. Gdy już doszło do tego—za każdém następném uderzeniem pulsu woda z rurki ścieka kroplami na zewnątrz. Wnosimy ztąd, że serce wysłało znaczniejszą ilość krwi ku obwodowi ciała, że krew podczas snu pozostaje w częściach peryferycznych i że—obok innych zmian — powiększa objętość ręki. Krew ta została odebrana innemu organowi, w którym się znajdowała, gdy człowiek badany nie spał; zkąd przyszła—to dalsze doświadczenia objaśnią.

Powiększanie objętości ramienia przez krew przypływającą trwa około godziny: jest to peryod najgłębszego snu. Następnie, aż do ocknięcia się nad ranem, słup wody w rurce zaczyna się stopniowo obniżać. Ponieważ przyrząd tak jest urządzony, że woda, która z rurki wypłynęła napowrót do niéj wpłynąć może, więc podczas ocknięcia się, stan wody w rurce może być, i jest prawie taki sam jak przed zaśnięciem. Zjawiska opisane występują podczas snu spokojnego, często jednak słup cieczy znacznie się zniża i to mianowicie wtedy, gdy którykolwiek zmysł śpiącego zostanie podrażniony. Jeśli np. zbliżymy lampę do twarzy śpiącego albo dotkniemy się jego policzków chorągiewką pióra, lub wreszcie lekko stukniemy w stół, to w każdym z tych przypadków spostrzeżemy nagłe zniżenie poziomu cieczy w rurce, który dopiero po kilku minutach wróci do stanu poprzedniego. Zresztą, spostrzegamy także zniżenia poziomu bez przyczynienia się z naszéj strony, a pozornie nawet bez żadnéj przyczyny zewnętrznéj. Chcąc poznać przyczynę, natężamy uwagę i słyszymy, że jeden z lokatorów wchodzi na schody—śpiący usłyszał już poprzedzające ten szmer otwieranie i zamykanie bramy i zaraz oddziałał na poziom wody. W ogóle, w tych wszystkich przypadkach zmysły jego z matematyczną pewnością przyjmowały wrażenia zewnętrzne i uwidoczniały je w apparacie. Śpiący więc widzi, słyszy i czuje zewnętrzne zjawiska; nie dochodzą tylko one do świadomości, jeżeli nie są dość silne. Podobnie dzieje się i na jawie, gdy w zgiełku i zamęcie wielkomiejskim zaledwie mała część wrażeń dochodzi do naszéj świadomości, choć jednocześnie działają na nas setki wrażeń słabszych, choć je wszystkie widzimy i słyszymy.

Nadzwyczaj ciekawą jest obserwacya marzeń sennych. Nie tylko z miny i ruchów śpiącego poznajemy, że śni—i zmiana także

poziomu cieczy w rurce, przez swe nieregularne oscyllacye, zaznacza istnienie sennych wrażeń, ich siłę i czas trwania.

Tyle nam mówią ogólne obserwacye dokonane na śpiącym człowieku. Zdaje się, że na zasadzie tych danych, nie będzie zbyt hazardowną rzeczą powiedzieć, że podobne badania, daléj prowadzone, rozwinięte a może i udoskonalone, mogą nam dać bardzo cenny materyał, dotyczący natury snu i sennych marzeń.

Doświadczenia dokonane na człowieku nieśpiącym są może jeszcze bardziéj interesujące: apparat uwydatnia każde, choćby najlżejsze pobudzenie umysłu. Jeżeli człowiek leży spokojnie, będąc przez czas obserwacyi jednakowo usposobiony, to jest nieulegając naprzemian silniejszym i słabszym pobudzeniom, to w rurce widzimy tylko małe oscyllacye będące skutkiem ruchów serca i płuc. Jeśli zaś zadamy mu jaką małą pracę, np. każemy mu pomnożyć dwie liczby, lub też przełożyć jaki ustęp z języka cudzoziemskiego na inny cudzoziemski, to w chwili wzmożenia procesu umysłowego, spostrzeżemy opadanie słupa wody. trwające aż do skończenia pracy, poczém następuje stan normalny, Wnosimy ztąd że podczas myślenia krew z obwodu ciała odpływa, przenosząc się do innego organu. Podczas snu rzecz miała się przeciwnie.

Zachodzi teraz pytanie, który to organ przyjmuje krew podczas umysłowego procesu i w ogóle pobudzenia, a oddaje ją w czasie snu?

Po podaniu powyższych wiadomości o związku spraw umysłowych ze wznoszeniem się i opadaniem wody w rurce, zdaje się być zupełnie odpowiednim naturze rzeczy wniosek, iż mózg, będący substratem świadomości, jest owym organem, który przyjmując i wysyłając krew, zmienia objętość organów peryferycznych. Daléj, źródło, z którego czerpiemy te wiadomości, uważa za słuszny wniosek, iż głębokość snu jest proporcyonalna do ilości krwi wysłanéj przez mózg ku obwodowi ciała, i że odpływ jéj od obwodu, stosownie do ilości, oznacza sen słabszy, półsen lub ocknięcie się. Z drugiéj strony, dowiedziono, że podczas procesu myślenia, podczas każdego pobudzenia umysłowego, silniejszy strumień krwi, odciągnięty od peryferyi, przepływa mózg: powszechnie znany jest fakt, że podczas rozwiązywania trudnych zagadnień lub podniecenia w skutku egzaminu, czoło nasze staje się gorącém a twarz pokrywa się rumieńcem. Zresztą, nikt o tém nie wątpił, że mózg podczas pracy, tak samo jak każdy inny organ, potrzebuje znaczniejszego przypływu krwi, i dlatego też wniosek powyższy nie wydaje nam się wcale hypotetycznym.

W dalszym ciągu uwag nad tym przedmiotem, napotykamy wywody następujące:

Mózg na jawie zawsze pracuje, t. j. myśli, a każdy człowiek, który się obserwował, wie, że ani przez jednę chwilę na jawie nie można nie myśleć. Ciągła ta praca mózgu wymaga pewnéj normalnéj ilości krwi, i tylko większe natężenie umysłu sprowadza znacznie większy jéj przypływ. Najgłębszy sen, jak apparat na początku snu okazuje, powinien być bez sennych marzeń, albowiem i senne marzenie jest procesem myślenia, potrzebującym pewnéj ilości krwi, która podczas silnego snu na peryferyi się zgromadza. Dopiero późniéj, gdy nastąpi częściowy odpływ krwi do mózgu, występuje półsen i jednocześnie pojawiają się warunki półmyślenia, t. j. śnienia. Apparat okazuje, że można sny wywołać przez działanie na zmysły śpiącego; każde bowiem ich pobudzenie podczas snu sprawia przypływ kwi do mózgu, a jeśli jest dość silne i trwa dość długo, to krew, która przypłynęła, wystarcza do wywołania połowicznego myślenia, t. j. marzenia sennego, którego temat ma związek z wrażeniem przez pobudzenie sprawionem. Tak np. w przykładzie wyżéj podanym, o otwieraniu bramy i odgłosie kroków, może powstać sen o włamaniu się złodzieja, zbliżaniu się jego do pokoju śpiącego i t. p.

Po zupełnem ocknięciu się, mózg otrzymuje normalną ilość krwi i może myśleć normalnie. Jeśli jednak nagle rozbudzeni zostaniemy, to doznamy wrażenia przestrachu, niemożności zoryentowania się i trudności zebrania myśli; pochodzi to ztąd, że mózg w tém stadyum nie otrzymał jeszcze normalnéj ilości krwi, a więc normalnie myśleć nie może.

Znany fakt, że do każdego organu pracującego, przypływa większa ilość krwi, objaśnia w sposób powszechnie wiadomy, zjawisko pojawiające się przy trawieniu. Część krwi dopływająca do przewodu pokarmowego, zabierana jest nietylko z peryferyi, ale i z mózgu: ztądto owa ospałość i trudność myślenia po obfitéj biesiadzie, ztąd ów nieprzeparty niekiedy pociąg do położenia się i spania po jedzeniu u osób niedokrewnych i t. p. Trudno nie przyznać słuszności autorowi, któremu tę wiadomość zawdzięczamy, gdy mówi, że ten prosty apparat rzucający światło i wprowadzający miarę do zawikłanych zjawisk, wprawdzie po części innemi drogami zbadanych, po części tylko przewidywanych—że ten prosty mówię apparat przypomina jajko Kolumba: tak wielkie oddaje usługi przy swéj prostocie. Można mu rokować bardzo rozległe zastosowanie przy łóżku chorego i wnieść, że pozwoli nam wniknąć w genezę i przebieg wielu chorób, a przynajmniéj że

wprowadzi nas na nową drogę badania. Wszystko to cośmy wyżéj podali, było tylko, jakeśmy wspomnieli, początkiem badania, bardzo prymitywnym, w porównaniu z tém, czego dokonać mogą inni uczeni, gdy udoskonalą apparat, metodę i powiększą zakres poszukiwań. Wolumetr przy teraźniejszéj swéj budowie nie daje się zręcznie używać do obserwacyi lekarskich; ale konstrukcya wyżéj opisana nie jest jedynie możebną. Gdy szerokie koła uczonych uznają ważność tego przyrządu i téj metody badania, to prawdopodobnie, tak jak historya innych przyrządów wskazuje, wolumetrowi nadaną zostanie forma pozwalająca się nim posługiwać bez wielkich zachodów.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W południowo-zachodnim kącie kraju, wciśniętym między pruskie i austryackie granice, leży miejscowość zwana zachodnim okręgiem górniczym, z osadą główną Dąbrową.

W całéj okolicy, obejmującéj około 490 wiorst kwadratowych powierzchni, według opinii inżyniera p. W. Choroszewskiego, nie ma prawie piędzi ziemi, pod którą nie ukrywałby się węgiel kamienny, tworzący pokłady w jednych miejscach ledwie na kilka cali, w innych na 9 sażeni, przecięciowo zaś na 6 sażeni grube. Ogólną ilość tutejszego węgla ocenia p. Choroszewski w przybliżeniu na 190 miliardów pudów (*Przyroda i Przemysł*, 1872, Nr. 41).

W téj to okolicy, w r. 1796 rząd pruski otworzył pierwszą kopalnią węgla, dwie zaś inne powstały z inicyatywy Banku Polskiego między rokiem 1835 a 1842. Dziś kopalni jest już nierównie więcéj, pięć z nich należy do rządu, cztery do sukcessorów G. v. Kramsty, trzy do M. Stochelskiego, inne zaś do hr. Renarda, Kuźnickiego, Ciechanowskiego, L. Kronenberga i sp. F. Łapińskiego i sp., Grabiańskiego i Przybylskiego. Ogółem więc (w r. 1874) było 21 miejsc, z których wydobywano węgiel, nieicząc trzydziestu siedmiu takich, w których go dopiero odkryto.

Narażając się na to, że powtórzymy rzecz być może znaną niektórym z czytelników, pozwolimy sobie jednak zrobić kilka uwag ogólnych o okręgu górniczym zachodnim.

Węgiel napotykany w handlu, po większéj części pochodzi ze Szlązka; węgiel bowiem dąbrowski wydobywa się w ilości stosunkowo niewielkiéj i ledwie że wystarcza na potrzeby okolicznych hut cynkowych, żelaznych i innych tego rodzaju zakładów. W roku np. 1870 sprowadzono ze Szlązka 1,490,000 korcy, a w następnym 2,204,000 korcy, co nas przecięciowo rocznie bez transportu około miliona rubli kosztuje.

Skutkiem téj przewagi ilościowéj produktu zagranicznego, wytworzyła się opinia, że węgiel krajowy jest gorszy. Dr. K. Tabeński (Przyroda i Przemysł, 1872) zbija to mniemanie i twierdzi, że węgiel nie jest ani zły ani dobry, tylko że jest tego lub innego gatunku. W kopalni np. Ksawery, pokład węgla gruby na 6,22 saż. ross. składa się z 14 różnych warstw, z których połowa należy do gatunku najlepszego. Wreszcie p. Tabeński zestawia analizy, z których okazuje się, że kiedy węgiel kamienny przeciędnie zawiera około 79% czystego węgla, 4,8% wodoru, —11% — 14% tlenu, azotu i siarki,—a także 2 — 5% popiołu; nasz z kopalni Reden ma 82,7% czystego węgla, 5% wodoru, 10,67% azotu, tlenu i siarki, tudzież 1,5% popiołu. Innemi słowy i według oceny praktycznéj, funt węgla naszego zamienia w parę 8 funtów wody, choć proces ten zużywa ledwie 1/3 część jego siły ogrzewającéj, któréj reszta ginie.

Krótko mówiąc: największą wadą naszego węgla jest ta, że wydobywamy go zbyt mało i musimy się posługiwać obcym. Jak zaś drobną jest nasza produkcya w porównaniu z innemi, przekonywa najlepiéj tabliczka oparta na cyfrach zaczerpniętych z *Przeglądu Technicznego*.

W r. 1872 wydobyto węgla:

w Anglii	132,600,000	tonn.
„ Niemczech	33,006,000	„
„ Belgii	16,000,000	„
„ Francyi	15,000,000	„
„ Stan. Zjed.	43,000,000	„
„ u nas	291,000	„

przyjmując tonn równy 60 pudom.

Niemniéj pouczającemi są cyfry wskazujące produkcyą węgla w kopalniach rządowych i prywatnych.

	1872 r.	1873 r.	1874 r.	
Kop. rządowe	5,810,000	3,040,000	3,925,000	pudów.
„ prywatne	11,656,000	16,853,000	19,377,000	„
Razem	17,466,000	19,893,000	23,302,000	„

Z tabliczki téj łatwo wyprowadzić można dwa wnioski. Pierwszy ten, że produkcya ogólna a zarazem prywatna z każdym rokiem rozwija się; drugi—że kopalnie w rękach rządu będące upadają. Jest to rzecz bardzo naturalna; żaden rząd bowiem nigdy dobrym przemysłowcem nie był i nie będzie.

Z téj wychodząc zasady, rząd postanowił pozbyć się swych kopalń w Dąbrowie i ogłosił licytacyą na dzień 24 Czerwca r. b.

w Petersburgu. Licytacya ta stanowi właśnie główną kwestyą niniejszéj pogadanki, jako sprawa w wysokim stopniu interesująca ogół.

Warunki sprzedaży są następne:

Kopalnie węgla: Ksawery, Cieszkowski, Łabędzki i Nowa, tudzież fabrykę żelazną Huta Bankowa, z machinami, piecami, walcownią i pudlingarnią—oceniono na summę rs. 1,470,000. Licytacya rozpocznie się od 1,176,000 rs. Nabywca obowiązany będzie zapłacić 20% wartości w miesiąc po licytacyi, pozostałe zaś 80% albo natychmiast, albo też ratami w ciągu lat 25½ lub 36½. Prócz tego, przy kupnie, listy likwidacyjne wartujące obecnie 83% przyjmowane będą w cenie nominalnéj, przyczém nabywca naturalnie zarabia; nadto zaś: summa przypadająca za wyroby gotowe, materyały surowe i węgiel, wypłaconą być może w ciągu lat trzech bez procentu. Należy też wspomnieć o godnym pochwały warunku ze strony rządu, aby robotnicy dzisiejsi (około 900 ludzi) pozostali na miejscu, a przynajmniéj należeli do istniejącego już towarzystwa emerytalnego. Niemałą ulgą dla nabywcy jest okoliczność, że w ciągu lat 5 rząd brać od niego będzie rocznie do 2,5 milionów korcy węgla, po cenie jaką nabywca sam na miejscu naznaczy.

Warunki sprzedaży, jak widzimy, są bardzo przystępne.

Rozpatrzmy się nieco w szczegółach.

Huta Bankowa leży w okolicy, w któréj za pud rudy posiadającéj 36% żelaza, płaci się od 1½—2 kop.; węgiel też jest pod bokiem. Za czasów gospodarstwa bankowego robiono tam szyny do kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj. W r. 1871 wytopiono 172,551 pudów surowcu,—5,105 pudów odlewów—w walcowni zaś i pudlingarni przygotowano 53,028 pudów żelaza walcowanego. W roku 1872 fabryki działać przestały.

Wyznajemy, że cyfry te dla nas przynajmniéj nie są dostateczne, ponieważ nam nie objaśniają, jaki zysk powyższe operacye przynoszą. Przechodzimy do kopalni węgla.

Według *Przeglądu Tygodniowego* z r. 1875 Dąbrowa w roku 1867 wydała 1,188,000 korcy węgla. Ponieważ p. W. Choroszewski wagę korca oblicza na 6½ pudów, mamy więc 7,722,000 pudów.

W roku 1872 kopalnie rządowe węgla wyprodukowały 5,810,000 pudów.

W dwu następnych latach produkcya przedstawia się jak niżéj.

	1873 r.	1874 r.
Ksawery	243,000	2,871,000.
Cieszkowski	359,000	—
Łabędzki	605,000	554,000.
Nowa	619,000	160,000.
Razem	2,826,000	3,585,000.

Dla uzupełnienia obrazu dodajemy, że *Gazeta Warszawska* w Nr. 98 przypuszcza: iż przy umiejętnéj eksploatacyi, cztery te kopalnie wydać mogą rocznie 1,500,000 korcy, czyli: 9,750,000 pudów. O ile to jest prawdziwém nie wiemy; z tém wszystkiém średnia z cyfr powyższych wypada: 5,939,000 pudów. Przypuszczamy więc, że w ciągu pierwszych kilku lat po zaprowadzeniu porządnego gospodarstwa, tyle węgla kopalnie wydawać będą.

Z kilkunastu cyfr, jakie p. W. Choroszewski pomieścił w *Przeglądzie Technicznym*, odnośnie do kosztów produkcyi i ceny miejscowéj węgla, doszliśmy do wniosku, być może jednak błędnego, że na pudzie węgla zysk wynosi przecięciowo 0,92 kop.; dla okrągłości więc weźmiemy jednę kopiejkę.

Przy tym warunku, jeżeli przyjmiemy średnią roczną ilość wydobytego węgla około 6 mil. pudów, wypadnie, że przedsiębierca zyska około 60,000 rs. rocznie. Jeżeli zaś przyjmiemy cyfrę Gaz. Warsz. około 10 mil. pudów, wypadnie roczny zysk dla przedsiębiercy około 100,000 rs.

Przypuśćmy, że liczby te są prawdziwe, przypuśćmy jeszcze, że w sprawach tego rodzaju kapitalista chcący nabyć kopalnie rachować się musi tylko z interesami ekonomicznemi i zapytajmy: kto w tych warunkach kupi Dąbrowę?... Nasi czy obcy?...

W obecnych okolicznościach nasz kapitalista może pieniądze umieścić tak, że mu one przyniosą 8% do 10%, kapitaliści zaś obcy kontentują się 4% do 5%. Ztąd wypada, że kiedy nasz finansista za kopalnie Dąbrowy może dać 600,000 do 750,000 rs. bez wahania a 1,000,000 rs. po namyśle, to kapitalista obcy po namyśle może dać 2,000,000 rs., bez namysłu zaś 1,200,000 do 1,500,000 rs. Ta ostatnia cyfra jest właśnie ceną szacunkową kopalni, bardzo więc być może, że rachunki nasze są zbliżone do prawdy. Jeżeli tak jest, to posuniemy się jeszcze krok daléj i powiemy, że prawdopodobnie Dąbrowa przejdzie w ręce obcych.

Przez ciąg wielu pokoleń nauczyliśmy się pogardzać prawami ekonomicznemi, i otoż dziś prawa te mszczą się na nas!

Ponieważ nie chcemy, aby nas fałszywie rozumiano, dodamy więc parę objaśnień.

Cudzoziemiec: rzemieślnik, górnik, inżynier, kupiec, a nawet posiadacz ziemski, o ile przyczynia się do ogólnéj produkcyi, nie pozbawia chleba krajowców i osiedla się na miejscu,—nie tylko jest nie szkodliwym, ale jest nawet użytecznym dla kraju. Inaczéj jednak rzecz się ma wówczas, gdy naprzykład kopalnie węgla kamiennego nabywa cudzoziemiec, który nigdy się między nami nie osiedli, przyszle techników swoich, nie dopuści miejscowych, a tym sposobem pozbawi kraj co najmniéj połowy zysków z kopalni.

Człowiek od chwili, gdy ogień rozniecił i na pożytek swój go obrócił, wstąpił już na pierwszy, najniższy co prawda stopień cywilizacyi. Dopiero wówczas gdy posiadał węgiel kamienny, gdy użył go za dźwignią swoich machin, statków i lokomotyw — dosięgnął wysokiéj potęgi na ziemi. Może być, że kiedyś przybędą nam inne, jeszcze dzielniejsze źródła sił; tymczasem jednak bodaj czy nie większą część tego, czém się dziś chlubi człowieczeństwo, zawdzięczamy węglowi. Usuńcie węgiel, a wnet powstaną między ludami dawne przepaście, najużyteczniejsze machiny a zarazem najwznioślejsze dzieła rozumu, staną się niepotrzebnemi gratami, głód i choroby część ludzkości w ciągu kilkunastu lat wytępią, reszta zaś o parę wieków wstecz się cofnie.

Tego to bogactwa, tego źródła potęgi nowoczesnéj węgla, mamy niewiele: 190 miliardów pudów, co reprezentuje wprawdzie około 9 miliardów rubli wartości, lecz też wiele pokoleń obsłużyć musi. Dziś zużywamy węgla rocznie około 30 milionów pudów, ilość więc, którą mamy, wystarczyłaby nam z górą na sześć tysięcy lat. Jeżeli jednak zechcemy posunąć się naprzód i zużywać 6 razy więcéj węgla (w tym stosunku jaki istnieje we Francyi) wówczas węgiel nasz wystarczy tylko na lat tysiąc; gdybyśmy zaś chcieli szafować nim na wzór W. Brytanii, wówczas olbrzymia ta na pozór ilość, wystarczyłaby na niecałe półtora wieku!

Widzimy więc, że nie warto przypuszczać cudzoziemców do szacownych lecz dość ograniczonych naszych kopalnych skarbów. Dzieje się jednak inaczéj. W Olkuskiém, przedsiębiercy niemieccy nabyli 22 majątki posiadające około 50 tysięcy morgów powierzchni, pod którą znajduje się galman, żelazo i węgiel. Dziś znowu na Dąbrowę przychodzi koléj...

Pragnęlibyśmy omylić się. Być może, że do rachunków naszych zakradły się błędy, skutkiem czego zyski z kopalni wypadają za małe. Być też może, że finansiści nasi, rozumiejąc, że przyjdzie kiedyś czas panowania mniejszych procentów, poświęcą

dziś większe dla dobra przyszłości, i obcych współzawodników odsuną? Być może—a zresztą zobaczymy za miesiąc. W każdym jednak razie smutną w tym wypadku wróżbę stanowi fakt, że towarzystwo zawiązane w Warszawie w celu eksploatacyi węgla i w ogóle podniesienia górnictwa, jakoś akcyi swoich rozprzedać nie może i znowu termin przedłużyło na lat dwa.

Drugą kwestyą z zakresu gospodarstwa krajowego, o któréj wiele się rozprawiało i po dziśdzień rozprawia, stanowią lasy. W Królestwie Polskiém na ogólną ilość 22,7 milionów morgów ziemi, było (przynajmniéj w r. 1866) lasu 4,9 milionów morgów czyli 22%. Skutkiem tego podniosły się głosy, zaklinające ziomków, *respective* większych właścicieli, aby już nie wycinali lasów; tym bowiem sposobem popsują klimat i kraj zgubią na wieki; straszono też niebacznych widmem administracyi rządowéj.

Wbrew zgodnym pieniom licznego chóru, odezwał się jeden tylko głos oponujący. P. Henryk Wiercieński, w artykule o lasach pomieszczonym w *Niwie*, doszedł do różnych nieco wniosków. Nadmienił przedewszystkiém, że wpływ lasów na klimat, ostatecznie jeszcze nie zbadany, nie jest znowu tak błogim, jak niektórzy sądzą. Zauważył daléj, że dochód z przestrzeni leśnéj zbyt długo na siebie czekać każe, a w porównaniu z zyskami, jakie przynoszą pola zasiane, jest bardzo mały. Zażądał w końcu, aby jeszcze pewną liczbę tysięcy morgów lasu wycięto, wykarczowano i zbożem zasiano, i w nagrodę za usłuchanie rady, obiecał społeczeństwu wiele milionów rubli za sprzedaż drzewa i zboża.

Artykuł p. Wiercieńskiego serdecznie ucieszył nas z dwu powodów. Naprzód dlatego, że autor argumentował zamiast tonąć w morzu deklamacyi, co jest dość niepospolitém zjawiskiem; powtóre, że on jeden miał odwagę spojrzeć na kwestyą leśną ze stanowiska różnego niż ogół piszących w téj sprawie. Rozstrzygnięcie tego: czy—i o ile p. Wiercieński ma racyą? pozostawiamy specyalistom; lecz nie możemy się powstrzymać od wypowiedzenia w kwestyi leśnéj kilku uwag ogólnych.

Przedewszystkiém załatwijmy się z okrzykami przeciwko obywatelom ziemskim.

Obywatel sprzedaje las w jednym z dwu celów. Albo po to, aby wziąć pieniądze i następnie puścić je w sposób najłatwiejszy, a takich panów mamy dziś bardzo niewielu, — albo po to, aby pieniędzmi wziętemi od kupca spłacić zaległe podatki, ratę Towarzystwa, procenta od długów, należność robotnikom. Pierwszych bronić nie myślimy. W obronie jednak drugich powiemy krótko, że mają prawo, a nawet dwa prawa sprzedawać lasy. Raz dla-

tego, że są ich właścicielami, a powtóre dlatego, że bądź cobądź bronić się muszą od ostatecznéj ruiny.

Widzimy więc, że akt sprzedaży nawet lasu, niezawsze bywa grzechem wołającym o pomstę do Nieba, i niezawsze na prześladowanie zasługuje. Ganić raczéj należy złe, nieobywatelskie cele, a niekiedy sposób sprzedaży.

Sposób sprzedaży jest złym wówczas naprzykład, gdy ktoś przez lenistwo nie wycina sam drzewa za pomocą robotników miejscowych, lecz za gotówkę odstępuje wszystko przedsiębiercy, który z drugiego końca świata sprowadza karczowników i nawet tego drobnego zysku miejscową ludność pozbawia.

Sposób sprzedaży jest złym i wtedy, gdy kto przez nieznajomość własności i wartości drzewa odstępuje np. za 45,000 rs. las, na którym przedsiębierca np. 300,000 rs. zarabia. Gruby to błąd, a jednak najpospolitszy u nas, dzięki, powiedzmy grzecznie: nieuctwu i lekkomyślności.

Obie te jednak wady naszego gospodarstwa łatwo usunąćby się dały, przez zawiązanie krajowéj spółki do eksploatowania lasów; byle tylko owa spółka miała czém płacić, wierzyła nieco w uczciwość i składała się z ludzi fachowych. Coś nawet już słyszeliśmy o utworzeniu się takiéj spółki.

Co się zaś tycze straszenia właścicieli administracyą rządową, to pogłoski podobne uważamy za niewłaściwe. Administracya tego albo owego lasu nie ocali; kto zechce, kto będzie musiał sprzedać — sprzeda go; cała tylko rzecz, że mniéj zyska.

Powiedzieliśmy już, że stosunek lasów do ogółu gruntów u nas wynosi około 22%. Nie jest to zbyt wiele i są miejscowości lepiéj pod tym względem uposażone. Stosunek lasów do ogółu powierzchni (podług Hausnera i Viebahna) wynosi: w Salcburgu naprzykład 54%, na Bukowinie 45%, w Norwegii 39%, w Rossyi 35%, Prussiech Nadreńskich 29%, Saxonii 26%, w całych Niemczech 24%. Są jednak kraje mające tyleż co i my, trochę mniéj, a nawet o wiele mniéj lasów niż my. W Węgrzech np. stosunek powyższy wynosi 22%, w Prussiech Zachodnich 22%, Belgii 19%, w Poznańskiém 18%, we Francyi 16%, Prussiech Wschodnich 14%, Szkocyi 13%, Hollandyi 8%, a w Austryi 5%. Mimo to, w tych strasznych dla naszych *lasofilów* okolicach, żyją ludzie jakoś, podobno nawet mają się znakomicie lepiéj od nas.

Gdyby wycinanie wszelkiego drzewa stanowiło szczyt cywilizacyi, to wówczas my niewątpliwie nietylko zadowolilibyśmy p. Wiercieńskiego, ale prześcignęlibyśmy Francyą, Belgią, Anglią, a nawet dosięglibyśmy... Sahary. Téj jednak doskonałości

nie życzymy krajowi. Lasy bowiem prócz tego, że dają przytułek zwierzynie, opał i budulec ludziom,—wywierają jeszcze wpływ na rzeki (o czém mówiliśmy w zeszłym zeszycie), wzmacniają grunt piaszczysty i istotnie oddziaływają na klimat.

Przedewszystkiém ściągają one dużo wilgoci. Dla stwierdzenia tego p. p. Fautrat i A. Sartiaux robili w r. 1874 od Lutego do Lipca szereg obserwacyi w lesie mającym 5,000 hektarów powierzchni i na polu o 300 metrów od tegoż lasu odległém. Okazało się, że kiedy wilgotność w lesie wynosiła 63, na polu tylko było 61,7, — że wysokość spadłego deszczu dosięgła w lesie 192,5 milimetrów, na polu zaś 177 m. m.

Prócz tego lasy w inny jeszcze sposób oddziaływają na klimat i naturę okolic. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, po wycięciu lasów deszcze stały się mniej ulewne, bieg wód zwolniał, powietrze w zimie zrobiło się chłodniejsze, w lecie zaś gorętsze i suche.

W pewnych okręgach Szwecyi, na skutek wykarczowania wiosna opóźniła się o dwa tygodnie w porównaniu z dawniejszemi czasami. Gdy w okolicach Rawenny wycięto las mający 34 kilometrów rozległości, wówczas pojawił się szkodliwy w wysokim stopniu wiatr *sirocco*, który jednak dąć przestał, gdy zasadzony na nowo las podrósł nieco. Na prawym brzegu rzeki Szeldy w Belgii, znaczne przestrzenie niegdyś nieurodzajne, skutkiem zadrzewienia stały się żyznemi polami.

Z faktów tych osobliwy zdaje się wypływać wniosek, ten miamowicie: że u nas zbyt wiele dotychczas rozprawiano o ilości lasów, nie zwracając zupełnie uwagi na ich *położenie*, które w obec klimatu niemal pierwszorzędną odgrywa rolę. Ze wszystkiego zaś cośmy mówili o lasach, zdają się wynikać następujące wskazówki praktyczne:

Należy zadrzewiać piaski, których tak wiele mamy w kraju, tudzież oszczędzać drzewa w górach, przy źródłach rzek i strumieni. Jeżeli chodzi o wycinanie lasu, należy robić to raczéj w stronach południowych i zachodnich, aniżeli we wschodnich i północnych. W okolicach wilgotnych las może być niepotrzebnym, w suchych zaś bardzo użytecznym. W miejscach odznaczających się nagłemi a szkodliwemi zmianami pogody, las może się stać regulatorem.

Przypuszczam, że kiedyś nietylko kraje pojedyncze, ale nawet cała Europa i inne części świata, poważniéj niż dotąd traktować będą kwestyą lasów ze stanowiska klimatycznego. Przedtém jednak, ludzie w ogóle muszą się bliżéj zapoznać z meteorologią.

Dziś meteorologia dla nas jest mitem, którego ogół nie rozumie i nie stara się zrozumieć. Wiadomości o zjawiskach meteorologicznych w kraju słyszymy o tyle, o ile któreś z pism prowincyonalnych, lub któryś z korespondentów pism warszawskich narzeka na nadmiar deszczu, albo też donosi, że tam piorun zabił ośmdziesięcioletnią staruszkę, owdzie zaś wiatr wywrócił drzewo i zaalarmował miasteczko.

Na obszarze mającym 2,312 mil kwadr. powierzchni, w kraju, którego ludność utrzymuje się przeważnie z rolnictwa, dla którego jeden deszcz stanowić może bogactwo, a jeden grad zrujnować obszerne posiadłości, mamy aż trzy (!) obserwatorya meteorologiczne: w Warszawie, Płońsku dr. Jędrzejewicza i w Piotrkowie, jeżeli się nie mylimy, p. Porębskiego, redaktora „Tygodnia.“ Z tych zaś trzech instytucyi, dwie tylko ostatnie, rezultaty obserwacyi ogłaszają publicznie.

Czy jednak te zacne, lecz tak osamotnione wysiłki dwu ludzi mogą przynieść jakiś ogólniejszy pożytek?...

Cierpliwi i uważni ojcowie nasi, mieli chwalebny zwyczaj notowania w kalendarzach wszelkich ważniejszych wypadków. W tych to pamiętnikach między datami urodzenia się dziecka, przyjęcia do służby parobka, lub ukradzenia wołu, figurowały także rozmaite obserwacye meteorologiczne, które prawdopodobnie służyły za materyał do tworzenia odpowiednich przysłów, np.

Od świętego Grzegorza
Zima idzie do morza.

Albo:

Święta Barbara po wodzie,
Boże Narodzenie po lodzie.

Po rozważnych dziadach i ojcach, nastąpił cały szereg roztrzepanych synów i wnuków. Słuszność nakazuje wyznać, że każdy z tych panów miał w domu termometr i barometr, a często chorągiewkę na dachu, — obserwacyi jednak żaden nie robił.

Bo i na co się zdadzą podobne obserwacye! Gdybyż choć barometr zawsze odgadywał słotę i pogodę, wówczas więcéj dbalibyśmy o niego, — a gdyby jeszcze przewidywał ilość zbiorów i ceny targowe, wybudowalibyśmy mu nawet pewien rodzaj ołtarzyka. Na nieszczęście drogo kupione narzędzia nie oddają tych usług, a ztąd wniosek, że zajmować się niemi nie warto.

Z tém wszystkiém czas już wielki zrobić coś dla meteorologii, a mianowicie: napisać choćby broszurkę o znaczeniu téj nauki, o sposobach robienia obserwacyi i t. d. Rezultatów natychmiastowych nie wyda ona prawdopodobnie, w każdym jednak razie przynajmniéj jakąś ścieżynę utoruje...

Osady rolne są instytucyą karną, a zarazem poprawczą dla małoletnich przestępców, którzy umieszczeni w zwykłém więzieniu wychodzą ztamtąd skończonymi już hultajami, w osadach zaś mają się wychować moralnie i nauczyć pracy.

Projekt téj instytucyi, któréj podobne z dobrym skutkiem działają już za granicą, podniesiony został przed kilku laty przez osoby posiadające, obok uczciwych chęci, dokładną znajomość szkodliwego wpływu więzień na dzieci i reform, jakie pod tym względem zaprowadzić należy. Dzięki wytrwałości propagatorów, myśl ich rozeszła się po całym kraju i znalazła odpowiednie poparcie. Dziś towarzystwo osad rolnych liczy 2,321 członków (z których 623 na prowincyi zalega w opłacie do wysokości 3,738 rs.), i posiadało w dniu 1 Stycznia r. b. gotowizną 27,365 rs.; cały zaś jego ruchomy i nieruchomy majątek wynosił w tymże czasie 69,337 rs.

W skutku zatwierdzenia przez rząd odpowiedniéj ustawy, młodzi przestępcy już w bieżącym miesiącu udadzą się na swoje stanowisko, położone w Studzieńcu niezbyt daleko od drogi Warszawsko-Wiedeńskiéj.

Alexander Głowacki.

KRYTYKA.

Sprawozdanie z czynności Zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1875. Jerzego Ossolińskiego kanclerza wielkiego koronnego autobiografia obejmująca pierwszych 26 lat jego życia.

Zakład imienia Ossolińskich we Lwowie wydał na początku roku bieżącego, przy sprawozdaniu ze swych czynności za rok 1875, autobiografią jednego ze znakomitych przodków założyciela téj instytucyi, kanclerza wielkiego koronnego Jerzego Ossolińskiego.

Piśmiennictwo nasze nie jest ubogiém w podobnego rodzaju pamiętniki historyczne, lecz wśród takowych pierwsze miejsce oczywiście zajmować muszą zawsze autobiografie. Autobiografia zaś obecna jest tém ciekawszą, że zawiera w sobie obraz lat młodych jednego z głośnych możnowładców pierwszéj połowy XVII wieku. Zwracamy przeto szczególniejszą uwagę na ten pamiętnik. Nic bowiem nie może być bardziéj zajmującego nad żywy obraz faktycznego przebiegu wychowania i pierwszych lat młodocianych w zawodzie posług publicznych panięcia możnego, które następnie zajaśniało jako wielki mąż Rzplitéj swego czasu.

Istotnie, nic też bardziéj pociągającego i nad tę autobiografią, nad te urywkowe, własnoręczne, z lat młodzieńczych notaty niepospolitego obywatela kraju. Wieje ztąd dziwna jakaś świeżość, tchnie tu wszystko żywą, dotykalną prawdą, a ta prawda uderza i zajmuje zarazem wydatnym i wdzięcznym kolorytem epoki. Tyle słynnego z czasem posła do Rzymu, kanclerza dwóch królów, ich ulubieńca i przyjaciela, dumnego możnowładcę przybierającego tytuł książęcy, otwartego rojalistę, trzymającego na swych barkach upadającą ostatecznie władzę monarchiczną, nareszcie mądrego polityka o wielce zbawiennych a zdeptanych planach podźwignienia wewnętrznéj potęgi Rzpltéj—poznajemy tu

w jego latach dziecinnych i młodzieńczych, na łonie rodziny i w szkole, w podróżach po zagraniczu dla dalszego doskonalenia się w naukach i oświadomienia się z życiem, i w pierwszéj wyprawie wojennéj, wśród któréj zapałała w nim pierwsza miłość, dotknęły go pierwsze gorzkie zawody, dla obcéj zawiści, ożywiła przyjaźń serdeczniejsza, nadało męzki jakoby chryzmat dojrzałości bohatersko przebyte pierwsze groźne niebezpieczeństwo.

O ileż większe zajęcie obudza ów pamiętnik możnego panięcia, gdy się mimowolnie czuje, iż roztacza on przed naszemi oczyma jakby jakąś normę ogólną wychowania i przebiegu życia ówczesnéj młodzieży rodzin senatorskiego koła! Obudza tém bardziéj, że i tutaj w tym pamiętniku, jak potém w znakomitych mowach publicznych wielkiego kanclerza, podług pięknego wyrażenia Mecherzyńskiego (Hist. wymowy Tom III str. 104) czuć „słowa, które żyją, i farby, które goreją."

Z pamiętnika tego widać dowodnie, że w owe wieki jeszcze nie były powszedniemi ideały pedagogiczne, jakie poważni ojcowie stawili dla swych synów. Możne też panię polskie skazywano tu od dzieciństwa już na prace i ćwiczenia bardzo różnostronne. Najważniejszém bowiem zadaniem dlań było wczesne przysposobienie się do zasiadania kiedyś w radzie królewskiéj i przewodniczenia zbrojnym zastępom współziemian. Wymagało to zaś całkiem specyalnego wykształcenia w dwóch tak wielce różnych kierunkach. Nadto rozwierała się przed niém perspektywa posłowania z czasem do dworów zagranicznych, lub przyjmowania obcych poselstw w domu; co większa, perspektywa przewodniczenia w sejmie i poza sejmem politycznemu lub rodowemu stronnictwu. Władanie zaś nad umysłami braci szlachetnéj, nie należało do rzeczy najłatwiejszych: trzeba było naprawdę posiadać potemu rzeczywistą wyższość intelligencyi, wiedzy i doświadczenia. Wymagano też od możnego panięcia wprawnéj wymowy oratorskiéj, wymagano gruntownéj znajomości ojczystego prawa; nie wspominając już znajomości porządnéj klassycznéj literatury łacińskiéj, stanowiącéj w owe czasy powszechnie jedyną poważną podstawę naukową wszelkiego wykształcenia. Obok tego wymagano odeń większéj trzeźwości i swobody poglądów na sprawy we własnym kraju, zdobytych przez podróże wśród obcych cywilizowanych ludów — co przecie jednak nie miało przynosić w niczém ujmy swojskiemu obyczajowi.

Tak wysokiéj normie polityczno-pedagogicznéj musiała zatém odpowiedzieć przez swe wychowanie młodzież można, by z czasem przewodniczyć Rzpltéj. I istotnie, normie téj odpowiadała. Spoj-

rzyjmy tylko na grono rówieśników Jerzego Ossolińskiego i ludzi mu współczesnych, jacy nam na razie przyjdą na pamięć, a przekonamy się ile w nich wyższego wykształcenia i światła. W każdym niemal rodzie możnym spotykamy reprezentantów wyższéj naówczas europejskiéj kultury. Oto w Wielkiéj Polsce, w rodzie Opalińskich widzimy — marszałka wielkiego koronnego Łukasza i wojewodę poznańskiego Krzysztofa; pomiędzy Leszczyńskimi — dwóch prymasów, Jędrzeja i Wacława, i podskarbiego koronnego Bogusława. W Małéj Polsce odznaczają się światłem Lubomirscy, Jerzy, marszałek wielki koronny, syn poważnego nauką wojewody krakowskiego Stanisława; syn hetmański Alexander Koniecpolski wojewoda sandomierski, równie człowiek wyższego wykształcenia. Na Rusi, w rodzie Zamoyskich—Tomasz, kanclerz wielki koronny, syn wielkiego Jana; między Sieniawskimi—Mikołaj, hetman polny koronny; daléj drugi przyjaciel Ossolińskiego serdeczny, Jakób Sobieski, kasztelan krakowski. Na Litwie, w rodzie Radziwiłłów, stary kanclerz Wielkiego Księztwa, Albrecht Stanisław i Janusz, hetman wielki litewski; między Chodkiewiczami, blizkimi krewnymi Ossolińskich, znakomity hetman litewski Jan Karol i brat jego wojewoda trocki Alexander, i wielu innych.

Możnowładztwo polskie w początku XVII wieku widziało jeszcze tajemnicę własnéj potęgi przedewszystkiém w wyższości swego uzdolnienia, w wyższości zdobytego przez staranne wychowanie światła. Przywiązywało ono do kwestyi wychowania wagę nadzwyczajną, zmierzając przez takowe nie do poloru i dystynkcyi jedynie, lecz do zapewnienia przyszłym pokoleniom mocy realnéj, jaką dawała w kraju głębsza uprawa umysłowa.

Sama też wewnętrzna organizacya Rzpltéj prowadziła możnowładztwo polskie ku temu. Zbyt ograniczona władza królewska uniemożliwiała prawie faworytyzm, współzawodnictwo rodów starszych z młodszemi podniecało do wzajemnego ścigania się w zakresie zasług publicznych, a czujne, zazdrosne oko wrzawnego stanu rycerskiego -- do ciągłéj baczności przymuszało. By więc utrzymać się tylko dzielnie na wyżynach politycznego przewodnictwa, potrzeba było niepowszednich zdolności i gruntownego wykształcenia; a cóż dopiero gdy szlachetna duma wskazywała komu w oddali za cel ujęcie steru spraw Rzpltéj! Nie widzimy dlatego ani pomiędzy kanclerzami, ani w gronie hetmanów ludzi bez wyższego uzdolnienia: a wszyscy oni bez wyjątku prawie należą do rodów możnowładczych. W ogóle nawet całe koło senatu, tak koronnego jak litewskiego, wolném jest niemal od ludzi zdolności

pospolitych: wartość ich moralna wielce różna, różna podniosłość charakterów, ale zasobów umysłowych nie brak nikomu.

Zawdzięczając swą faktyczną w Rzpltéj potęgę rzeczywistéj wyższości umysłowéj nad tłumami stanu rycerskiego, możnowładztwo starało się tedy utrwalić takową w swém potomstwie przez odpowiednie wychowanie. Nie prowadziło to wprawdzie wcale do poczucia potrzeby podniesienia oświaty ogólnéj w narodzie: owszem—takiéj wspaniałomyślności możnowładztwo polskie niewiele dało dowodów. Niezaprzeczenie wszakże trzeźwe uznawanie wyższego uzdolnienia przez nabyte światło za jednę z główniejszych dźwigni politycznego w Rzpltéj znaczenia, żywiło w łonie ściśniętego koła senatorskich jéj rodów głęboką, niekłamaną cześć dla nauki, i szlachetny, większy nawet może od wszelkiéj innéj arystokracyi, zapał cywilizacyjny, czynnie zwracany bez przerwy ku przyswajaniu sobie wszelkich zdobyczy, jakie niósł z sobą w postępie czasu rozwój powszechny kultury europejskiéj.

Możni też panowie polscy z epoki przejścia z XVI do XVII w. nie byli w niczém niżsi co do oświaty i ogłady od wyborowego towarzystwa klass, dzierżących władzę wśród narodów zachodniéj Europy—czy to przy spotkaniu się z arystokracyą francuzką w Paryżu, w gronie poselskiém, wzywającém na tron Henryka Walezyusza, czy przy licznych stosunkach z dumnymi „nobili“ Wenecyi, nie mówiąc już zgoła o ciężko-surowym tłumie feudałów niemieckich.

U siebie zaś w domu możnowładztwo Polskie tak w czasie najświetniejszego rozkwitu i największéj potęgi Rzpltéj u schyłku XVI wieku, jak nawet długo jeszcze późniéj, dzierżyło w swych ręku, jak wiemy, ster spraw onéj, nie prawem faktycznéj przemocy jedynie, lecz w naturalném następstwie długiéj a energicznéj pracy, zasług rzeczywistych i należytego do przewodnictwa w życiu publiczném uzdolnienia. Ono to przedewszystkiém ocaliło rozprzężoną rzeszę piastowską od niemieckiego zalewu, parowiekowém wysileniem doprowadziło do życia unią litewską i ogarnęło szerokiemi widokami swéj polityki bezgraniczne przestwory ziem ruskich. Ono też unormowało wewnętrzne życie Rzpltéj, z całym, tyle bogatym systematem politycznych onéj swobód,—z drugiéj strony, zapewniając jéj wszecheuropejskie stanowisko na zewnątrz. Nie bez wad, nie bez win, nie bez zarodów już wtedy słabości śmiertelnéj, dzielnie utrzymywało ono zarazem równowagę pomiędzy dostojeństwem królewskiém a hucznie wzbierającą falą demokracyi szlacheckiéj, i w ogóle trzymało sprawy Rzpltéj na wyżynie polityki państw pierwszorzędnych. Silne zaś i dość zdrowe

jeszcze w sobie, świadome swéj potęgi — nie dziw, że potęgę tę chciało utrwalić w łonie wybranych swych rodów na wieki.

Typem takim możnowładcy był i ojciec przyszłego kanclerza, wojewoda podlaski, a późniéj sandomierski, Zbigniew Ossoliński; co większa, typem możnowładcy dyssydenta, który przy nowym zwrocie umysłów szlachty pod względem religijnym, został żarliwym katolikiem. Gdy przyszło stanowić o wychowaniu Jerzego, zapomniał on był już dawno, że urodził się dyssydentem, zapomniał pewnie i o téj chwili, kiedy to król Stefan porwał się na zuchwalca do korda, i chyba tylko żywił jeszcze nieprzebłaganą nienawiść do pamięci Zamoyskiego, za śmierć krewniaka—wichury Samuela. Był on teraz poważnym konserwatystą i stronnikiem dworu, a przez to samo tém szczerszym może przyjacielem ojców Jezuitów i zarazem domu cesarskiego, reprezentującego właśnie wyjątkowiéj, w srogiéj w owe czasy walce religijnéj, konserwatywne zasady.

Młody więc Jerzy musiał przejść przez wychowanie jezuickie od pierwszych lat dziecinnych.

O zasadach zaś i rozumieniu pedagogiczno-politycznego celu wychowania przez poważnego wojewodę, świadczy ciekawa, niezmiernie ważna i pełna żywéj charakterystyki owych czasów instrukcya, dana przezeń synowi na wyjezdném do Lowanium. Wskazuje ona dowodnie, jaką to powagę i bezgraniczne we wszystkiém zaufanie posiadał już wtedy, wśród zwracającego się teraz coraz bardziéj przeciw reformacyi możnowładztwa polskiego, wielebny zakon; przyświadcza dotykalnie o ile też samochcąc rozwierano mu na oścież wrota do wpływu najwszechwładniejszego na kierunek wychowania przyszłych pokoleń.

Wreszcie łatwo sobie wytłómaczyć, dlaczego mądry wojewoda nie oddał syna do akademii krakowskiéj. Przypomnijmy sobie bowiem upadek już niezaprzeczony powagi naukowéj téj akademii; zwyczaj ztąd oddawna ustalony wysyłania przez zamożniejsze rodziny młodzieży na naukę za granicę—do uniwersytetów w Paryżu, Bononii, Padwie; daléj ożywienie ówczesne w ex-dyssydentach katolickiéj gorliwości religijnéj, któréj wysoka szkoła Jagiellońska niedosyć już odpowiadała; a co jest nie mniejszéj wagi, dumne, możnowładcze widoki wojewody, rozwarcia swemu, niepospolitych zdolności synowi, podwoi szerszego na obczyźnie świata. Przyszły więc sławny poseł Rzpltéj do Rzymu, któremu wypadnie bronić w obec papieża praw akademii od napaści Jezuitów, musi z woli ojca za młodu zdala od niéj, szukać rady i światła u tych ojców wielebnych—najprzód w ojczystym Pułtusku, potem

w Hradcu styryjskim. Łukaszewicz myli się w swéj Historyi Szkół (Tom I str. 152), uważając go za wychowańca akademii krakowskiéj.

Możnowładcze domy Rzpltéj przywykły były zresztą już zdawna zalecać swych synów od lat najmłodszych dworom ościennym, przedstawiając im w ten sposób w perspektywie przyszłych przyjaciół i stronników. W owym czasie wszakże największą wziętością wśród możnowładztwa polskiego, począł się cieszyć na nowo dom habsburski. Więc i stary Ossoliński teraz, sam oddawna domu tego przyjaciel szczery, starał się wcześnie zaskarbić wysokie względy onego i dla swych synów, wysyłając ich do szkół, zostających pod jego opieką jak Hradec i Lowanium, a następnie na dwór cesarski lub arcyksiążąt.

Wychowanie młodego Jerzego było, ówczesnym trybem, wcale surowe. Już jego matka, wielce poważna matrona swojego czasu, umierając prosi w testamencie swego męża: „żeby go, gdy podroście, JegoMC przy sobie nie chował i po wierzchu mu chęci niebardzo pokazował“ (str. 37). Więc też widzimy, jak 13 letni chłopczyna, polecany przez króla i arcyksiążąt, dziedzic rozległych w ojczyznie swéj włości, w hradeckim konwikcie ojców Jezuitów żyje, jak sam powiada, „w wielkiéj skromności, szczupłym sumptem,“ mając preceptora „człowieka (wprawdzie) dosyć uczonego, ale grubego i zjadłego, od którego częstokroć niewinne a ciężkie razy cierpliwie znosił.“ Instrukcya własnego ojca niemniéj była surową: groził on mu w niéj, jeśliby zawiódł jego oczekiwania, „twarzy łaskawéj ojcowskiéj spodziewać się nie ma, ale pewnego przekleństwa i wydziedziczenia“ (str. 51).

Najwyższém przecie zadaniem wychowania młodego wojewodzica, podług instrukcyi ojca było: ażeby po powrocie do kraju „swemi przymiotami w ojczyznie zalecenie i wzięcie uczynił.“ W tém wypowiedział wojewoda całą już istotę duszy ówczesnego szlachcica Rzeczypospolitéj, co do poczucia rzeczywistych zadań wyższego wychowania w zwrocie tym, zwierając zarazem i wszystkie cele i wszystkie pobudki głębsze doskonalenia się za młodu; nic bowiem zgoła nie mogło być wyższego w Rzeczypospolitéj nad zdobycie sobie przez należyte „zalecenie się“ „wzięcia“ u współbraci.

Wykształcenie zaś, jakie otrzymał młody Ossoliński za granicą, było istotnie świetne. Ku czemu wszakże zmierzały ostatecznie możnego polskiego panięcia prace i studya, wskazuje dotykalnie już pierwsze jego publiczne wystąpienie w akademii w Lowanium. Zapowiedziało ono mówcę, który, podług Mecherzyńskiego (Hist. wymowy, Tom III str. 104), nie miał sobie równego, i którego sława dotąd w narodzie kwitnie, dawnością czasu niezatarta. Przed-

miotem też „oracyi“ tej, 18-stoletniego tylko wtedy młodzieńca, był głęboki a wielce żywotny zawsze w Rzeczypospolitéj temat: De optimo reipublicae statu.

Co wyniósł wszakże szczególnego z pobytu swego w Paryżu przyszły obywatel Rzeczypospolitéj, określić nie podobna: można przecież śmiało przyjąć za pewne to przynajmniéj, że znana późniéj tyle niepomierna ambicya osobista Jerzego Ossolińskiego, jego duma arystokratyczna i stanowczo monarchiczne zasady, znalazły tam były niemałą podnietę w świecie dominowanym przemożnie przez kardynała Richelieu'go.

Bawił on pewien czas i we Włoszech—w Padwie, Rzymie, Neapolu.

Gdy nakoniec po trzech z górą latach zagranicznéj podróży wrócił wojewodzic szczęśliwie do domu, znalazł rozwarte przed sobą najrozleglejsze pole zasługi. Młody, niepospolitych zdolności, a wysoce już wykształcony, należący do jednéj z najpierwszych rodzin w kraju, syn nadto poważnego senatora, mającego wielkie znaczenie u dworu, Jerzy Ossoliński, mógł śmiało zmierzać do najwyższych w Rzeczypospolitéj zaszczytów. Ale mimo to wszystko, wstęp do nich trzeba było sobie zdobyć rzeczywistą zasługą, rzeczywistém odznaczeniem się, w mniejszym najprzód zakresie działalności. Za najodpowiedniejszy zaś wstęp do zawodu życia publicznego uważaną wtedy była wojskowość. Tą też drogą postanowił pójść i młody ambitny Toporczyk.

Przystawszy tedy w r. 1617 „za rękodajnego sługę i dworzanina pokojowego do królewicza Władysława,“ udającego się właśnie na wyprawę do Moskwy, po zdobycie rzeczywiste ofiarowanego mu przedtém tronu carów, wszedł młody Ossoliński zarazem w nowy stosunek, który nadzwyczajnie żywo charakteryzuje ówczesne obyczaje, dziwnie jeszcze umiejące jednoczyć, nawet w młodzieży, butną republikańską niepodległość z rycerską jakąś czcią dla krwi królewskiéj. Ztąd, nic bardziéj zajmującego nad dział ten jego autobiografii, przedstawiający nam z obrazową dosadnością zwieranie się, w niepowszednich zapasach charakterów zbyt różnych, nieprzemożonéj dumy i uczuć osobistéj godności młodzieńców—przyszłego elekcyjnego króla i jego wielkiego kanclerza, w ciągu całéj téj wyprawy na Moskwę.

Wśród przygotowań wojennych młody Ossoliński wkroczył, niespodzianką i w nieznany mu dotąd świat rzewniejszych uczuć i marzeń.

W ciągu saméj zaś kampanii zdobył sobie takie uznanie i powagę, że mimo lat swych młodzieńczych, bywał wzywany do

wszystkich rad wojennych najtajniejszych; pełniąc wszakże ciągle i rzeczywiste obowiązki dworzanina pokojowego królewicza—usługując do stołu, pomagając mu się rozbierać i ubierać i t. p. Rycerskie bowiem wyobrażenia ówczesne, dziwnie to godziły z dumą szlachecką. W wojnie też owéj zdobył on sobie i niespożyty wieniec sławy bohaterskiéj, idąc razem z przyjacielem swym Jakóbem Sobieskim, wojewodzicem lubelskim, a ojcem króla Jana III, do szturmu murów Moskwy, przy petardzie, prowadzonéj przez znakomitego maltańskiego kawalera Nowodworskiego.

Wielkiéj tu dzielności charakteru dowiodła, wyćwiczona w szkole życia twardego, młódź ta możnowładcza: nic dziwnego, że potém, spoważniawszy laty, tyle przewodziła narodowi—była w niéj potęga moralna, nakazująca uznanie; przyświadczyło temu całe następne publiczne życie Ossolińskiego.

Obraz ten młodości jednego z możniejszych paniąt pierwszéj połowy XVII w., od kolebki aż do męzkiego jego wstąpienia, już zupełnie samoistnie, w zakres wrzącego burzliwie publicznego życia Rzeczypospolitéj, nie jest wszakże wyjątkowym wcale, indywidualnym tylko: bracia rodzona i wszyscy rówiennicy Jerzego podobne prawie tirocinium przebywali. — Czuć zaś jeszcze w téj młodzieży świeżą siłę, czuć życie, czuć, że to nieodzowni w przyszłości sternicy Rzeczypospolitéj; ale też widać w nich zarazem i ową namiętność współzawodniczą ambicyi osobistéj i butną niesforność—które pod Pilawce prowadzą.

Wydanie autobiografii Jerzego Ossolińskiego, przez zakład imienia jego rodu, witamy z najżywszą wdzięcznością, polecając ją zarazem pilniéj uwadze.—Niechby ją następnie choć jedno dzisiejsze puste panię z zastanowieniem przeczytało — byłaby i to już rzecz niemała... Zadanie zaś historyka dziś wcale inne: wyrokować ostatecznie jeszcze nie czas — zgłębiać szczegóły najprzód i takowe rozjaśniać należy; na nic nam apologie, tyleż co i sądy doraźne, przedewszystkiém o samę praktyczną szczerą wiedzę chodzi. Dokładniejsze zaś obeznanie się ze szczegółami wychowania młodzieży karmazynowéj, wiele nam rzeczy jeszcze rozjaśni.

A. Jabłonowski.

KONIEC ZESZYTU PIĄTEGO.